

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/336

1975



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

REDAKCJA : **PIECZĘC**

MIARA ODPOWIEDZIALNOŚCI

A. ŁUCZEŃCZYK :

OPOWIADANIA

KOLEJNY KRAJOWIEC :

PERSPEKTYWY POLSKIE

D. MORAWSKI :

KORESPONDENCJA Z RZYMU

SPIS RZECZY

Redakcja:	<i>Pieczeń</i>	3
—	<i>Miara odpowiedzialności</i>	7
Andrzej Łuczeńczyk:	<i>Opowiadania (Wieżenie — Pierwsza zmiana — Dereś — Synowie — Łyżka)</i>	10
W I E R S Z E		
Czesław Miłosz:	<i>Widok — Caesarea — Studium samotności — Udanie życie — Upadek — Dowód — Podziw</i>	32
C O R O B I Ć ?		
—	<i>Perspektywy polskie</i>	35
Andrzej Koraszewski:	<i>Komunizm a reformacja</i>	43
Redakcja:	<i>Komunikat o T. II-im „Archipelagu GUŁag”</i>	51
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	52
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	66
Bohdan Brodziński:	<i>Za chlebem</i>	77
S Ą S I E D Z I		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	81
M. D.:	<i>Kronika słowacka</i>	90
E. Żagiełl:	<i>Kronika litewska</i>	93
—	<i>Kronika ukraińska</i>	94
S P R A W Y I T R O S K I		
Andrzej Chciuk:	<i>Polacy w Nowej Zelandii</i>	96
Jerzy Jankowski:	<i>Czyżby zmiany na lepsze?</i>	104
Józef Gidyński:	<i>Przedwojenne pożyczki zagraniczne</i> ..	110
K R A J		
—	<i>Demokratyzacja</i>	115
—	<i>Traktory</i>	116
K R O N I K A K U L T U R A L N A		
Wiktor Sukiennicki:	<i>Juliusz Epstein</i>	117
Jerzy St. Langrod:	<i>Jan Wolski</i>	118
—	<i>Doktorat 3-go stopnia z ekonomii krajów Europy Wschodniej</i>	119
—	<i>K o n k u r s</i>	120
K S I Ą Ż K I		
Włodzimierz Rozenbaum:	<i>Anatomia przewrotów komunistycznych</i>	121
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	124
—	<i>Visitez l'U.R.S.S.!</i>	134
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	136
◆		
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	139
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	141
◆		
M. Agurskij (z odpowiedzią Redaktora), B. Czaykowski, Zb. Jasiński, F. Kornicki, J. Lewandowski, ks. W. Sojka, A. Vincenz:	<i>Listy do Redakcji</i>	153

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień - Septembre 1975

INSTYTUT



LITERACKI

APEL DO CZYTELNIKÓW

Jak zwykle w okresie letnim wiele osób z emigracji spędza wakacje w Polsce. Zwracamy się z prośbą do naszych czytelników, którzy odwiedzali w tym roku PRL, by nadsyłali nam swe wrażenia i obserwacje. Dążąc do największego obiektywizmu prosimy o relacje najbardziej rzeczowe bez żadnej tendencji. Te informacje zostaną wykorzystane w artykułach syntetycznych — najlepsze z nich będą zamieszczone w *Kulturze*. Ponieważ jest zjawiskiem powszechnym, że ludzie odwiedzający Polskę są często sparaliżowani obawą, że cokolwiek napiszą może to spowodować odmówienie im wiza w przyszłości, czy że może się odbić na ich rodzinach lub znajomych — Redakcja *Kultury* zapewnia całkowitą dyskrecję, jeśli autorzy będą jej wymagali.

REDAKCJA

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Prof. Zbigniew Brzeziński, Englewood, N.Y. (USA), po raz jedenasty	F. 430,00
Federacja Kobiet Polskich w Toronto, Ont. (Kanada)	F. 42,00
Czesław Gładyszewski, Sherbrooke, Que. (Kanada), po raz drugi	F. 100,00
Artur Korwin, Francja	F. 50,00
Mieczysław Kowalski, Clifton, N.J. (USA), po raz piąty	F. 25,00
Prof. Karol K. Krótki, Edmonton, Alta (Kanada)	F. 430,00
S. Lickindorf, Salisbury (Rodezja) — w drugą rocznicę śmierci prof. dr. Mariana Piotrowskiego, dla uczczenia pamięci tego szlachetnego i mądrego Polaka	F. 50,00
M.L. (USA), pamięci Janusza Laskowskiego	F. 1075,00
Prof. Zdzisław Marek, Sydney, N.S.W. (Australia), po raz siódmy	F. 90,00
Czesław Miłosz, Berkeley, Cal. (USA)	F. 2000,00
Anna Radomska, Londyn	F. 200,00
Dr Włodzimierz Sokołowski, Chatham, N.B. (Kanada)	F. 128,00
Wawel Villa, Inc., Toronto, Ont. (Kanada)	F. 42,00
Józef Wittlin, Bronx, N.Y. (USA) — dla uczczenia pamięci śp. Zygmunta Haupta	F. 42,00
Janusz Zembrzusi, Paryż, po raz dwudziesty czwarty	F. 100,00
Beziemiennie, Cambridge, Mass. (USA) — dla uczczenia pamięci członków Warszawskiego Klubu Narciarskiego — ofiar II-ej wojny światowej	F. 430,00
Zamiast kwiatów na grób śp. Julii Sowy — beziemiennie	F. 80,00
Beziemiennie, Panorama S.A. (Australia), po raz piąty	F. 80,00
Beziemiennie Tarrytown, N.Y. (USA)	F. 47,00
Beziemiennie, Toronto, Ont. (Kanada), po raz czwarty	F. 22,00
Beziemiennie z U.S.A.	F. 430,00

DZIĘKUJEMY!

Imprimé en France.

Pieczęć

10 lipca na dalszych stronicach wielkich dzienników ukazała się wiadomość z Genewy tej mniej więcej treści:

Sowiecki sukces na Konferencji w sprawie Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Zamrożenie granic w Europie. W trzydzieści lat po zakończeniu drugiej wojny światowej Konferencja w sprawie Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie uznaje i oficjalnie sankcjonuje granice, jakie wyłoniły się z ostatniego konfliktu. Trzydzieści pięć państw uczestniczących zgodziło się „uznać je wzajemnie za nienaruszalne”. Konferencja przypieczętowała podstawową zasadę odprężenia Wschód-Zachód, zastępując w pewnym sensie traktat pokojowy, który nie został w roku 1945 podpisany. Z punktu widzenia prawnego wczoraj nad brzegami Lemanu nastąpił koniec ostatniego konfliktu światowego. Opracowany tekst stanowił w oczach ZSSR właściwą podstawę do zwołania konferencji ogólnoeuropejskiej. Zasadniczym celem Moskwy było wydarcie zobowiązania, że nie będą kwestionowane jej zdobycze terytorialne wojny 1939-1945; innymi słowy, chodziło jej o legalizację status quo. Otrzymała pełną satysfakcję.

Mniejsza o to czy podaną skromnie i jakby celowo przyciszoną depeszę z Genewy odczyta się jako wiadomość o prawdziwym końcu drugiej wojny światowej; czy też — idąc w ślady Sołżenicyna — jako wiadomość o naturalnym epilogu trzeciej (trzydziestoletniej) wojny światowej. Istotna jest pieczęć, którą Rosja kazała sobie (z pełnym powodzeniem) zatwierdzić swoje zdobycze; istotne jest upragnione *oformlenie* jej przewagi nad Zachodem. O jej byłym „potencjalnym adwersarzu” zaś można powiedzieć bez wahania słowami Sołżenicyna: „Jeszcze dwa lub

trzy dziesięciolecia pokojowego współżycia — równie pełne glorii jak poprzednie trzy — i nawet pojęcie Zachodu zniknie z oblicza ziemi”.

Utorowano więc drogę do uroczystego spędu w Helsinkach, gdzie Ford (z parasolem czy bez) będzie mógł dumnie oznajmić: *Peace for our generation*, a Breżniew (z o ileż bardziej uzasadnioną dumą) pokwitować to brawem i pocałunkiem w oba policzki. Nie zanedbano propagandowo-cyrkowego preludium do tej historycznej chwili, poprzedził ją uścisk miłosny *Apollo-Sojuz* w kosmosie. Żeby nie było wątpliwości co Ford powie w Helsinkach, jego Sekretarz Stanu uznał za właściwe w parę dni po depeszy genewskiej wyjaśnić dlaczego odradził Prezydentowi przyjęcie Sołżenicyna. „Uważam go za jednego z największych pisarzy współczesnych, ale taki gest byłby dziś szkodliwie symboliczny i co gorsze mógłby być w Moskwie opacznie interpretowany. Logiczną konkluzją poglądów politycznych Sołżenicyna jest zagłada atomowa ludzkości”. Pieczęci takiej, jaką obstałowała sobie u swego byłego „potencjalnego adwersarza” Rosja, nie powinna szpecić najdrobniejsza rysa. Trudno o lepsze potwierdzenie starej i wypróbowanej maksymy kanclerza Oxenstierny, o jaskrawszy dowód głupoty człowieka, który w wyznaniach osobistych puszy się „odpowiedzialnością za losy świata” i równocześnie zapewnia publicznie własnych rodaków, że „Ameryka nie pozwoli się zepchnąć poza określone granice”. Pozwoli, pozwoli... Pieczęć ofiarowana za darmo, więcej: przy towarzyszeniu *the greatest show of the world*, jest dostateczną rękojmią że pozwoli. „Określone granice” ustępstw istnieją w okresach kryzysu politycznego czy społecznego, a kryzys przeżywany obecnie przez Amerykę i cały Zachód jest bez porównania głębszy, bo przede wszystkim moralny. Gdy się traci wolę oporu, gdy przestaje się wierzyć w wagę wolności i elementarne zasady godności narodowej i ludzkiej, nie ma kresu przesuwaniu się granic ustępstw w dół.

Na naszym, wschodnio-europejskim, odcinku pieczęć Genewy i Helsinek przysgniotła z trzaskiem i definitywnie resztki złudzeń, które coraz słabiej wprawdzie lecz kołatały się jeszcze na przekór nowym wciąż faktom w krajach opanowanych przez Rosję i wśród emigrantów politycznych. „Stawka na Zachód i Amerykę” została nieodwołalnie pogrzebana, Breżniew wyprawił jej na koszt swego byłego „potencjalnego adwersarza” pogrzeb pierwszej klasy. Pozostaje rachuba na procesy przemian w ZSSR, na ruch oporu w metropolii i w koloniach ostatniego imperium świata, oraz w przykutych doń państwach o „ograniczonej suwerenności”; rachuba, która od lat wytycza linię działania *Kultury*. Kto widzi w niej nadzieję wątlą i długodystansową, niech wskaże inną. Dziś, po przybiciu pieczęci genewskiej, jest *jedyną*. W pracy zmierza-

jącej do złamania tej pieczęci wschodni Europejczycy, wolni Rosjanie, mieszkańcy republik sowieckich mają odtąd dodatkowego, zdeklarowanego na piśmie przeciwnika: tzw. „wolny świat” z Ameryką na czele.

22 lipca 1975

POST-SCRIPTUM

Można ująć w kilku najistotniejszych punktach przebieg „maxi-szczytu” w Helsinkach, oraz niektóre towarzyszące mu okoliczności.

1. W drodze na „maxi-szczyt” Ford odwiedził Polskę, gdzie (według wielkiej amerykańskiej agencji prasowej) ludność zgromadziła mu przyjęcie „grzeczne i poprawne ale letnie”. W przejeździe przez Warszawę samochód prezydencki miał się zatrzymać trzy razy, dla „nawiązania bezpośredniego kontaktu z tłumem”. Trzeci postój odwołano, ponieważ dwa poprzednie nie dały zbyt zachęcających wyników. Jeden z zachodnich komentatorów prasowych pisze, że „nikły entuzjazm z jakim Polacy powitali Forda wart jest co najmniej trzech lekcji politologii w Harvard”. Komentarz szlachetny, lecz przesadny: Sekretarz Stanu nie przywiązuje wagi do takich lekcji jak powitanie w Warszawie, a dla Prezydenta polski etap podróży na „maxi-szczyt” był tylko drobną zagrywką ze wzrokiem utkwionym w przyszłych wyborach prezydenckich (głosy polskie w Stanach).

2. Przemówienie Breżniewa w Helsinkach zamknęło w jednym słowie kwintesencję sowieckiej polityki zagranicznej: „humanizm”. Ten „humanizm” właśnie kazał Breżniewowi stwierdzić, że ZSSR wyznaje zasadę nie mieszania się jednych państw do spraw wewnętrznych innych państw. Interpretacje wśród słuchaczy były podzielone: pesymiści mówili o „brutalnym kopnięciu trzeciego koszyka”, optymiści o sowieckiej obietnicy nie ingerencji w sprawy wewnętrzne „demokracji ludowych”. Amerykański Sekretarz Stanu przychylił się widocznie do zdania optymistów, skoro nazwał przemówienie Breżniewa „pojednawczym” i „umiarkowanym”. Już nazajutrz jednak przebąkiwało się w delegacji amerykańskiej, że Bogiem a prawdą przemówienie Breżniewa było „dwuznaczne”. Tegoż dnia ukazał się w *New York Times* artykuł z trzema tezami: przemówienie było „dwuznaczne”; ZSSR jest zdecydowany „pozostać nadal państwem policyjnym”; Zachód łudzi się sądząc, że uległa zmianie podstawowa linia polityki

sowieckiej „co nasze to nasze, a co wasze to może być przedmiotem pertraktacji”.

Sprawa zresztą została szybko i brutalnie wyjaśniona w artykule M. Zarodowa w *Prawdzie* „Point des rêveries, Messieurs!”.

3. W przemówieniu Forda wyczuwało się wyraźnie nutę usprawiedliwiania udziału amerykańskiego w „maxi-szczycie”. Było to pośrednim dowodem jak duże wrażenie w amerykańskiej opinii publicznej zrobiły wystąpienia Sołżenicyna. Rzecz zupełnie nieoczekiwana, o pewnym znaczeniu na przyszłość, w każdym razie jedyna która pozwala zachować cię nadziei, że nie wszystko jeszcze na Zachodzie zostało przegrane.

4. Podsumowując jednak, trzeba chwilowo przytoczyć to co o „tragikomedii” w Helsinkach napisał znakomity włoski publicysta polityczny Enzo Bettiza: „W imię odprężenia podtrzymuje się fikcję zgody, usiłuje się przekonać świat że istnieje i działa; jeśli rzeczywiście istnieje i działa, to zdaje się prowadzić prosto, poprzez śmierć Europy, do agonii Ameryki”.



Zbiegiem okoliczności *symbolicznym* staje się deklaracja pisarzy rosyjskich, którą drukujemy obok. Stanowi ważny krok naprzód na drodze, obranej przez *Kulturę* przed laty i z uporem odtąd kontynuowanej; na drodze rozstrzygającej dla nas i dla całej Wschodniej Europy, którą przedwcześnie odpisuje swoimi podpisami pogrążony w kryzysie Zachód.

3 sierpnia 1975

REDAKCJA

Miara odpowiedzialności

1 września 1939 roku pozostanie na zawsze w historii ludzkości jako data wybuchu Drugiej Wojny Światowej. Lecz dla narodów naszego kraju, a w szczególności dla Rosji, ważniejsza jeszcze jest inna data — 17 września — jako punkt odniesienia naszej winy narodowej wobec Polaków. Tego dnia dwa reżymy totalitarne — wschodni i zachodni — popełniły, przy cynicznej pobłażliwości wolnego świata, jedną z najcięższych zbrodni dwudziestego wieku: nowy zbrojecki rozbiór państwa polskiego.

Jak wiadomo, druga wojna światowa była rozpoczęta przez Zachód w imię niepodległości Polski. Napastnik został pokonany. Wydawałoby się, że sprawiedliwość zwyciężyła. Ale, niestety, Polska nie odzyskała wolności, a zatem wszystkie poniesione w tym celu ofiary okazały się daremne.

Oczywiście główną za to odpowiedzialność ponosi polityczna mafia sprawująca krwawą dyktaturę nad narodami naszego kraju, ale wiadomo: zbrodnie popełniają ludzie, odpowiada za nie naród. Dlatego dzisiaj, oglądając się wstecz, my inteligenci rosyjscy z uczuciem gorczy i skruchy musimy wziąć na siebie winę za wszystkie ciężkie grzechy, jakich imieniem Rosji dopuszczono się w stosunku do Polski.

Mord w Katyniu, zdrada Powstania Warszawskiego w czterdziestym czwartym roku, próba zdławienia fermentu pięćdziesiątego szóstego roku — wszystko to są nieusuwalne plamy naszej *ogólnonarodowej* winy; wyrównać ją jest naszym historycznym długiem i obowiązkiem.

Ale uświadamiając sobie w pełni naszą odpowiedzialność za przeszłość, wspominamy dziś jednak z dumą, że w ciągu całej

prawie dwuwiekowej walki narodu polskiego o wolność najlepsi Rosjanie — od Czaadajewa do Herzena i Tołstoja — byli po jego stronie.

Ta szlachetna tradycja dotrwała do naszych dni. W obliczu tyrańskiej dyktatury odbywa się duchowe zjednoczenie najbardziej reprezentatywnych sił naszych narodów. Nie darmo w chwili niebezpieczeństwa wiszącego nad intelektualistami rosyjskimi w ich obronie rozlega się, jako jeden z pierwszych, głos polskich współbraci. I na odwrót.

Jesteśmy głęboko przekonani, że we wspólnej walce przeciw totalitarnej przemocy i kłamstwu narodzi się między nami zupełnie nowy rodzaj wzajemnych stosunków, który na zawsze przekreśli możliwość powtórzenia się błędów i zbrodni przeszłości. Nie są to dla nas słowa; to nasze credo i nasza zasada.

Josef Brodskij, Andriej Wołkonskij, Aleksandr Galicz,
Naum Korżawin, Władimir Maksimow, Wiktor Niekrasow,
Andriej Siniawskij.

Powyższe oświadczenie ukazuje się jednocześnie w Nrze 5-tym kwartalnika *Kontinent*, skupiającego nową emigrację rosyjską, a którego redaktorem naczelnym jest Władimir Maksimow.

Głęboko przeżywam to wydarzenie sprzed 36 laty — czwarty rozbiór Polski. Mam nadzieję, że pamięć o tym będzie podstawą wspólnej odpowiedzialności za losy naszych narodów i całej ludzkości.

21 sierpnia 1975.

Andriej SACHAROW

„KONTINENT” O „ULB”

Redakcja *Kontinentu* w numerze 4-tym, zamieściła w całości artykuł Juliusza Mieroszewskiego pt. *Rosyjski „polski kompleks” i terytorium ULB* (Ukraina-Litwa-Białoruś) z nr 9/324 (1974) *Kultury*. Artykuł ten został przez Redakcję opublikowany z poniższym komentarzem:

„Słusznie oceniając 'podejście historyczne' do zjawisk współczesnych autor, tym niemniej, sam znajduje się w niewoli takiego

podejścia. Świadczą o tym już pierwsze słowa jego artykułu: 'Boimy się Rosjan. Boimy się Rosjan nie na polu bitwy, bo stosunkowo niedawno odnieśliśmy nad nimi poważne zwycięstwo. Jeszcze żyją wśród nas ludzie, którzy brali udział w bitwie pod Warszawą'. Autor — jest doświadczonym publicystą i nie my musimy mu przypominać, że polska wojna była pierwszą wyprawą nie rosyjskiego ale sowieckiego imperializmu. Postulując wielonarodowymi wojskami dowodzili: Rosjanin Tuchaczewski, Gruzin Stalin, Węgier Bela Kun, Ormianin Gaj, Kałmuk Oka Gorodnikow, Żyd Jakir, a za ich plecami stali: Rosjanin Lenin, Polacy Dzierżyński i Marchlewski, Żydzi Trocki, Kamieniew i Zinowiew.

Tak więc widzimy, że autorska przesłanka zawiera w sobie zasadniczą skazę. Gdyż splatać rosyjski imperializm ubiegłego stulecia o charakterze panslawistycznym z totalnym imperializmem sowieckim, który postawił sobie za cel rządy nad światem, oznacza mimowolne pomieszanie pojęć, mających w naszej epoce rzeczywiście ogromne znaczenie ze względu na możliwość ich śmiertelnych skutków.

Nie broniąc żadnego imperializmu przeszłego: rosyjskiego, angielskiego czy niemieckiego, musimy jednak zaznaczyć, że żaden z nich nie miał na swoich przestrzeniach 'Archipelagu', gdzie ludzi gnojono za życia, morzono bezprzykładnym w historii głodem, zabijano bez sądu i śledztwa. Żaden z nich nie miał na celu światowej tyranii, jakiej jeszcze dotąd nie znała ziemia. Żaden z nich nie zalewał świata morzem obłudnego kłamstwa.

Dlatego, mówiąc o współczesnej odmianie tak zwanego rosyjskiego imperializmu, należałoby — naszym zdaniem — zamienić słowo 'rosyjski' słowem 'sowiecki'.

W łagrach Archipelagu przebywali w większości właśnie Rosjanie. W latach kolektywizacji ginęły miliony właśnie rosyjskich chłopów. Na skutek przepisów o przymusowej pracy zginęła niezliczona ilość właśnie rosyjskich robotników. I dlatego, choćby w imieniu tych żalosnych milionów, należałoby zdjąć polityczną sztancę z narodu rosyjskiego, by nie wpadać jeszcze bardziej w 'historyczną koncepcję' przy rozpatrywaniu palących problemów współczesności.

Jeśli zaś idzie o problemy tak zwanego ULB (Ukraina-Litwa-Białoruś) to myśmy zawsze oświadczeni i oświadczamy obecnie, że przyznanie świętego prawa samostanowienia każdemu z tych wymienionych narodów — bez żadnej postronnej ingerencji — jest jedną z fundamentalnych zasad naszego pisma”.

Opowiadania

WIĘZIENIE

— Zapal — powiedział. — Trochę, tutaj posiedzimy.

Tamten skinął głową i sięgnął do kieszeni, ale kiedy zobaczył leżącą na stoliku, już rozpieczętowaną i niepełną paczkę papierosów policjanta, nie włożył ręki do kieszeni i nie wyjął swoich papierosów, tylko wziął z tej paczki leżącej na stoliku, już rozpieczętowanej i niepełnej.

— Tak — odrzekł — możemy trochę posiedzieć. Jak chcesz. Abyśmy się tylko nie spóźnili na pociąg.

— Zdążymy — powiedział policjant. — Mam zegarek. I pamiętam. Pamiętamy obaj, ale ja mam jeszcze zegarek.

— Aha — odpowiedział więzień. — To na pewno się nie spóźnimy.

— Zdążymy — powiedział policjant.

Obaj, i więzień i policjant, byli w tym samym wieku. To znaczy — mniej więcej w tym samym wieku. Mogli mieć obaj po pięćdziesiąt lat lub też jeden z nich mógł mieć czterdzieści osiem, a drugi pięćdziesiąt dwa, ale to było bardzo mało ważne.

— Przykro mi — odezwał się więzień. — Strasznie mi przykro, że przerwałem ci urlop. Mogłem przecież trochę pocze-kać. Nie wiedziałem, że masz akurat urlop.

— Nie mów tak — powiedział policjant. — Nigdy nie trzeba czekać z tym, co czujemy, że chcemy zrobić.

— Ale przykro mi. Gdybym wiedział, że jesteś na urlopie, nigdy bym tego nie zrobił.

— Nie musi ci być przykro — odpowiedział policjant. — Wcale. I nie mówmy już o tym.

Palili w milczeniu, od czasu do czasu łykając piwo. Chociaż

na piwie nie było już piany, po każdym łyku starannie ocierali usta palcami. Nie byli zamyśleni. Rozglądali się jakby obojętnie po sali, na nikim jednak nie zatrzymując wzroku.

Więzień pierwszy skończył palić.

— To już dwudziesty siódmy raz — powiedział. — Dwudziesty siódmy raz.

— Ano tak — przytaknął policjant.

Nie pamiętali już swojego pierwszego spotkania. Nie pamiętali zresztą nawet tego przedostatniego. Wszystkie ich spotkania — po prostu były. O wszystkich wiedzieli, ale nie pamiętali ich. Pierwsze nastąpiło wtedy, gdy więzień nie był jeszcze więźniem, tylko kimś, kogo aresztowano i skazano. Mogło się wydawać, że za to, iż po prostu wtedy był, i był w dodatku normalny, według przyjętych norm i ocen normalności, aby go można postawić przed sądem. Skazany został zresztą na małą karę. Coś około roku. Może rok, może dziesięć miesięcy, a może czternaście. Coś około roku. Policjant był zaś tym, który przywiózł więźnia z aresztu do sądu, a potem siedział obok niego w sądzie, a później też zawiózł go do więzienia. Najpierw tylko słuchał, następnie starał się zrozumieć to wszystko, co mówiono, a potem starał się nawet odczuwać to wszystko. Ale nie mógł i zrozumieć, i odczuć. Pomyśleli więc obaj, i więzień, i policjant, że tak właśnie musi być. Tak, a nie inaczej. Że inaczej niż jest — mogą tylko myśleć.

„Tutaj jest dobrze” — myślał więzień, będąc w więzieniu. — „Tutaj jest naprawdę bardzo dobrze” — myślał, trzymając w ręku kilkudziesięciostronicowy regulamin więzienny. — „Można być tylko tak małym jak to, co trzymam. Więcej nie trzeba wiedzieć. Wystarczy tylko tyle. Tam byłem w takiej grubej księdze — (tę „grubą księgę” widział na stole, przy którym siedział sędzia, ławnicy i prokurator) — a tutaj jestem w zeszyku. Zostanę tutaj”.

Było to w tym samym mieście, w którym go aresztowano, a później skazano. Przez kilka godzin, od kiedy poszedł z tej budowy, chodził sobie tu i tam, sam nie wiedząc, gdzie i po co. Spotkał tamtego policjanta, który go eskortował. Policjant zatrzymał go pierwszy.

— O! — powiedział.

Więzień przystanął. Poznał go. Nie cofnął się, a twarz mu się jakoś rozjaśniła.

— Szybko — powiedział policjant. — Już koniec?

— Nie — uśmiechnął się więzień. — Poszedłem sobie stamtąd.

Policjant odpowiedział dopiero po chwili.

— Poszedłeś sobie? Stamtąd nie można sobie pójść. Musiałeś uciec.

— Nie. Nie uciekłem. Poszedłem sobie.

Policjant pokręcił głową. Kilka razy pokręcił głową.

— To tylko ty tak mówisz — powiedział. — Tylko ty tak myślisz. Ale to nazywa się ucieczka.

— Nie wiem, jak to się nazywa — odpowiedział więzień.

— Ja poszedłem sobie stamtąd. Ale wróć. Tam jest dobrze.

Stali naprzeciw siebie na chodniku. Więzień i policjant. Więzień patrzył na policjanta i twarz miał spokojną, a policjant patrzył gdzieś w bok i twarz miał bardzo skupioną.

— Jeśli ty uciekłeś... — odezwał się wreszcie — to ja musiałbym cię tam znów zaprowadzić...

— Dobrze — odpowiedział więzień.

— Ale za ucieczkę grozi ci kara.

— Wiem.

— To chyba pójdziemy.

— No chyba tak.

— Ja to muszę.

— Wiem. A ja chcę.

I poszli. I więzień otrzymał karę za ucieczkę. Pół roku. Ale przed upływem tego pół roku uciekł znowu. I znowu spotkał tego policjanta, który ponownie zaprowadził go do więzienia.

„Tutaj jest dobrze” — myślał więzień będąc w więzieniu.

— „Jest się tylko takim małym zeszycikiem. Ale czasami chce się być bardzo krótko taką grubą księgą”.

Kiedy więzień uciekł następnym razem, sam zaczepił swojego policjanta. Zauważył go pierwszy. Uśmiechnął się.

— Hej! — powiedział.

Policjant też się uśmiechnął.

— To ty.

— Tak. Ja. I znowu powiedzą, że uciekłem.

Policjant zaprowadził go do więzienia, a więzień, tak samo jak i poprzednio, otrzymał wyrok za ucieczkę.

„To dziwne” — myślał więzień. — „Dlaczego czasami tak mocno chce się pobyć w tej grubej księdze? Choćby na krótko, ale zawsze się chce”.

Uciekał jeszcze wiele razy. Ta ucieczka była jego dwudziestą szóstą ucieczką. I za każdym razem szukał swojego policjanta.

Ostatnim razem nie zastał swojego policjanta. Był on na urlopie. Ale więzień odnalazł go i tam. Odnalazł go sobie tylko wiadomymi, a może nawet i niewiadomymi, sposobami.

Teraz siedzieli przy stoliku i pili piwo. Policjant znów odwoził więźnia do więzienia.

— Nam to jest potrzebne — powiedział więzień. — I tobie i mnie.

— Nie wiem, kiedy znowu przyjadę. Ale przyjadę. Na pewno.

— Ja wiem — powiedział policjant. — Na pewno przyjedziesz. — Zerknął na zegarek i dopił resztę piwa. Otarł teraz usta całym grzbietem dłoni. Spojrzał na więźnia i uśmiechnął się, tak jakoś trochę bezradnie i wzruszył ramionami, też tak samo, jakby jakoś bezradnie.

— Już czas — powiedział. Już musimy iść.

Więzień poważnie skinął głową. Dopił resztę swojego piwa i też wytarł usta całym grzbietem dłoni.

— Już — powiedział. — Już idziemy.

Obaj wstali od stolika i ruszyli do wyjścia.

PIERWSZA ZMIANA

Postawiła mnie ta wódka na nogi, nie ma co! A już myślałem, żeby wcale do roboty nie jechać. Zabawa skończyła się o drugiej, ale zanim odwiozłem Bożenę i przyjechałem z powrotem, było już wpół do czwartej. Że też cholera musiała przynieść lotną! Kręcili się po szosie we wszystkie strony i tylko uważali, kogo by tu przytapać. Nie było rady, trza było jechać drózkami. Z nimi to nie to, co z milicjantami ze swojego posterunku. Swoi wiedzą, że nikt z zabawy trzeźwy przecież nie wraca i jak za bardzo zygzakiem nie jedzie, to nie zatrzymują go, co tam. Przeleci kilometr, albo dwa setką i wiatr go owieje, wytrzeźwi. Rozumieją życie, faceci, i tyle. A takiemu z lotnej to co? Po szosie tylko się kręci, w żadne dziury nie pojedzie, to i nie musi się strzec, żeby mu chłopaki w podzięcie za coś łba nie rozbili. Nie było rady, musiałem jechać drózkami. Piach, tylna zębatka starta, ze trzy kilometry nakładu, a tu jeszcze jak przystanęm w lesie, Bożena zaczęła głupie fochy stroić i wielką damę udawać. Z początku, że nie przystap i że wcale nie, potem, że to, że tamto, a na końcu jak nie umiała już nic wymyśleć, to że dzisiaj byliśmy ze sobą tak dłużej dopiero pierwszy raz. Nie mogłem już dłużej słuchać tego bajania i dałem w gębę. Rozpłakała się wtedy nawet, ale takie sztuczki to nie dla mnie. Z pół godziny razem zeszło, zanim wszystko załatwiłem jak trza. Ech, żeby to ja przewidział, że tak się ona później zachowa... To zaraz, w lasku, jak tylko załatwiłem sprawę, kopnąłbym w dupę i odjechałbym! I jak na tej zabawie, co będzie teraz, co będzie teraz, podejdę do niej a ona nie będzie chciała rozmawiać albo może jeszcze nawet tańca spróbuje odmówić, to jak Boga kocham, na samym środku sali wy-

kopię i wygonię! I tak zresztą muszę coś wymyśleć, żeby dać jej nauczkę. To przecież nie do pomyślenia... Odwiozłem ją elegancko pod sam dom, a ta kurwa ręki mi na pożegnanie nie chciała podać. Zeszła z motoru, popatrzyła tylko i poszła do domu. Zgłupiałem z początku, a potem krew mnie mało nie zalała. Nic jej teraz zrobić nie mogłem, aleostałem jeszcze parę minut przed chałupą i na luzie gazowałem tak, że szyby w oknach drżały. Popamiętasz ty mnie, popamiętasz. Nie na takiego trafiłaś co to nosa poza wiochę nie wysadzała.

Tak dopiero na wpół do czwartej do domu ściągnąłem. Matka znów zaczęła brzęczeć, że mam pierwszą zmianę, a wracam tak późno i po wódce, ale ja spytałem się tylko ile forsę dałem jej z wyrównania i zamilkła. Powiedziałem, że kładę się zdrzemnąć i nakazałem, żeby mnie za godzinę budziła. Nie na siłę, ma się rozumieć. Jakby bardzo nie chciało mi się wstawać, ma mi dać spokój. Co tam, byłaby to dopiero druga bumelka w tym miesiącu, a premia i tak nie przepadnie. Znów podwiezie się brygadziście szczupaków i niech on już kombinuje, żeby w papierach wszystko grało.

Prawie już zasypiałem, kiedy ktoś ściągnął ze mnie pierzynę i zaczął szarpać mnie za ramię. Bolek, Bolek! — krzyczał — co ty, do roboty nie jedziesz?! To Maniek Szyc. Mieszkał parę domów dalej, razem robiliśmy. Miał postawić na zabawie pół litra, ale gdzieś się zapodział. Stał teraz nade mną, w garniturze i w krawacie, ciągnął mnie za rękę żebym wstawał, mrugał i pokazywał z kieszeni półlitrowkę. Wstawaj — mówił — bo się całkiem roześpisz. Rozpijemy i sen ci przejdzie.

Niechętnie wstałem, ale wstałem. Maniek, jak się przyczepi, to nie da rady. Przemyłem się trochę, ubrałem, wziąłem kawałek chleba z mięsem, co mi matka do roboty naszykowała, dwa pomidory, szklankę i wyszliśmy. Podobał mi się ten Mańka garnitur, nie ma co. Będę musiał sobie sprawić taki sam. I to jak najprędzej. Cholera, ale wydatków mi się szykuje. Części do motoru, garnitur, a za miesiąc wesele u kumpla, na które jestem, ma się rozumieć, proszony. Też przecież i półbuty nowe, i koszula, prezent, pół litra lepszej wódki, marszowe... Uzbiera się tego, uzbiera. Będzie musiał ojciec dołożyć. Pomagam przecież po fabryce w gospodarce, to i łaski żadnej nie robi. Zresztą na weselu zawsze musowo się postawić. Czy to na cudzym, czy to na swoim. Jak ja za dwa lata będę się żenił, to tak sobie umyśliłem, że jeszcze dwa lata kawalerki, a potem znaleźć jakąś babę i trochę ustatkować się, to też wesele będzie jak wesele. Nie miałowaty ja, żebym tramwajem na gapę jeździł z oszczędności.

Na przystanku nie było jeszcze nikogo. Nic dziwnego, auto-

bus miał nadjechać dopiero za dwadzieścia minut. Nie pół, ale półtora litra można przez ten czas rozpić.

— Chodź za wiatę — powiedziałem do Mańka. — Nie będzie tak ludzi w oczy kłuło. W tym garniturze do roboty jedziesz?

— Nie zdążyłem się przebrać. A co? Ja robię na garnitur, a nie garnitur na mnie?

— Jasne. Po całej nie lej, bo i tak na raz się nie zmieści. Niewyspanie przeszło od razu. Wypiliśmy po drugiej szklance, zagryźliśmy, zapalili i wyszliśmy z za wiaty.

— W sam czas — powiedział Maniek. Do autobusu siedł już Tadek Wójcik. — Niejako byłoby go nie zaprosić, ale ja jego wódki to chyba jeszcze nie piłem. Nawet papierosy najbardziej smakują mu cudze.

Za niedługo doszli jeszcze Witek Szymański, Adam Kuc i Kazik Pyrek. Byliśmy już w komplecie, bo sześciu nas tutaj wsiadało. Część już przyjedzie, a reszta dosiadzie po drodze.

— Naciągajcie, chłopaki — wyciągnął do nas rękę Kazik. — Tylko zdrowo. Co za paluch cholerny. Jak tylko trochę wydobrzeje, znów go muszę naruszyć.

— Na kim to znowu?

— Na Jackowiaku.

— Na Jackowiaku?

— Tym z Błonsk.

— Który to?

— Ten, co to kierunkowskazy do wueski sobie dorobił.

— Aha!

Zaczęliśmy naciągać ten Kazikowy kciuk. Adam wreszcie jak szarpnął, jak coś chrupnęło, Kazik krzyknął i zaraz się roześmiał.

— Dobra, Adam! Masz u mnie pół litra. O, patrzcie — zginał i prostował palec — boli, ale całkiem co innego.

— Jak zajedziemy do fabryki, idź do lekarza. Coś mu tam ciekawego opowiesz. Będzie i parę dni zwolnienia... i parę złotych chorobowego.

— A po cholerę! Żeby to zima była, to zwolnienie by się przydało. Ale teraz? Od świtu w polu tyrać? Żebym rękę złamał, to stary znalazłby mi jakąś lekką robotę jedną. Niby nie wiesz, jak to w gospodarstwie?

— Racja.

— Spać mi się chce, chłopaki — ziewnął Tadek. — Dajcie no papierosa.

— Masz. Opalimy to moje wyleczenie. Każdy by się przespał. A na świecie jak tam?

— A bo co?

— Nic... Jakby się gdzieś ostrzej tłukli, to może jakąś ma-

sówkę w fabryce by urządzili. Zdrzemnąłby się człowiek gdzieś trochę.

— Chyba nic z tego. Przyczaili się wszędzie ostatnio.

— Mogliby w fabryce coś na dzisiaj wymyślić. Niekoniecznie coś z polityki. Spotkanie z jakimś pisarzem, albo co?

— Z pisarzem? To najwyżej po robocie.

— Po robocie to niech się miastowi odchamiają. Podczas pracy niech przyjdzie. Co, chłopaki, nie przydałby się dzisiaj jakiś poeta?

Prawie pokładliśmy się ze śmiechu! Miał ten Kazik pomysły, nie ma co. Jasne, kto by nie pamiętał tego poety. Mieliśmy akurat przerwę na śniadanie, a tu zjawia się w hali facet z biura i prowadzi za sobą jakiegoś brodacza. Biurowiec kiwnął na majstra, coś tam pogadali, majster zawołał brygadzystów, coś im nakazał, brygadziści jak nie podskoczą do nas, jak nie poderwą nas na nogi, każdy już myślał, że to znów ćwiczenia tej samoobrony przeciwatomowej, ale ustawili nas wokół tego brodacza i wtedy biurowiec powiedział, że przyszedł do nas poeta i będzie nam czytać swoje wiersze.

Jak makiem posiał, taka cisza nastała. To tak, znaczy, wygląda poeta... Głupkami nie byliśmy, każdy z nas wiedział, że ten, no... Mickiewicz, i tak dalej, ale żeby tutaj, tak w fabryce, prawdziwy poeta? Mogliśmy na niego patrzeć do woli. A on wyciągnął z kieszeni papiery, wspiał się kilka razy na palce, odchrząknął i zaczął czytać. Nie powiem, głos miał donośny i wyraźny. Ale my ciągle czekaliśmy, aż zacznie czytać wiersze, bo cały ten wstęp był ni go w dupę, ni go w oko. Coś tam, że koło to nie jest kwadrat, że ktoś tam nie może wejść do pokoju, czy wyjść z pokoju, że zawsze śni mu się jakiś mamut... Przeczytał jedną kartkę i zabierał się do następnej, a wtedy biurowiec, który słuchał bardzo uważnie i co jakiś czas z powagą chylił głowę, zaczął bić brawo. Za nim majster, za majstrem brygadziści. Myśmy już nie zdążyli, bo poetę jakby coś poderwało, zatupał, krzyknął, że to jeszcze nie koniec wiersza, ale zaraz uspokoił się i powiedział, żeby wcale nie klaskać, bo on tych wierszy nie pisał po to, żeby klaskano. Najwyżej na końcu, jak przeczyta już wszystkie.

To znaczy, że to, co czytał do tej pory, to był już wiersz? No, popatrzyliśmy sobie na tego poetę uważnie... Broda nawet dosyć spora, kędzierzawa, ale ubranie na nim to nie za bardzo. Buty rozchodzone i nie wiadomo jakiego koloru, porteczki ze sztruksu, na kolanach powypychane i na tyłku prawie że przetarte, koszula nie wiadomo czy się w praniu nie rozlezie — wybitnie mizerny przyodziewek jak na takiego, co to wiersze chciałby pisać. Ale nie, postoiśmy, posłuchamy. Czyta poeta dalej i dalej

kupy mu się nic nie trzyma. Widzę — uśmieszki już u chłopaków tu i tam, ale takie umiejętnie, żeby przypadkiem nikomu nie podpaść. Już dziesięć minut przerwa na śniadanie się przeciągnęła i już powoli zaczynało się robić nudno, kiedy poeta doczytał wreszcie do ostatniej karteczki i schował cały majdan do kieszeni. A wtedy jak nie hukną brawa! Sami tak, bez żadnej komendy walnęliśmy w łapy. Gdzie tam było do tych braw tym oklaskom za albo przeciw na masówkach! Nareszcie mógł się człowiek wyżyć na całego. Z dziesięciu bluzy rzuciło i zaczęło nimi rzucać, aż się komuś bilon z kieszeni wysypał i tego podziwu zaraz zaprzestali, ale „brawoooo!” huczało ze wszystkich stron. Co poeta próbuje nas uciszyć, to my jeszcze głośniej. W końcu zmęcziliśmy się już. Wtedy poeta zaczął nam dziękować. Okazało się, że potrafi gadać całkiem zrozumiale, i zafundowaliśmy mu za to jeszcze trochę brawek. Wreszcie mistrz, jaskając się, zaczął poetę przepraszać, że o niczym nie wiedział i nie zarządził przygotować kwiatów, ale biurowiec przerwał mu i powiedział, że po kwiaty już posłano i że poeta dostanie je w biurze. Ale poeta nie chciał kwiatów. Powiedział, żeby na pamiątkę tego jego spotkania z nami dać mu młotek. Biurowiec mrugnął do majstra, majster do brygadzystów, brygadziści do nas, my z oczami w bok, bo dać młotek nie sztuka, ale zanim by wszystko zaksięgowali i z narzędziowni wydali drugi, to z tydzień zamiast młotka pięści trza by używać. Na końcu któryś z brygadzystów polecił do kantorki i przyniósł stamtąd młotek mistrza. Znalazł się jeszcze czystawy papier ze śniadania do owinięcia i poeta z biurowcem poszli sobie.

A my do roboty! Do końca zmiany rozmowa nie szła o niczym innym, jak tylko o poecie i jego wierszach. Coraz to sobie coś weselszego przypominaliśmy. Mieliśmy uciechę, oj, mieliśmy. Jak widać, mądrale z góry umieją tylko nakazywać, kiedy klaskać, ale wyczuć moment na klaskanie komuś, to nosa mają nie za bardzo. Zmitrężyliśmy z tą hecą jakieś pół godziny, ale nie tylko, że i do końca zmiany czas zleciał nam nie wiadomo kiedy, to i normy nie tylko nie zawaliliśmy, ale i o szesnaście procent przekroczyliśmy. Zadowolony był nawet i ten, co rzucał bluzę i zgubił dwanaście złotych. Mówił, że tylko cztery, rozumiem go, ale ja wiem lepiej ile tego było.

— Witek, a z tym redaktorem, to jak było?

— Jak ty się wtedy między nich zaplatałeś?

— Sto razy wam już opowiadałem. Nie wiadomo jak. Poszedłem kupić łańcuszek sprzęgłowy i spóźniłem się na autobus. Następny dopiero za dwie godziny. Znajomych nie widać, wypić nie ma z kim, a że blisko fabryki — przypomniło mi się, że dzisiaj w świetlicy jest spotkanie z jakimś redaktorem. Polazłem.

Akurat było już po wszystkim i tylko niektórzy pytali go o to i owo. Jak już wychodziliśmy tak się stało, że przechodziłem koło tego redaktora i grupki biurowców. Jeden z nich tylko spojrzał na mnie i od razu: „o, zdaje się, że kolega”. Zawołali mnie, powiedzieli, że jestem z dojeżdżających i zatrzymali przy sobie. Posłaliśmy ot tak, aby gdzieś iść. Ten redaktor wypytывał mnie, ile mam ziemi, ile nas w domu, jak dawno dojeżdżam, co myślę dalej robić... Potem któryś z miastowych tak z przymilaniem się i tak, że ciężko trzeba było się domyślać o co mu chodzi, zagadnął redaktora, czy czegoś byśmy nie wypili. Ten zgodził się, tylko że nie miał ochoty iść do knajpy, a wołał gdzieś na powietrzu. Jak zaczęli pić!... Ja od oka też, ale za bardzo się w to towarzyscho nie wpychałem. Naraz ten redaktor jakoś wstał, złapał się drzewa i krzyczy: „stop! chłopaki, kurwa, kocham was!”. Tamci też jakoś powstawali, zaczęli się z nim całować i zmywiać się do knajpy. Wtedy się stamtąd wycofałem. Słyszałem jeszcze jak jeden z biurowców pytał redaktora, co on ode mnie chciał. Wtedy ten coś mu odpowiedział, że ja, no i my, dojeżdżający, jesteśmy jakimś tam „ostrym tematem” i że to jest „miód sprawa do pisania”.

— Ciekawe, czy oni naprawdę o nas piszą?

— Czemu nie. Mogą tak pomiędzy sobą pisać o nas.

— Ciekawe, co?...

— Przestańcie już pieprzyć. Co, Adam, wczoraj na zabawie znów się babie urwał?

— Kot jakby nad jedną dziurą siedział, to by z głodu zdechł.

— Ale od razu musisz zachodzić do czterdziestoletniej?

— Ty nigdy niczego nie będziesz wiedział. To jest właśnie ta „miód sprawa”, jakby ten redaktor powiedział. Głowa siwieje

— dupa szaleje.

— Ha-ha-ha!

— Jedzie już! Parę złotych przy poniedziałku utarguje. Aleśmy szofera uspokoił, co? Palić w autobusie, mówi, zabronione. A jego pochwaliliby za to, że facetów dobiera nie miesięcznych i forszę za przejazd chowa do kieszeni...

DEREŚ

Naturny był Dereś, ani słowa, ale że tak się to wszystko skończy, nawet nie przewidywaliśmy. Bił go przecież Franek często, i to nie tylko Franek, bo czasami wszyscy schodziliśmy się i tłukliśmy go szuflami (a plantówek nie mieliśmy, tylko szufle jak trza, osiemnastki, z pięćdziesiąt razy dobrze gbiąć

i wóz naładowany), a on tylko dęba stawiał i tańczył, ale w końcu zawsze jakoś ruszał. Czy to od bicia, czy od ognia, który pod nim rozpalaliśmy, ale ruszał. A teraz zabił go Franek na śmierć. Tylko parę razy uderzył po zadzie, i zaraz jak nie zacznie walić w łeb... Jakby coś wstąpiło w niego. Ale zanim się jeszcze to wszystko zaczęło, każdy z nas przestał ładować i tylko patrzył na to, co robi Franek. A on nic, tylko ładuje. Naładował tyle, że nie jeden, ale i para koni w tym piachu by zległa, i ładuje jeszcze więcej.

Staliśmy przy swoich wozach i patrzyliśmy. Wreszcie Franek skończył z ładowaniem. Omotał lejce na kłonicy, bat, co leżał przy nim na ziemi, odrzucił nogą i zważył w rękach szufel.

— Wio.

Jeszcze nigdy Dereś nie próbował brać tak, jak teraz! Prawie że złożył się na ziemi, w wozie coś trzeszczało, ale koła chybnęły się tylko i jeszcze mocniej zaparły w piachu. Dereś naprężył się jeszcze mocniej, dygotał cały. Jakby to na lodzie było, tak padł na kolana i zarył łbem w piach, kiedy Franek pierwszy raz sięgnął go między uszy. Bił już teraz tylko w łeb. Zaciekle, z wysoka spuszczał szufel. Dereś podrywał się coraz słabiej, aż wreszcie zległ całkiem. Franek uderzył wtedy jeszcze parę razy, jeszcze mocniej i szybciej niż do tej pory. Naraz cisnął szufel i zwrócił się do nas. Pochylił się, już, już na nas ruszy... Ale zakręcił się, skoczył przed siebie i prosto przez wykop pognął do Jabłońskich, tam, gdzie mieszkaliśmy.

Patrzyliśmy za nim jakiś czas, a potem wolno, ale tak wszyscy razem, obstąpiliśmy Deresia. Naturny był, ale i twardy. Łeb prawie rozwalony, a jeszcze się podrywał. Jedno ucho trzymało się tylko na kawałku skóry, i z tego odciętego ucha zeszło więcej krwi, niż z całego rozbitego łba.

— Co tu, chłopaki?

Aż drgnęliśmy wszyscy. I chybnęliśmy się w tył, jakbyśmy chcieli odskoczyć od Deresia. To był Bogdan, brat Franka, przyjechał dopiero teraz od nasypu (rozwora mu się poluzowała i musiał poprawiać) i rozglądał się po nas. Dojrzał Deresia. Wzdrygnął się, jeszcze raz spojrzał na nas, ale tak szybko, i jakimś takim śmiesznym biegiem przypadł do konia. Przyklęknął, przesunął ręką po łbie, rozgarnął grzywę, popatrzył na furę, a potem wolno podszedł do nas. Schylił się jeszcze, wziął w garść piachu, obtarł z krwi ręce i otrząpał o portki.

— A Franek... gdzie?

— Poleciał... — odpowiedział mu któryś z nas.

— Do Jabłońskich... — dodał ktoś inny.

— Aha... Chodźcie chłopaki — powiedział po jakimś czasie Bogdan. — Siądziemy trochę.

Wyleźliśmy z nasypu i usiedliśmy. Nasze konie, tam na dole, boczyły się na Deresia i chrapały. Zapaliliśmy. Widać stąd było ten nasyp, na który woziliśmy piach. Patrzyliśmy tam. Paliliśmy i patrzyliśmy.

Ważna to miała być droga, oj, ważna. Aż za granicę miano tędy jeździć. Na takiej drodze to na dobrego konia i na dobry wóz ze dwadzieścia metrów można będzie naładować. Komu to kiedy do głowy przyjdzie, że dawniej tylko grobla tutaj była, i to taka, że ledwo, ledwo przejechać. Teraz, jak myśmy zaczęli piach wozić, było jeszcze gorzej. Nic też dziwnego, że samochody tych letników z miasta, co to nad jeziorem te kolorowe domki mieli, grzęzły w piachu i buksowały. W każdą sobotę po południu ładne parę złotych wpadło do kieszeni przez te samochody. Czasem to nawet lepiej opłacało się stać z koniem i czekać, aż któryś letnik ugrzęźnie, niż piach wozić. Różnie się brało za takie wyciągnięcie samochodu, ale przeważnie to po pięćdziesiąt złotych. Ale czasem zaśpiewało się i stówę. To zależało od gościa, który tam siedział. Nie, ja nie mówię tutaj o tym, że jeden wyglądał na bogatszego, a drugi na biedniejszego, nie. Po jego uśmiechu widziało się, ile z niego wziąć. Bywało przecież czasem i tak, że grosza się z kogoś nie wzięło. Aż głupio się jakoś robiło, kiedy taki sięgał do kieszeni i pytał się, ile, a tu odpowiadało się, że nic. Jemu też robiło się wtedy trochę głupio, ale nigdy nie tak, jak nam. No bo czy nie mógł sobie taki pomyśleć, że spoufalić się z nim chcemy, albo też jeszcze co innego? A tu przecież wcale nie o to chodziło. Jednej soboty to aż czterech takich mi się trafiło. Cholera, myślę już sobie, jak będzie się pytał ile, to powiem mu dla spokoju, że dwadzieścia złotych i już... Ale nie powiedziałem. Przyszło mi do głowy, że to będzie wyglądało tak, jakbym albo ja dziadował, albo jego za dziada uważał. A po co to? Lepiej już czuć się trochę głupio niż tak, jakby ktoś z litości nie dał w gębę, tylko kopnął w dupę.

Ale takich było mało, bardzo mało. Przeważnie to tacy za pięćdziesiątaka; płacił — robiło się — i cześć. No i byli, rzecz jasna, jeszcze te fagasy za sto złotych sztuka. Aż człowiekowi coś pikało w środku, żeby go rypnąć w zęby za ten uśmieszek! A plunąć znów mu się pod nogi chciało, jak wyciągał tę stówę i podawał ją w dwóch wyciągniętych palcach. Taki ćwok do końca życia nie zapomni tej forsy, do końca życia będzie rozpowiadał, jakie to te wiejskie chamy łase na pieniądze. Smrodami takich śmy nazywali, smrodami i niczym więcej. Bo też i byli dla nas jak smród, co jak przeciągnie obok, to nos wykręci i na rzyganie zbierze, ale więcej poza tym nic. Już na drugi dzień nie mogliśmy chyba poznać któregoś z nich, ich gęby stawały się dla nas jedną, która była gębą każdego z nich, ale my wiedzieliśmy do-

brze, że gębę każdego z nas to oni zapamiętają na całe życie. Że jak zaczną czasem rozmawiać o nas między sobą, to na pewno nie pomyślą mnie z Witkiem, a Witka z Olesiem. Wbijaliśmy się im do łba na zawsze.

Ten samochód przejeżdżał już trzeci raz, ale nie zakopał się jeszcze nigdy. Inny też był niż cała reszta, takiego jeszcze nikt z nas nigdy nie widział. I takiego, co nim jeździł, też do tej pory jeszcze nie spotkaliśmy. Poznaliśmy go dopiero dzisiaj, ot może jakieś pół godziny temu, kiedy to wysiadł i pogadał sobie z Frankiem. I z nami też, bo choć do nas się zbyt nie odzywał, to pogadał sobie i z nami. Tak, pogadał sobie z nami dobrze, nie ma co...

Akurat Franek nadszedł właśnie z piachem, kiedy zobaczyliśmy ten samochód. Był jeszcze daleko, ale od razu poznaliśmy, że to ten.

— Ej, chłopaki!

— Znowu jedzie!

— On, to cholera, jak czołg, przez wszystko pojedzie.

— E, tam. Zwalić mu cały wóz pod koła, to na pewno stanie.

— Franek, a zwal no tu!

— Gdzie?

— A tu! Na sam przejazd! Zobaczmy czy taki mocny! Ciekawe, co za nygus nim jedzie?

— Zwalaj, Franek! I tę jego dziewczynę przy okazji obejmujemy!

Bo my przygadywaliśmy czasem tym dziewczynom, co siedziały w samochodach. I z niektórymi to się na przygadywaniu wcale nie kończyło. Od razu można było przyuważyć, jak któreś aż oczy błyszczą, jak patrzy na któregoś z nas. Na gębę spoglądała rzadko, przeważnie na piersi, ramiona i plecy. Bo co prawda to i prawda, i opaleni byliśmy na brązowo, i muskułów mieliśmy więcej niż ci z miasta. Jak tylko któryś z nas przyuważył, że taka bardzo mu się przygląda, od razu po robocie szedł na jezioro. Ludzi na brzegu sporo, kto wie, czy by ją znalazł, ale ona jego znajdowała zawsze. Sama znajdowała, przysiadła się i zaczynała rozmawiać. Można było gadać największe głupoty, a ona siedziała i słuchała, zupełnie tak, jakby tylko czekała, aż się ściemni. Bo dopiero wtedy godziła się iść do lasu. I to nie razem, o nie. Najpierw trzeba było iść samemu, a ona przychodziła później. Tak samo i odprowadzić się żadna nie pozwoliła. A już całkiem dziwne było to, że na drugi dzień, w niedzielę, to wydawało się, że wielką łaskę człowiekowi robi, jak parę słów na plaży powie. Zaraz wtedy zresztą odchodziły, przysiadły się

do tych z miasta. Zupełnie tak, jakby wczoraj wieczorem nie między mną a nią nie było.

Wszystkich nas zaciekawilo, co będzie teraz. Franek stracił wozem, wjechał na przejazd i dalej rozsuwać i wyciągać drążki. Ale nie zdążył zyspać nawet połowy, kiedy ten samochód zatrzymał się już za nim. My stoimy z boku, niby poprawiamy tam coś przy wozach, ot, tak jakby nigdy nic. A Franek dalej rozsuwa drążki i zasypuje piachem przejazd.

Ten z samochodu wysiadł wreszcie. Wysiadł, rozejrzał się tak, jakby nikogo i niczego dokoła niego nie było, przeciągnął się, że mało krzyż mu nie trzasnął, i ziewnął. Po niebie zaczął się rozglądać. A my patrzyliśmy po sobie; taki jeszcze nigdy się nie zdarzył... Franek też zerknął przez ramię raz i drugi i popatrzył na nas. Słyszał przecież, że samochód się zatrzymał, że ktoś z niego wysiadł, a tu nikt nie podchodzi.

Tamten ruszył się wreszcie. Wyglądało to tak, jakby otrząsnął się z tego rozglądania się po niebie. Zapalił papierosa i wolno podszedł do Franka. Stał. Założył na piersi ręce i patrzył, jak Franek kończy już opróżniać wóz. My niby to na nich nie patrzymy, ale widzimy wszystko. A Franek... Franek patrzył już teraz tylko na to, co robił, już nie zerkał do tyłu ani na nas.

— Ale łopaty to pan nie wziął?

To ten z samochodu tak się raptem odezwał. Stał z założonymi rękami, palił papierosa i patrzył na Franka. A Franek wyglądał tak, jakby nie wiedział, o co chodzi. My też zresztą nie wiedzieliśmy. Ale było nam jakoś tak, jakbyśmy zrobili coś złego i jeszcze tym razem zostaje nam to darowane.

— Łopaty?...

— No, a czym pan to rozgarnie? Rękami?

Nie poruszył się żaden z nas. Franek patrzył na nas, a my patrzyliśmy gdzieś w ziemię. Tak, gdzieś w ziemię, bo w żadne miejsce na tej ziemi nie.

— Wy też nie macie łopat?

— Nie...

— Nie mamy...

— Mamy, ale w wykopie...

— No to... Zresztą można i tym — czubkiem buta trącić drążek. I do Franka: — jeszcze jeden niech złapie za drugi koniec i rozgarniecie. No — spojrzał na nas ten z samochodu i kiwnął głową. Tak na wszystkich. Podskoczyliśmy też wszyscy. Maniek stał najbliżej, i on złapał drugi koniec drążka, który trzymał już Franek.

— O, właśnie tak — powiedział ten z samochodu, kiedy zaczęli już rozsuwać. — Tylko trochę szerzej.

I odwrócił się i odszedł.

Wtedy wysiadła ta panna. Też przeciągnęła się, powiedziała coś do tego, który z nią był, i oboje roześmieli się. My staliśmy z boku, ale tak nam było głupio bez jakiejś roboty, jak jeszcze nigdy.

— Ładny, prawda?

Spojrzeliliśmy na tych dwoje. Panna pokazywała na Deresia, który wygiął szyję w kabłąk i zaczynał grzebać. Zaraz znowu będzie z nim mordega.

— Czyj to koń?

— Jego — pokazaliśmy na Franka, bo Franek rozsuwał piach i nie wiedział, że ona pokazuje na Deresia. Dopiero, jak powiedzieliśmy „jego”, podniósł głowę i rozejrzał się jakimiś takimi rozbieganymi oczami.

— Ładny koń — powiedział do niego ten, co stał za panną.

— Aha... — i chyba dopiero teraz pojął, że mówi do tamtego pochylony i trzyma drążek w rękach. Puścił go, strzepnął ręce o portki i wyprostował się. — No, mój koń...

— Dobry chyba jest, co?

— Aha...

— Patrz, patrz! — krzyknęła panna i złapała za rękę tego, co z nią stał. Pokazywała na Deresia. A ten wygiął szyję w kabłąk jeszcze mocniej i przednią nogą, prostą w kolanie, bił o ziemię. — Prawie jak cyrkowy, prawda? — I do Franka: — Można do niego podejść?

— Można...

— A nie kopnie?

— Może kopnąć...

— Och! — cofnęła się.

— Lepiej nie podchodzić — powiedział ten, co z nią stał.

— Ale ładny to, cholera, jest. Co, skończyliście?

— My zaraz...

Już prawie kończyli. Jeszcze parę razy przesunęli drążkiem po piachu, odsunęli się i popatrzyli na tego przy samochodzie.

— Dobrze.

Wsiadli i pojechali. Nawet tyłem nie rzuciło. A my patrzyliśmy za nimi. Patrzyliśmy jeszcze wtedy, kiedy już skręcili nad jeziorem. Dopiero wtedy zeszliśmy się i ktoś odezwał się pierwszy:

— A to cholera, no...

— Ciekawe, co to za jeden?

— Dyrektor chyba jakiś...

— Albo ważny doktor...

— Do takiego się odezwać, to by dopiero załatwił...

— Najpierw by w zęby dał, a później też by życie umilił...

— I jak to nie wiadomo, na kogo można trafić...

— Uważać trza nam teraz, oj, uważać...

Jechaliśmy do wykopu i tak niegłośno pogadywaliśmy sobie.

— A Dereś jak im się spodobał, co?

— E, głównie on się tam zna na koniach...

— Co ty!

— Nie bój się, taki na pewno się zna...

Franek jechał pierwszy. Nie odzywał się nic. Patrzał tylko cały czas na Deresia, któremu już przeszło i szedł teraz całkiem spokojnie. Aż tu raptem Franek jak nie ściągnie go batem, a zaraz znowu... Pouchaliśmy. A Franek już do samego wykopu lepił Deresowi baty. Mocno zdzierał go lejcami, nie popuszczał w kłus i jakby zupełnie bez żadnej złości co parę kroków lepił mu bata. Nie odzywał się nawet słowem i przez ten czas, co ładował. Nie przystanął też ani razu. Ustawił się tylko tyłem do nas i ładował równo, bez przerwy...

— Piąta prawie — powiedział nie wiadomo do kogo Bogdan. Rzucił papierosa i wstał. — No nic... Co się stało, to się stało, ale myśleć trza zawsze. Przebiorę się i pojadę do weterynarza. Już nie urzęduje, ale to nic. Dam mu ze dwa tysiące, to może i wystawi świadectwo, że Dereś padł...

— Wystawi...

— Za dwa tysiące wystawi...

— Jak nie będzie chciał, to dam mu i trzy. Za trzy wystawi na pewno. Zawsze jeszcze te dwanaście ubezpieczalnia zapłaci. A wy nie rozchódźcie się później nigdzie. Posiedzimy trochę razem, wypijemy...

SYNOWIE

Dwanaście osób pousiadało wreszcie jakoś. Sześć z jednej strony przedziału, sześć z drugiej, wypełniając przejście między ławkami dwudziestoma czterema nogami. Mężczyźni milczeli, kobiety wypowiadały jeszcze czasem jakby pomrukiem jakieś urywane słowa. Po jakimś czasie pomruki ucichły. Siedzieli wszyscy w milczeniu i w bezruchu. W tym milczeniu i bezruchu któryś z mężczyzn odezwał się naraz półgłosem:

— To chyba przedział dla palących? Można palić?

— Palić?! Tutaj?! — Kobieta wciśnięta w kąt przy oknie zachłysnęła się nowym wybuchem złości. I choć dotarło już do niej, że głos, który pytał, był głosem jej męża, krzyknęła jeszcze z niemniejszą pasją: — Na korytarz, jak któryś chce palić... Wydusimy się tu wszyscy — dodała zaraz już spokojniej.

— Ale to chyba przedział dla palących? — zapytał znowu ten sam mężczyzna. — Władziu? Władziu? Gdzie siedzisz?

— Przy tobie — spróbował się poruszyć sąsiad pytającego.

— Przy mnie? — Patrzcie no... Też nie możesz się ruszyć, co? Myślałem, że siedzisz bliżej drzwi, zobaczyłbyś czy to przedział dla palących...

— Dla palących. Cały wagon dla palących. Zauważyłem, jak wsiadaliśmy.

— Słyszysz, mama? Można palić. Zapalimy, Władziu. Proszę

— częstował pozostałych mężczyzn — tak dla towarzystwa. A może i któraś z pań zapali? Nie? Panie wołałyby pewnie cukiereczka? Władziu, masz pod ręką cukiereczki?

— W walizce powinny być.

— Trzeba będzie później wyjąć. Coś ty, Stasiu, taki milczący?

— O czym tu mówić... ciasno.

— No to co? Ale za to wesoło będzie. O, rusza już!

Kobiety przeżegnały się. Kobiety ze wsi przeżegnały się szeroko, kobiety z miasta uczyniły dyskretne znaki krzyża przy szyi. Mąż kobiety spod okna odezwał się znowu:

— Opowiadał mi jeden znajomy, który leciał raz samolotem, że jak samolot zaczął się rozpędzać do startu, to i aktywistki partyjne też się żegnały. Znajomy pracuje na Śląsku, w hucie, i za przekroczenie planu dyrekcja zafundowała najlepszym majstrom wycieczkę samolotem do Warszawy do opery. A te baby dodali im po to, żeby ich pilnowały, bo chłop jak to chłop, choćby i przodujący majster, zamiast do opery mógłby pójść do knajpy.

— Heniu, otwórzcie trochę drzwi! Tylu tu dymu...

— Poczekaj trochę, mama. Na korytarzu jeden przy drugim stoi. Lepiej okno otworzyć.

— Na taki mróz?!

— No to co ci poradzę? Poczekaj, pośpią się potem na tym korytarzu, to uchylę trochę drzwi. Teraz na pewno znaleźliby się jakieś cwaniaki, co zaraz próbowaliby nam podrzucić jakiegoś swojego starszaka. A państwo wszyscy też jadą chyba tam, gdzie i my? Na przysięgę, co?

— Tak! — odezwało się kilka głosów. Wszyscy poruszyli się.

— No proszę! W sześcioro do jednego?

— Ano, tak wybraliśmy się... My oboje, jeden szwagier z żoną i drugi szwagier z żoną. Jeden szwagier jest chrześnym, a druga siostra chrześną.

— To i u nas tak samo! Brat Stasio jest chrześnym, a kobity siostra chrześną. Oj, wojsko, wojsko... Narzekamy, że

ciasno. A jak żołnierze na front jechali, to luźniej mieli? A zaraz po wojnie, jak za szaber ludzie się wzięli, to nawet na dachach wagonów miejsca było brak!

— Taak... Wojna niedobra... — powiedział z zadumą mężczyzna siedzący przy drzwiach.

— Bogaciliście się wy na nas przez tę wojnę, bogacili — powiedziała głośno, zjadliwie, kobieta spod okna. — Jakby ta wojna jeszcze trochę potrwała, to chyba już tylko złotem kazalibyście sobie za żywność płacić. Heniu, w czterdziestym czwartym w lutym ile ty za kiełbasę płaciłeś?

— A skąd było nabrać tej kiełbasy?! — prawie odskrzyknęła kobieta siedząca naprzeciwko. — Na drzewach rosła? Pani wie, jak trzeba było świniaka ukrywać, żeby nie zabrali? A jakby tak znaleźli? Kulka w łeb tak samo, jak za ukrywanie zbiega z obozu. Nie tylko za mięso brało się pieniądze...

— Panie moje, uspokójcie się już, błagam was! Zaraz zapalę światło. O! Pstryk... i od razu co innego!

Mętne, przyćmione światło powydobywało ściśniętych ludzi. Ludzie spoglądali na siebie w tym półmroku, próbowali się poruszać, rozluźniać.

— Naprawdę jakoś swobodniej! Nie za jasne to światło, ale co tam. Jak żołnierze na front jechali, to lampami naftowymi sobie przyświecali. Władziu, masz papierosy?

— Ano, zapalimy...

— Heniu, otwórz ty te drzwi...

— Potem, mama, potem. Co tam, Władziu, nie możesz znaleźć? To może ja już swoich poszukam...

— Proszę — wyciągnął papierosy mężczyzna siedzący przy drzwiach.

— Nie szukaj już, Władziu. A panu co? Tak się pan szalikiem otula? Zęby?

— Uhm...

— Na zęby to najlepsze pewne kropelki... To co? Jechać będziemy całą noc, spać chyba nie będziemy, a gadać tylko pod papierosa też jakoś nie wypada. Stasiu, jak tam z tym, o czym rozmawialiśmy?

— Mam.

— No to tego... Wyciągnij, Stasiu. Wypijemy coś, panowie, prawda?

— Możemy wypić — poruszył się mężczyzna przy drzwiach.

— My też coś tam na drogę wzięliśmy...

— No proszę! Wyciągaj, Stasiu, wyciągaj. Mama, czegoś tam na ząbek nie dostaniemy od ciebie?

— O wódce pamiętaliście? To i o zakąsce trzeba było pomyśleć.

— Daj no tam coś — wychylił się mężczyzna siedzący przy drzwiach.

— Mama, jak ci nie wstyd... Przecież szykowałeś kanapki na podróż. Nie jedna rzecz, czy zapijemy ją herbatą, czy zagryziemy nimi wódkę? O, a co to za zapachy?

— Jałowcem wędziłem — powiedział mężczyzna siedzący przy drzwiach. — Mówi pan, że zapach jest?

— Jeszcze jaki! Oho-ho, a ileż tu tego wszystkiego... I kiełbaska, i boczek, i polędwiczka... Taka walizka to za okupacji majątek. I zapach, i wygląd, nie wiadomo, na co człowiek miałby ochotę...

— Ukrój wszystkiego — powiedział do żony mężczyzna siedzący przy drzwiach.

— Nie ma, jak wędlina własnego wyrobu — wychyliła się kobieta spod okna. — Po prostu rozplywa się w ustach.

— Mama, daj no musztardę! A walizki może nie odkładać? Połóżymy na kolanach i będzie stolik. O, właśnie tak. Stawiaj buteleczkę, Stasiu, stawiaj. Ale uczta, co? W pociągu, walizka zamiast stolika, jakby jeszcze pić blaszanym kubeczkami to już całkiem byłoby tak, jakby żołnierze na wojnę jechali! Mama, co ci podać? Kiełbaski, boczku, polędwiczki? Ale, ale, znacie panowie ten kawał o Oświęcimiu? Pewnego razu zebrał esesman więźniów i mówi: który z was jest najłżejszy, pójdzie do gazu. Ile ważysz? — pyta jednego. Sześć kilo. A ty? — siedem kilo. A ty? — sześć i pół. A ty? — dziesięć. O, grubasek z ciebie... Dobrze, co? Grubasek, co? No, zdrowia życzę!

Wypili wszyscy, po kolei.

— Nie daj Boże znów takiego Oświęcimia — wstchnęła któraś z kobiet. — Ile tam ludzi wyginęło...

— Cóż, wojna — mąż kobiety spod okna obłożył boczkiem z obu stron kawałek chleba. — Ale co by nie mówić, Żydów Niemcy mocniej prześladowali niż nas!

— Tak! — potwierdzili pozostali — Żydów najgorzej!

— Nie lekko było żyć, ale jeszcze i nie najciężej. Ja, na przykład, jak za okupacji zobaczyłem Żyda, to prawie że chciałem mu nawet coś podarować.

Mężczyzna siedzący przy drzwiach wyjął z kieszeni nową półlitrówkę.

— Do nas do oddziału przyszedł Żyd — powiedział. I od tego czasu dużo swobodniej czuł się człowiek w akcjach.

— Był pan w lesie? W partyzantce?

— Tak. Pan też?

— Nie. Ja rzuciłem się na handel. Panie, czasem to było niebezpieczniej niż w partyzantce! To co, wypijemy? Jak tam zęby? mniej bolą?

— Niby mniej...

— Jeszcze trochę, a przestaną całkiem. No, wszystkiego najlepszego!

Wypili, zakąsili i zapalili. Kobieta spod okna nie protestowała już.

— Panie, czasem to dziwię się, jak ja te czasy przeżyłem! Rewizje, łapanie, a ja tu z pełnymi walizkami. A raz nawet trzy pistolety przewoziłem! Po prostu wmusili we mnie, żebym przewiózł. Ale jak się okazało, to te pistolety mi pomogły. Każdy miał wtedy jakiś pseudonim. Ja miałem pseudonim „Condor”, to taki amerykański orzeł. W jakiś czas po wyzwoleniu wzywają mnie do UB. Mama płacze, mdleje, ja też sam nie wiem co robić, ale idę. Przyjmuje mnie jakiś porucznik i zaczyna wypytywać. Imię, nazwisko i inne takie rzeczy, a na końcu pyta o pseudonim. Mówię, że „Condor” i że to taki amerykański orzeł. Porucznik patrzy na mnie i milczy. No dalej, dalej, mówi po jakimś czasie. Pytam co takiego, nie wiem, o co chodzi. W tym czasie do pokoju wchodzi drugi porucznik. Nie wiecie? — mówi ten pierwszy. — To my wam przypomnimy. I do tego drugiego: „towarzyszu Gienek, jak ci się wydaje, z pseudonimem „Condor” skąd może być?” — „Condor”... Tego to nawet w AK nie było, to już na pewno sztab NSZ... I w obroty mnie, Panie, wtedy! Nazwiska, kontakty, akcje, broń... Sam nie wiem kiedy, jak powiedziałem im o tych pistoletach. A oni od razu, kto mi je dał, kiedy to było, komu oddałem. Mówię — kiedy, mówię, że po prostu wmusił ich we mnie taki jeden, co go później Niemcy zabrali i już nie wrócił, że odbierał je ode mnie jakiś „Kędzierzawy”. Popatrzyli na siebie i jeden wyszedł. A po paru minutach wpada do pokoju jakiś major. Patrzy na mnie i śmieje się. Wiecie panowie, kto to był? Ten, co odbierał ode mnie pistolety. Przeprosił mnie za to — jak powiedział — nieporozumienie i nawet namawiał, żebym poszedł pracować do nich. Ale ja często wtedy jeździłem na te Ziemie Odzyskane, tak, że nie skorzystałem z jego propozycji.

— Z tymi porucznikami — odezwał się mężczyzna, którego bolały zęby — to tak, jak z tym weterynarzem. Wezwał chłop weterynarza, bo mu krowa zachorowała. Weterynarz nakazał chłopu, żeby patrzył krowie w dupę, a sam świeci jej latarką w mordę. „Widzicie światło gospodarzu?” — Nie — mówi chłop. Wiem już! Wasza krowa ma skręt kiszek!”

Znów wypili i zaraz potem mężczyzna, którego bolały zęby, wyciągnął z kieszeni następną butelkę.

— Niespodziewanie ta wojna wybuchła — mówił mąż kobiety spod okna. — Niespodziewanie. Jakby człowiek wiedział

naprzd co i jak, to zawczasu poszukałby sobie dostawców. zorganizowałby wszystko. A pan nawet nie próbował zahandlować? — pytał mężczyznę przy drzwiach.

— Ano nie. Jakoś nie pomyślało się o tym...

— A trzeba było, trzeba. Wielu takich znałem, co zanim się zorientowali, już było po wszystkim. Skończyła się partyzantka i wrócił pan do domu?

— Nie, do wojska poszedłem. Berlin zdobywałem.

— Dwa krzyże ma — wtrącił mężczyzna, którego bolały zęby. — A medali chyba z dziesięć. I to wszystko frontowe, nie te późniejsze, rocznicowe.

— Nasz Władzio też ma krzyż i medale! Władziu, ile ty tam tego masz?

— Był pan w lesie? — wychylił się mężczyzna siedzący przy drzwiach.

— Nie. W fabryce sabotaż robiliśmy. No a potem też front. Nie udało mi się być w Berlinie, skierowali nas pod Budziszyn. Za Budziszyn właśnie Krzyż Walecznych dostałem.

— A ja...

— A co byście panowie zrobili w takiej sytuacji: wieciecie dwie walizy kiełbas, a tu na stacji obława?! I rewizja! Zostawić wszystko? Rozpacz przecież! Rozglądam się, czy nie spotkam jakiegoś znajomego Niemca, bo z niektórymi też się handlowało, oni mi konserwy, ja im spirytus, ale gdzie tam, nie widać nikogo. Trzeba teraz pod okiem Niemców chyttrze upchać jak najwięcej tej kiełbasy przy sobie. Cały sekret polegał na specjalnym systemie podwójnych szelek. Oj, przeżywało się, przeżywało... No a teraz jak panu idzie? Działa pan gdzieś? Bo nasz Władzio nic tych swoich medali nie potrafi wykorzystać. A pan?

— Co tam ja...

— Za mało pastwiska dla wszystkich medalistów — powiedział mężczyzna, którego bolały zęby.

— Panie, ale pokazywać się! Nie bez tego, żeby przy każdym pokazaniu się czegoś tam sobie nie załatwić. Ja, na przykład, jak spotkałem się wtedy w UB z tamtym majorem, wycygałem od niego papierka, że dostarczałem broni. Tak na wszelki wypadek, żeby się mnie więcej nie czepiali. A jak potem zaczęli zbierać się i ruszać kombataneci, rozejrzałem się w sytuacji, odczekałem i poszedłem do nich z tym papierkiem. I co? Za miesiąc zjazd krajowy, a ja zostałem wybrany delegatem. Pomyślcie tylko, panowie, że możecie zobaczyć mnie w telewizji, jak przemawiam! He, he, he... No, niech wódeczka nie stygnie!

Znów pili i jedli. Zamieniono się miejscami; kobiety zsiadły się przy oknie, a mężczyźni przy drzwiach.

— Panie! — mąż kobiety spod okna klepał po kolanie męż-

czyżnę, którego bolały zęby — panie, to tylko ja! Ile tylko potrzeba tych grzejników, dostarczę każdą ilość. Całą instalację do centralnego ogrzewania mogę panu załatwić.

— Kocioł i rury mam. Grzejników tylko nigdzie nie można dostać...

— Będziesz pan miał! Tylko cicho, żeby ktoś milicji nie doniósł... Wiesz pan, jaka to robota?

— Co mam nie wiedzieć...

— A blachy ocynkowanej nie załatwiłby pan? — pochylił się mężczyzna siedzący przy drzwiach.

— Ile tylko panu trzeba! Tylko też cicho...

— Rozumiem...

— Mama, wyciągnij no coś tam! Wyciągnij!

— Heniu, dość już masz!

— Mama, interesy załatwiam!

— Interesy?

— Tak! Wyciągnij no buteleczkę! I paszteciku kawałek ukrój. Wystarczy i dla chłopaka, nie bójcie się. Zobaczmy jutro jakich mamy synów. W mundurach, pod bronią. Proszę państwa, uwaga! — otarł dłonią usta i podając ręką takt, zaczął:

— My ze spalonych wsi!...

— My z głodujących miast! — wysoko zawtórowała mu spod okna żona, krojąc na cienkie plasterki kawałeczek pasztetu.

Ł Y Ź K A

— Niech pan patrzy — mówiła sprzątaczką, trzymając starego za rękę i pokazując łyżkę milicjantowi. — Widzi pan? Zobaczyłam, jak chował ją do kieszeni, zatrzymałam go i zawołałam pana. Ukraść chciał.

— Nieprawda — zaprzeczał stary — nie chciałem ukraść. To jest moja łyżka. Moja własna.

— Cicho! — sprzątaczką była już zła. — Do stołówki z własną łyżką przychodzisz, co?

— Tak — stary patrzył na milicjanta spokojnie i ufnie. — To jest moja łyżka.

— Czy on już tutaj kiedyś był? — zapytał milicjant, biorąc łyżkę z rąk sprzątaczkę i uważnie ją oglądając.

— Czy był? Przychodzi tu codziennie! Nawet nie pamiętam od jak dawna. Sam jest, nie ma domu ani nikogo. Przychodzi tutaj na obiady. Dajemy mu jeść za darmo. Za darmo — powtórzyła z naciskiem i ze złością szarpnęła starego za rękę. — A on jeszcze kradnie!...

— Nieprawda. Nigdy nic nie ukradłem. Ta łyżka jest moja.

— A czy więcej nic tutaj nie zginęło? — zapytał milicjant, z uwagą oglądając starego.

— Czy nie zginęło?... Nie wiem. Takich rzeczy jak łyżki nigdy nie liczymy.

— Hm...

— Nigdy nie myślałam, że ktoś może kraść łyżki.

— Różnie bywa. — Milicjant zastanawiał się nad czymś. — Czy na tej łyżce jest jakiś znak? — zapytał wreszcie.

— Znak? — zdziwiła się sprzątaczką. — Jaki znak?

— Że łyżka pochodzi z tej właśnie stołówki.

— Nie... Nie ma. Nie robimy takich znaków.

— To źle. Nie mogę mu w takim razie nic udowodnić.

— Więc jak będzie? — zapytała sprzątaczką.

— Musicie poznać łyżki. Jakbym złapał go z łyżką znaczoną, to wtedy wszystko byłoby jasne.

— Znać wszystkie łyżki?! Zaraz — pobiegła do kuchni i wróciła z nożem. Wzięła od milicjanta łyżkę. Zamiast znać wszystkie wystarczy jak naznacze jego.

— Może być — zgodził się milicjant — najważniejsze, że będzie znaczona.

— Nie! — powiedział stary. Powiedział cicho, ale zabrzmiało to jak jakiś stłumiony półkrzyk. — Nie! Mojej nie znaczą. Przecież to moja łyżka. Moja własna.

Ale sprzątaczką skrobała już coś nożem na trzonku.

— Masz — podała wreszcie łyżkę staremu, a stary wziął ją machinalnie.

— W porządku — powiedział milicjant. — I proszę codziennie sprawdzać. Gdyby chciał wynieść inną, wtedy... — spojrzał na starego znacząco.

— Nie będę chciał wynieść — odpowiedział stary, unosząc na chwilę głowę i zaraz opuszczając ją znowu. — Nigdy nic nie wyniosłem. Od kiedy tylko zacząłem tutaj przychodzić, zawsze miałem tę łyżkę. Swoją własną...

Nazajutrz, kiedy stary skończył już jeść i wytarłszy starannie łyżkę, chciał schować ją do kieszeni, podeszła do niego sprzątaczką.

— Pokaż! — zażądała. I stary, niechętnie, pokazał.

— Co to? — zdziwiła się.

— Nic — odpowiedział stary. Ułamałem tylko kawałek trzonka, gdzie był ten znak. Tak też będzie można ją poznać.

Andrzej ŁUCZEŃCZYK

Wiersze

Czesław MIŁOSZ

W I D O K

Nic nie brakowało temu krajobrazowi oprócz uświetnienia.
Oprócz królewskich posłów, którzy by dary przynieśli:
Rzeczownik z atrybutem i odmieniane słowo.
Niech by suto jaśniały dęby drogocenne
Kiedy panowie studenci ścieżką nad miastem w dolinie
Idą i „Hej radością oczy błysną” śpiewają.
Niech by choć Filon samotny w korze wycinał litery.

Nic nie brakowało temu krajobrazowi oprócz uświetnienia.
Ale posłów nie było. Gęstwa, ciemne wąwozy,
Nad lasem zwieszał się las, kania kwiliła.
I kto by tutaj zdołał ufundować zdanie?
Widok był, nie wiadomo jaki, pewnie piękny.

Tam nisko rozpadały się zamkowe sale,
Uliczki za katedrą, burdeliki, sklepy.
A z ludzi nikogo. Więc skąd by poselstwo?
Po niewiadomych klęskach dziedziczyłem ziemię
Aż do brzegu morza, i nad ziemią, słońce.

CAESAREA

Kiedy wpłynęliśmy na wody Caesarei
Albo zbliżyliśmy się do niej błędząc po atlasach,
Mewy spały na gładkich toniach między przylądkami,

Sznur dzikich kaczek leciał wzdłuż delty we mgle porankowej.
Za dymem widziadła, wieże. Błyski i dźwięk jak metalu.
I galeony tam pewnie, tych co przybyli wiek temu,
U miejskich bram próchniejące.

Ileż lat mieliśmy uczyć się i nie rozumieć.
Zbrodziliśmy targowiska Caesarei.
Przeprawiliśmy się przez łańcuchy górskie i wewnętrzne morza,
Poznając mnóstwo jej ludów, i wiar, i narzeczy.
Teraz, kiedy gorzkością jest nam Caesarea,
Dalej nie wiemy: czy nas chciwość oczu uwiódła,
Czy tak mocno wierzyliśmy, że spełniło się
Posłannictwo: pierwsze wezwanie.

STUDIUM SAMOTNOŚCI

Strażnik dalekobieżnych przewodów na pustyni?
Jednoosobowa załoga fortecy z piasku?
Kimkolwiek był. Widział o świcie sfałdowane góry
Barwy popiołu, nad nocą, która topnieje,
Nasycające się fioletem, biorące płynny róż,
Aż stawały, ogromne, w pomarańczowym świetle.
Dzień po dniu. I, ani spostrzegł, rok po roku.
Dla kogo, myślał, ten splendor? Dla mnie jednego?
A przecie dalej trwać będzie kiedy ja zginę.
Czym to jest w oku jaszczurki? Co widzi ptak przelotny?
Jeżeli ja jestem ludzkość, to czy ona jest sobą beze mnie?
I wiedział, że na nic wołać, bo nikt z nich jego nie zbawi.

UDANE ŻYCIE

Jego starość przypadła na lata urodzaju.
Nie było trzęsień ziemi, susz ani powodzi.
Zdawało się, że przybiera na łądzie obrót sezonów,
Że gwiazdy jarzą się mocniej i słońce potężniej jaśniej.
Nawet w odległych prowincjach nie toczono wojny.
Pokolenia rosły bliżnim życziwe.
Nikt nie sztydził z dobrej natury człowieka.
Gorzko było żegnać ziemię tak odnowioną.
Zazdrościł i wstydził się swego zwątpienia,
Rad że razem z nim ginie obolała pamięć.

W dwa dni po jego śmierci huragan spustoszył wybrzeża.
Zadymiły nieczynne od stu lat wulkany.
Lawa pęzła na lasy, winnice i miasta.
I wojna zaczynała się bitwą na wyspach.

UPADEK

Śmierć człowieka jest jak upadek państwa potężnego,
Które miało bitne armie, wodzów i proroków,
I porty bogate, i na wszystkich morzach okręty,
A teraz nie przyjdzie nikomu z pomocą, z nikim nie zawrze
[przymierzy,

Bo miasta jego puste, ludność w rozproszaniu,
Oset porósł jego ziemię kiedyś dającą urodzaj,
Jego powołanie zapomniane, język utracony,
Dialekt wioski gdzieś daleko w niedostępnych górach.

DOWÓD

A jednak zaznałeś piekielnych płomieni.
Mógłbyś nawet powiedzieć jakie są: prawdziwe,
Zakończono ostrymi hakami żeby darty mięso
Po kawałku, do kości. I szedłeś ulicą
I odbywała się kaźń, broczenie, smaganie.
Pamiętasz więc nie wątpisz. Na pewno jest Piekło.

PODZIWI

O, jaka zorza w oknach. I działa biją.
Nilem zielonym płynie koszykowa łódka Mojżesza.
Nieruchomo stojąc w powietrzu nad kwiatami lecimy.
Śliczne goździki, piękne tulipany na niskich stołach.
Słychać i rogi myśliwskie, ogłaszają Halla-li.
Nieprzebrane, niepoliczone substancje ziemi.
Zapach czombru, kolor jodły, szron, tańce żurawi.
A wszystko równoczesne. I chyba wieczne.
Oko nie widziało, ucho nie słyszało, a to było.
Struny nie wygają, język nie wypowie, a to będzie.
Lody malinowe, topniejemy w niebie.

Czesław MIŁOSZ

Co Robić?

Perspektywy polskie

I

Na perspektywy polskie chciałbym spojrzeć najpierw w skali bardziej długofalowej, „strategicznej”, a potem w płaszczyźnie bardziej aktualnej, związanej z bieżącą taktyką.

Zainicjowana przez *Kulturę* dyskusja na naczelny polski temat narodowy: Co robić? — aby być najbardziej rzeczową i konkretną — powinna, moim zdaniem, pójść tymi dwoma torami.

W skali strategii narodowej nie ma alternatywy dla naszego głównego celu — odzyskania niepodległości, takiej, jaką cieszą się państwa średniej wielkości i na naszym poziomie w wolnym świecie zachodnim, mimo oczywistej przewagi supermocarstw atomowych i gigantów gospodarczych. Walka o niepodległość nie ma nic wspólnego z programową antyrosyjskością, ale nie ma innej drogi do niepodległości, jak narodowe uniezależnienie się od Rosji Sowieckiej. Polacy z pewnością muszą doceniać światowe znaczenie Rosji, ale dobrze wiedzą, że *Rosja obecna nie chce się z nimi porozumiewać na zasadzie partnerstwa*. Sowiety nie mają w swoim arsenale pojęć politycznych idei wspólnoty narodów, uważają natomiast, że interes imperium wymaga narzucania innym swej siły i woli. Sądzą, że sowiecki „socjal-imperializm” uda się utrzymać rzeczywiście tylko na tej zasadzie. Skazuje ona jednak na niewolę wewnętrzną samą Rosję, a ujarzmione przez Sowiety narody na niewolę i opór, będący warunkiem zachowania własnej narodowej odrębności i osobowości. Oznacza to, że polskie cele narodowe mają charakter „romantyczny” i niepodległościowy, choć nikt rozsądny nie proponuje porywów zbrojnych skazanych na zagładę. Niepodległościowe cele strategiczne nie wykluczają też etapowych kompromisów z zaborcą sowiec-

kim, jeżeli będzie się on czuł do nich zmuszony w tym lub innym okresie. *Chwilowo Rosja Sowiecka nie czuje się zmuszona do żadnych kompromisów z Polską, a nawet przeciwnie poddaje nas większej niż w ciągu ostatnich 20 lat ingerencji wewnętrznej, dyrygując bez żadnych osłonek reżymem warszawskim. Nie uważam, aby Gierek i całe obecne kierownictwo PZPR byli zwykłymi agentami sowieckimi. Przeciwnie, wydaje mi się, że większość głównego kierownictwa partyjnego jest nastawiona dość nacjonalistycznie. Jednakże Gierek i jego ekipa, w przeciwieństwie do Gomułki, dali się zapędzić w stan całkowitej niemal zależności od Moskwy. Stało się to z dwóch przyczyn: po pierwsze Gierek mógł zwyciężyć kolejno swych dwóch rywali w partii — Moczarą i Szlachcicą — tylko przy pomocy Rosjan, ponieważ ci działacze, dysponując MSW, podporządkowali sobie większość aparatu partyjnego i choć drogi ich się rozeszły, stanowili symbol nacjonalistycznego skrzydła partii, po drugie Rosjanie prowadzą od wielu lat bardzo sprytną politykę wkomponowywania gospodarki polskiej w swój system (po części w ramach RWPG) i uzależnili nasz kraj od 3 głównych kranów surowcowych: naftowego, bawełnianego i rud żelaznych, których zamknięcie może w ciągu paru dni zlikwidować gospodarkę polską, a w każdym razie petrochemię płocką, przemysł łódzki i większość hutnictwa.*

Ostatni i jedyny korzystny kompromis Polski z Rosją Sowiecką został zawarty w 1956 roku. Od tego momentu jesteśmy systematycznie spychani z osiągniętego wtedy nieznacznego marginesu wolności i niezależności. Niewiele z tego rozumie prof. Adam Bromke i chce kopiować politykę Dmowskiego w całkiem odmiennych warunkach. Bromke powinien raz jeszcze przeczytać przemówienie Dmowskiego w Dumie rosyjskiej, aby zrozumieć, że dla przywódców endecji ważną przesłanką była polityka Rosji wobec polskości.

Dzisiejsza polityka Sowietów wobec Polski zagraża naszej kulturze i osobowości narodowej i ewoluuje w kierunku dla nas coraz mniej pozytywnym. Dopóki Rosja nie będzie chciała partnerstwa z Polską, orientacja prorosyjska w Polsce jest bezprzedmiotowa, nie ma punktu odniesienia. Jeżeli Rosja zostanie zmuszona przez układ sił światowych do szukania porozumienia z Polską na zasadzie partnerstwa, to oczywiście polska polityka prorosyjska stanie się aktualna, a poszukiwanie godnego kompromisu potrzebne. W chwili obecnej nie przynoszące niczego konkretnego ukłony wobec Rosji należy pozostawić jej niewolnikom w kraju, którzy przynajmniej w ten sposób utrzymują formalnie państwowość polską i budują, kulawą co prawda, gospodarkę kraju. Na emigracji taka polityka jest szkodliwa, niezależnie od

intencji jej ewentualnych wyrazicieli. Cóż to bowiem za polityka, z której korzyści może czerpać tylko jedna strona?

Niedwuznaczne stanowisko polityczne Sowietów nie ma nic wspólnego z przeciwstawianiem się pracy organicznej. XIX-wieczne przeciwieństwo — romantyzm czy realizm — nie ma analogii w obliczu komunistycznego totalizmu. Praca organiczna w której uczestniczy całe pracujące w kraju społeczeństwo jest zrozumiała i niezbędna. Ale nie ma ona nic wspólnego z polityką pseudo-realistyczną, w wyniku której reżym warszawski uzyskuje deklaracje lojalności w zamian nie zobowiązując się do niczego. Nie można wykluczyć możliwości pewnych kompromisów z reżymem, ale nigdy nie powinny one następować za darmo, bez wzajemnych świadczeń władz na rzecz swobód obywatelskich, udziału robotników w zarządzaniu, wolności kultury, kościoła, zrzeszeń publicznych itp.

Piłnym obowiązkiem krajowych i emigracyjnych elit umysłowych jest wypracowanie diagnoz dalszej ewolucji międzynarodowej w odniesieniu do głównego celu narodowej niezawisłości. Żadne imperium nie trwało wiecznie i kolonialne imperium sowieckie także kiedyś się zawali. Rosja jest wielkim mocarstwem atomowym i raketowym, ale jej struktura społeczna ma śmiertelne pęknięcia. Dialektyka tych dwóch sprzecznych realiów — że imperium może przetrwać tylko kilka miesięcy ale również i 9 lat, do przysłowiowego 1984 roku, czy lat kilkadziesiąt. Będzie to zależało nie tylko od samej Rosji, ale także od integracji i zdecydowania bezradnego od 30 lat Zachodu oraz kierunku ewolucji Trzeciego Świata i przebiegu nabierającego dynamiki konfliktu północ-południe.

W każdym razie na wypadek załamania się czy osłabienia imperium, Polacy powinni mieć przygotowaną strategię narodową. Można chyba się zgodzić z tezą, że chociaż Piłsudski i Dmowski nie przewidzieli dokładnie rozwoju wydarzeń I-ej Wojny Światowej, to ich strategie — choć skrajnie przeciwstawne — przyczyniły się jednak — choć może nie w jednakowej mierze — do powstania niepodległej Polski. Współcześnie potrzebne są nam tego typu choćby wzajemnie sprzeczne koncepcje strategiczne.

Być może żadna z nich w pełni się nie sprawdzi, ale mogą odegrać jakieś cząstkowe role w momencie rozpadu czy osłabienia imperium. Bezbłędnej prognozy najprawdopodobniej sformułować się nie da, ze względu na niezliczoną ilość współczynników, wyznaczających dziś rozwój sytuacji światowej. Pewne natomiast wydaje się jedno, że różne koncepcje polskiej strategii narodowej muszą uwzględniać przede wszystkim fakt, że Polska leży między Niemcami a Rosją i że polska polityka niemiecka i rosyj-

ska jest osią naszej strategii narodowej. Pozostanie tak nawet wtedy, gdy polityka światowa toczyć się będzie w ramach innej figury geometrycznej niż trójkąt: Waszyngton-Moskwa-Pekin. Najprawdopodobniejsze zjednoczenie Niemiec w wyniku upadku lub osłabienia imperium sowieckiego będzie miało decydujące znaczenie dla polskiej polityki wobec tego kraju. Również realne w takiej sytuacji usamodzielnienie się Ukrainy, Białorusi, Litwy, Łotwy, Estonii nie zmniejszy ważności polskiej polityki rosyjskiej. Zarówno w polityce niemieckiej jak i rosyjskiej musimy strzec się schematów z przeszłości, choć należy wyzyskać wszystkie doświadczenia historyczne. Absurdem jest dogmatyzm wobec geopolityki Dmowskiego, jaki uprawia Bromke, czy całkiem opanowany fanatyzmem Giertych. Równym absurdem byłoby odgrzewanie koncepcji Międzymorza, która w gruncie rzeczy była kontynuacją orientacji austriackiej. Powtarzam raz jeszcze: polityka w naszej dobie ma charakter globalny, ale to wcale nie znaczy, że nie będą dochodziły w niej do głosu pewne zjawiska partykularne. Szczególnie, że świat ma tyle własnych kłopotów oraz globalnych, uniwersalnych zagrożeń (eksplozja demograficzna, głód, zatrucie środowiska naturalnego, wojna nuklearna, kryzys duchowy i kulturowy społeczeństwa rozwiniętych itp.), że nikt ani dziś ani w przyszłości naszymi losami przejmować się nie będzie. Jesteśmy zdani na siebie. Na odwagę i śmiałość własnej myśli politycznej i czynne zaangażowanie całego narodu.

Zaryzykuję tezę, że polska polityka wschodnia będzie musiała oscylować między zachowaniem przyjaznych stosunków z nową Rosją, a porozumieniem (nie federacją) między naszymi bezpośrednimi sąsiadami na Wschodzie: Ukrainą, Litwą i Białorusią. Wybór większego zbliżenia będzie zależeł nie od nas, ale od układu sił, który się wytworzy. Jeśli jednak w ZSSR nie dojdzie do gigantycznej katastrofy i wojny ludów, co jest możliwe, to Rosjanie zostaną zmuszeni do ustępstw, choć zachowają duże wpływy w tej części świata. Polska racja stanu będzie nakazywała porozumienie z nimi, które nie może jednak zaprzeczać prawom innych narodów do samostanowienia. Polska nie może i nie powinna myśleć o swej hegemonii na Wschodzie w miejsce obecnej hegemonii sowieckiej, ale powinna układać się na tym terenie z Rosją w oparciu o zasadę samostanowienia narodów. Zapewni jej to sympatię bezpośrednich sąsiadów i atut w grze z decydującym partnerem jakim pozostanie Rosja, będąca tu narodem największym i najsilniejszym.

Częściowe wyparcie wpływów Rosji z Europy Wschodniej przesądzi zjednoczenie Niemiec. Należy realnie ocenić, że w Niemczech nie ma sił, które widziałyby w Polsce swego głównego partnera na Wschodzie. Uznanie praw i granic naszych bezpo-

średnich sąsiadów na Wschodzie będzie głównym atutem wobec Niemiec. Osobiście nie wierzę w wielką falę niemieckiego rewizjonizmu, raczej przewidywałbym politykę ograniczonego nacisku polityczno-gospodarczego dla zwiększenia wpływów niemieckich nad Bałtykiem. W każdym razie polska polityka wschodnia i zachodnia powinny pozostać silnie ze sobą sprzężone.

Rozważania te można uznać za chimeryczne, jeśli nie widzi się innego rozwiązania obecnego podziału świata poza wojną nuklearną. Ponieważ jednak warto rozważać tylko rozwiązania które pozwolą nam przeżyć jako narodowi, więc nie zajmuję się ewentualnością totalnej katastrofy. Jeśli zaś jej nie będzie to należy raczej przewidywać powolne ograniczanie imperium rosyjskiego m.in. przez antyimperialistyczne siły w samej Rosji, niż całkowity rozpad tego państwa. Jeśli teza ta jest słuszna, to ona wyznaczać będzie politykę polską.

Oczywiście, decydujące znaczenie międzynarodowe mieć będzie zmiana układu sił między głównymi mocarstwami. Prognozy na ten temat są może najważniejsze, ale moralno-polityczne zasady polityki polskiej w sensie pełnego uznania zasady samostanowienia narodów — co w gruncie rzeczy oznacza uznanie naszych obecnych granic także wschodnich — są w dużej mierze niezależne od przewidywanych przesunięć w pozycji mocarstw.

II

Bieżąca taktyka walki o szerszy zakres wolności w Polsce, o niezależność duchową narodu, wolny rozwój jego kultury, o uchronienie człowieka od sowietyzacji duchowej w istocie polega bardziej na stosowaniu oporu — jak tego chciał jeden z dyskutantów w *Kulturze* — niż na opozycji w politycznym znaczeniu tego słowa. Ale przestrzegałbym także przed jakimkolwiek dogmatyzmem w tej sprawie: akcje czynnego protestu są coraz bardziej nieodzownym warunkiem zachowania godności i osobowości narodowej.

Opór natomiast jest elementarnym wymogiem urzeczywistnienia klasycznego programu minimum, który zaproponował Sołżenicyn w prostej formie „Nie kłamać”. Formuła ta odnosi się do każdego człowieka żyjącego w socjalistycznym „łagrze”. Ale formuła ta — jeśli ma odpowiadać na narodowe pytanie „Co robić?” — musi zostać przełożona na język wskazań politycznych. Otóż należy robić wszystko to co przeszkadza rządzącej partynjo-urzędniczej oligarchii biurokratycznej w wymuszaniu od społeczeństwa akceptacji społecznej dla jej rządów. Akceptacji swoich rządów rządząca biurokracja domaga się od elit umysłowych i zawodo-

wych na wszystkich możliwych płaszczyznach społecznych, na których rozwija się życie publiczne. Akceptacji od całego społeczeństwa domaga się reżym i Wielki Brat co cztery lata w wyborach do Sejmu i Rad Narodowych. Jako forma akceptacji pomyslane są pochody 1-szo majowe, manifestacje patriotyczne, zjazdy, zebrania organizacji zawodowych, społecznych, kulturalnych. Otóż w imprezach tych należy albo nie brać udziału w ogóle, albo powstrzymać się od deklaracji, które byłyby równoznaczne z udzielaniem kredytu rządzącej oligarchii. A w każdym razie kredyt ten nigdy nie powinien być bezwarunkowy. Można — moim zdaniem — uczestniczyć w zebraniu, które daje pewien profit ekipie rządzącej, ale tylko wtedy, jeśli wcześniej wynegocjuje się niezbędne dla tego środowiska koncesje i to moralne, wolnościowe, a nie materialne i finansowe — co jest ostatnio w kraju bardzo modne.

Kluczowym problemem są oczywiście wybory powszechne, najbardziej masowa forma upadlania społeczeństwa, przez wymuszanie na nim służalczości. Wiadomo, że są w Polsce nieliczne jednostki, które nie głosują i właściwie nic im się złego nie dzieje, jeśli nie liczyć ewentualnej utraty możliwości otrzymania paszportu zagranicznego.

Czy postulat masowego uchylania się od wyborów jest w ogóle realny? Wbrew pozorom myślę, że jest realny. Partia przyzwyczaiła się doprowadzać mitem groźby — 97-99 % obywateli do urn wyborczych. Gdyby frekwencja wyborcza spadła o 10 % byłby to już skandal polityczny, zdolny zmienić przynajmniej personalia w ekipie władzy. A przy dłuższej, systematycznej akcji emigracji politycznej i ruchu oporu w kraju, sądzę, że jeśli nie w najbliższych wyborach, to w następnych można by podwoić czy potroić procent niegłosujących. Byłby to dla partii wstrząs na miarę Października 1956 i musiałaby wtedy pójść na koncesje wobec społeczeństwa. Emigracja powinna do tej akcji wprząć wszystkie swoje organy, instytucje i narzędzia. W kraju, gdzie rząd dusz sprawują mało zsolidaryzowani „liberalni” intelektualści i „narodowy” kościół, obie te grupy nacisku powinny wystąpić z tym samym celem. Przypominam, że najbliższe wybory będą miały miejsce na wiosnę przyszłego roku, a celem ich ma być powołanie „niemego sejmku”. Gdyby wszystkie liczące się w kraju autorytety: kościół, intelektualści, inteligencja techniczna i menadżerowie, wreszcie elity robotnicze oddziaływały w jednym kierunku — partia musiałaby pójść na koncesje.

Oczywistą trudnością jest ustalenie jakie koncesje należy uznać za minimum, umożliwiające wystawienie partii na próbę sił. Koncesje te muszą wiązać się z konkretnymi, z sytuacją w kraju. Muszą dotyczyć przede wszystkim samych wyborów, urealnienia

list przez ich znaczne rozszerzenie, wpuszczenie do sejmu nie symbolicznych, ale autentycznych przedstawicieli grup zawodowych, wyznaniowych i środowisk twórczych. Następnie należy żądać od partii ujawnienia stanu gospodarki i uczestnictwa załóg w zarządzaniu. Dalej ograniczenia cenzury i zwiększenia swobód wyznaniowych i kulturalnych. Może ktoś zapytać, kto będzie w tych wszystkich sprawach z partią dyskutował, kto jej postawi warunki i uzna, że zostały one spełnione. Otóż odpowiedź jest dziecinnie prosta. Należy rzucić i szeroko rozprzestrzenić hasło powstrzymywania się od udziału w wyborach. A partia będzie już dobrze wiedziała z kim ma pertraktować, żeby do demonstracji nie doszło.

Partia zna polską geografie polityczną, ludzi liczących się i mających wpływ, i to nie tylko na szczytach biskupich czy literackich ale także w zakładach pracy. A tam powstrzymanie się od udziału w wyborach wywołałoby paniczny strach rządzących i gorączkowe próby wynegocjowania kompromisu.

Skuteczność akcji tego rodzaju byłaby olbrzymia, bo partia liczy każdy *promille* niegłosujących, sprawdza każde nazwisko i fotografuje każdą zakonnicę idącą do upakarzającego głosowania. Niebezpieczeństwo akcji dla społeczeństwa byłoby równe zeru. Jeśli nie głosuje kilkuset ludzi w mieście można ich jeszcze szkanować, przy kilku tysiącach byłoby to trudne, a przy kilkudziesięciu tysiącach zupełnie niemożliwe.

Proponuję więc w ramach debaty „Co robić?” powstrzymać się od głosowania w najbliższych wyborach. Każdy procent, a nawet *promille* społeczeństwa, który zastosuje się do tej formy biernego oporu będzie miał poważne znaczenie polityczne, zmusi partię i opiekunów sowieckich do nowego spojrzenia na problem polski. Oczywiście propozycja ta ma charakter przykładu. Można wysunąć inne formy oporu. Zapewniam jednak, że największy skutek da przeciwdziałanie na tych odcinkach, do których partia przywiązuje największą wagę. W okresie wyborów mobilizuje się setki tysięcy aktywistów. Spróbujmy razem z siłami kraju i emigracji zmobilizować parę setek ludzi, którzy odważą się mówić innym: nie idź głosować. Ten przykład oporu wydaje mi się szczególnie właściwy także z tego względu, że partia uważa, że musi ustępować przed żądaniami ekonomicznymi i próbuje przekupywać społeczeństwo. Niechże więc zobaczy, że politycznie nie zostało ono uspione, że też potrafi żądać i uzyskiwać. I powtarzam: spadek frekwencji wyborczej o kilka procent będzie już szokiem i wstrząsem, a każdy z nas nie idąc głosować nie popełnia żadnego przestępstwa i niczym nie ryzykuje. Dodam na koniec, że za dobry żart ze strony ludzi bardziej świadomych uważałbym fakt sprawdzenia swojej obecności na liście wyborczej — na co

partia tak bardzo nalega — a potem nie wzięcia udziału w głosowaniu.

Kraj komunistyczny, w którym frekwencja wyborcza spadłaby choćby o 10 % wywołałaby sensację światową, równą tej jaką jest dzieło Sołżenicyna, a nawet większą — bo masową i społeczną.

Chcąc utrzymać się w ramach artykułu nie mogę mnożyć przykładów oporu biernego lub czynnego. Podam więc tylko propozycje przykładowe:

1) Uważam, że pisarze i intelektualiści powinni wystąpić z publicznym oświadczeniem na temat zagrożenia kultury polskiej, ze swego rodzaju „listem 34-ch”, tym razem podpisanym przez jeszcze więcej osób i dość obszernie dokumentującym straty polskiej twórczości na skutek działania cenzury i presji ideologicznej.

2) Sądzę, że Kościół katolicki w Polsce powinien ujawnić składane rządowi dokumenty, obrazujące nieprzejednaną akcję władz wobec religii włącznie z *antynarodową* polityką uniemożliwiania nominacji arcybiskupa we Wrocławiu, który miałby szanse uzyskania trzeciego polskiego kapelusza kardynalskiego. Rząd jest odpowiedzialny za to, że w polskim Wrocławiu nie ma polskiego kardynała.

3) Jestem zdania, że kompetentne grono polskich ekonomistów i menadżerów powinno opracować i ujawnić raport na temat prawdziwego stanu gospodarki polskiej, faktycznie prowadzonej polityki gospodarczej, technologicznej, założeń handlu zagranicznego, relacji z RWPg, z krajami zachodnimi, a w tym z EWG.

Oto znów trzy przykłady konkretnych wystąpień czynnych, które, być może, wciągnęłyby do akcji jedynie kilkadziesiąt lub kilkaset osób, ale mogłyby wstrząsnąć apatyczną biurokracją partyjną i znaleźć szerokie echo.

Proszę Czytelników, żeby swoje ewentualne zastrzeżenia i uwagi, dotyczące ryzyka tego rodzaju *przykładowych* aktów biernego i czynnego oporu, zechcieli skonfrontować z własnym wyobrażeniem o Polsce i z naszą szansą ponownego „wybicia się na niepodległość”. Jestem najdalej od proponowania Polakom, aby stali się narodem męczenników. Ale bez pewnego ryzyka, bez ograniczonych ofiar i aktów przemyslanej, rozumnej odwagi niczego nie da się osiągnąć. Obawiam się, że duża część naszej opinii — słusznie zadowolona z odmienności naszej sytuacji od stanu istniejącego w Czechosłowacji, NRD czy Bułgarii — dufna w siłę i odmienność naszej kultury łacińskiej i wolnościowe zalety Polaków, popada zwolna w relatywizm moralno-polityczny. Tymczasem zaś proces sowietyzacji społeczeństwa, forsowany wszystkimi środkami jakimi dysponuje nowoczesne państwo, stale postępuje naprzód. Nie jest to sowietyzacja doktrynalna, ale moralna i obyczajowa. Nie jest ona ideologiczna, ale praktyczna,

i zmierza do równoczesnego usypiania społeczeństwa i wpojenia mu materializmu praktycznego, do rozbudzenia w nim ciasnego indywidualnego egoizmu, chęci posiadania, bogacenia się, bez troski o dobro ogółu, o sytuację narodu i stan państwa.

Polsce potrzebne są w tej chwili nie nieprzemysłane wybuchy buntu, ale ciągła presja na partię robotników i inteligencji, obrona chłopów przed kolektywizacją i elit umysłowych przed zagrożeniem odrębności kultury narodowej. Nie na ostatnim miejscu jest nam też potrzebne świadome tworzenie elit umysłowych, małych zespołów ludzi twórczych, wspólnie myślących i wytyczających szersze drogi dla ogółu społeczeństwa.

Po doświadczeniach ostatniego trzdziestolecia, jedno jest już pewne. Nie ma mowy o tzw. Naprawie Rzeczypospolitej, o skutecznych i trwałych reformach, w ramach PRL'u. Cel przedstawia się jasno. Jest nim niepodległość Polski i stałe ustępstwa rządzących pod naporem społeczeństwa. Ewentualne reformy są w pojęciu marksistów typu sowieckiego zawsze chwilowym odstępstwem od totalizmu komunistycznego i „socjal-imperializmu” Sowietów. Dlatego pokolenia nasze skazane są nie na walkę o reformy częstkowe, ale o cele zasadnicze, których reformy mogą być tylko punktami etapowymi, tak jak dla komunistów zawsze były i są chwilowymi, przejściowymi ustępstwami.

Strategia narodowa zmierzająca do odzyskania niepodległości i taktyka bieżącego nacisku społeczeństwa na rządzących mają jeden i ten sam cel ostateczny. I nie jest żadnym argumentem, że żyjemy w świecie suwerenności ograniczonej do dwóch, trzech czy pięciu mocarstw. My jej jesteśmy pozbawieni w ogóle. Musimy zacząć etapami ją odzyskiwać. Może nie zdobędziemy niezależności w skali wielkich mocarstw. Ale naród z naszymi tradycjami historycznymi, liczebnością i obiektywnymi możliwościami nie może dać się uspić. W przeciwnym wypadku ulegnie sowietyzacji czyli wynarodowieniu.

Artykuł nadesłany z Kraju

Komunizm a reformacja

Od lat powtarza się pytanie o program. Czasami formułujemy je odmiennie i pytamy o programy. Wtedy jest to pytanie

o kształt i charakter opozycji. Tak czy inaczej gubimy się po społu w gąszczu splątanych celów i wartości.

W Warszawie mówi się coraz częściej o potrzebie rewolucji moralnej. Powiedziałbym raczej konstytucji moralnej, tej której zamysł odczytać można z pism księdza Kołłątaja i księdza Staszica, a której rożmyślne tworzenie ustało na rzecz przyczynkarskiej roboty filozofów i poetów. Konstytucja moralna jest programem, chociaż nie jest planem działania, klasyfikuje wartości i cele ogólne, ujmując je w szerokie ramy możliwości działań jednostkowych.

Najpoważniejszym przyczynkiem do polskiej konstytucji moralnej są „Tezy o nadziei i beznadziejności” Kołakowskiego, ale „Tezy” są uniwersalne, dotyczą całego systemu politycznego. Trzeba je poszerzyć na pewne szczególne problemy lokalne. Zarówno w „Tezach” jak i w „Sprawie polskiej” podejmuje Kołakowski problemy zbiorowej pamięci, wiary (nadziei) i wyobrażeń. Podobnie jak Ossowski akcentuje znaczenie postaw jako jednego z głównych korelatów społecznej zmiany. Jeśli Kołakowski nie traci nadziei to dlatego, iż wierzy on w ewolucyjną przemianę, której motorem będzie cywilna odwaga wielu jednostek. Odwagę mówienie prawdy przyjmuje za pierwsze przykazanie konstytucji moralnej.

W tym miejscu zbiegają się myśli filozofa i poety Antoniego Słonimskiego. Póki walczą oni przeciw świństwu, przeciw świadomemu wyborowi kłamstwa i uległości za cenę przywilejów, racje filozofa i poety są oczywiste i banalne. Ale przeciwnik nie nosi munduru z trupa czaszką na czapce, poraża mgłą i dusznością, a czasem smrodem naszego własnego oddechu. Na biurku przeszukującego może się znaleźć tomik wierszy Słonimskiego, a podejrzewam, że niejeden z partyjnych funkcjonariuszy poważnie zastanawiał się nad „Tezami”. W końcu wszyscy należymy do opozycji. Konstytucja moralna dopomóc musi w rozpoznawaniu dobra i zła w warunkach terenowych, musi być programem porządkującym wartości pozornie sprzeczne, względnie tylko odległe.

Opozycja w Polsce obejmuje sto procent społeczeństwa, a jej skuteczność jest niemal odwrotnie proporcjonalna do tej liczby. Pozostawanie w opozycji do systemu stanowi ważny czynnik integracji społecznej. Integracja ta jednak dokonuje się bez naruszania tradycyjnych przedziałów, których sztywność wzmacniana jest strachem przed bezpieką, ale która ma wszystkie znamiona wielopokoleniowej ciągłości.

Wybory form i kierunków opozycji mają często charakter tradycji warstwowej. I tu jednak programy są niejasne i nie tylko gimnazjaliści tracą orientację. Tak czy inaczej, tych których

ideologią jest świństwo nie jest wielu. Większość wierzy w swoje racje i akceptuje tezę o nadziei. Dla młodych jest to często dylemat wyboru między otwartą, beznadziejną walką a konformizmem, którego fałsz jest niezawsze oczywisty. Dla starszych to wybór między cywilną śmiercią, a prawem okazjonalnego przemycania prawd. Konieczność kompromisu wydaje się oczywista lecz konstytucja moralna powinna wyznaczyć jego granice.

W licznych przyczynkach do konstytucji moralnej głównym przeciwnikiem jest strach i lękliwe ustępstwo. Wróg operuje rozległym katalogiem kar: lęk wystraszonych przyjaciół, podejrzenie o prowokację, nieprzyjęcie do szkoły lub na uczelnię, ograniczenie możliwości wyboru pracy, wstrzymanie awansu lub paszportu, przesłuchanie, więzienie, tortury, fizyczna śmierć. Kary łagodne działają skuteczniej, stają się elementem codzienności, wybór moralny przesuwają w sferę taktyki i kalkulacji. Sprzężone z monopolem na informację dokonują spustoszeń przerażających. Cele opozycji wynikają z negacji celów i działań przeciwnika, są to więc z definicji ośrodki działania defensywnego. Reakcje obronne wyzwalane są dopiero wówczas kiedy unik nie jest już możliwy.

Wszystko to należy do specyfiki komunistycznego systemu, który technikę społecznego terroru doprowadził do perfekcji. Są jednak powody aby przypuszczać, że skuteczność tego terroru wzmacniana jest również przez inne czynniki.

Istnieją w Polsce współczesnej dwa podstawowe ośrodki koordynacji życia społecznego: partia — dysponująca siłą i katolicyzm — jako system wartości. Inaczej mówiąc, koordynacja życia społecznego dokonuje się przez plany narodowe wyznaczające cele, działania i środki oraz przez kulturę niosącą wzory zachowań, myślenia i reakcji. Dominujący wpływ na plany ma partia, dominujący wpływ na kulturę ma tradycja katolicka. Zarówno polski Kościół Katolicki jak i Polska Zjednoczona Partia Robotnicza są ze swej istoty nacjonalistyczne, a głównym przedmiotem sporu między tymi dwoma organizacjami jest interpretacja narodowego interesu, a zatem ich ważność jako instytucji powołanych do koordynacji życia społecznego.

Ruch katolicki czerpie swoją siłę z sukcesów partii w dziedzinie zniewalania jednostki. Kościół nie stanowi jednak poważnego zagrożenia dla partii, ponieważ bez reformacji dźwiga dalej wzory zachowań sprzeczne z współczesnym sposobem wytwarzania i organizacji życia społecznego.

Współczesna Polska chcąc nie chcąc staje się Polską mieszczańską. Niestety z mieszczaństwem hodowanym na poddaństwie. Mieszczańskie tradycje wolnościowe zostały odrzucone i ośmieszane zanim ukształtowała się warstwa zdolna do ich przyjęcia

i obrony. Dziś kiedy połowa społeczeństwa polskiego to mieszkańcy miast, a rolnik przejmuje mieszczański styl życia i myślenia, ów brak etycznych i politycznych wzorców ujawnia się z całą mocą. Pozbawione własnej myśli politycznej mieszczaństwo ciągnęło za sobą wzory chłopskie i aspirowało do wzorów inteligentkich czy też raczej pańskich. Partyjna biurokracja przejęła z powodzeniem szlacheckie postawy inteligencji i obwołała się narodem. Konstytucja Trzeciego Maja była próbą wprowadzenia tylnymi drzwiami demokracji mieszczańskiej. Tylnymi drzwiami, bo trzeci stan niewiele miał tu do powiedzenia, nie dysponując własnym kodeksem moralnym.

Tradycja katolicka oglądana w aspekcie jej związków z myślą polityczną związana była ściśle z procesem kształtowania się społeczeństw narodowych objętych jednolitą strukturą państwową. Pierwotne wartości chrześcijańskie stawały się stopniowo wartościami drugorzędnymi, chroniącymi istniejącą strukturę społeczną przed nadmiernymi konfliktami. Hierarchia i uległość wmontowane były w rytuał kościelnej socjalizacji i przeciw tym elementom katolickiej tradycji skierowane było również ostrze reformacji. Dokładnie przeciw tym samym elementom szlachecko-katolickiej tradycji skierowana była myśl twórców Konstytucji Trzeciego Maja. Wysiłek został przerwany i z Konstytucji pozostało radośnie obchodzone święto.

W mroku zaborów warstwa inteligencka myślała nadal w imieniu narodu i ponad jego głowami. Polityka docierała do warstw niższych w postaci prymitywnej lub była demonstracją rozpacz. Warstwy mieszczańskie, wychowane w postawie pokory i pogardy przetrząsały się z łatwością od dzielnosci do zbrodni, okazując szczególną podatność na hasła Dmowskich i Moczarów. Warstwy te zaprawione w nienawiści do Żydów, Kacapów i Szkopów przyjmowały również obyczaj całowania rąk i dworskich pokłonów. Z rycerskiego katolicyzmu pozostał ethos dworski ożeniony z biurokracją.

Dziś kiedy chrześcijaństwo dokonuje wysiłków w kierunku ponownego zjednoczenia, wydaje się, że można zacząć dyskutować o negatywnych formach oddziaływania katolickiej tradycji bez obawy urażania religijnych uczuć. (Nawiasem mówiąc, wypada się zgodzić z niektórymi głosami, że ani partii ani kościoła nie daje się zreformować z zewnątrz, chociaż postawy członków tych organizacji nie są obojętne na naciski zewnętrzne. W Polsce z dolnych szeregów kościelnej hierarchii słychać też głosy tych, którzy gotowi są podjąć kolejną próbę reformacji).

Postawa uległości i lekliwości ma swoje trzecie źródło (obok pewnych wątków katolickiej tradycji sprzężonych z komunistycznym terrorem) — rodzinę. Autorytarną rodzinę, w której dzieci

nigdy nie osiągają dojrzałości ani praw partnerskich. Rodzinę, w której wymuszone milczenie i potakiwanie traktowane jest jako forma okazywania szacunku, a lekceważąca opieka jako podstawowy instrument wychowawczy.

Formy życia rodzinnego pozbawionego dialogu, są jedną z tych zmiennych dla których pamięć zbiorowa może być tak skutecznie zastępowana centralnie sterowaną informacją. Umiejętność nieskrępowanego dialogu wewnątrz rodziny, dialogu opartego na wzajemnym szacunku i partnerstwie, gdzie strony dla wyłożenia swoich racji nie muszą łamać społecznych barier ani tabu, wydaje się być jednym z podstawowych warunków wspólnoty, której szukamy. Na skutek wykształcenia i zwiększonej ruchliwości społecznej, tradycyjne przedziały coraz częściej przebiegają wewnątrz rodzin, a biologiczne związki często bynajmniej nie likwidują społecznego dystansu.

Jakie jest wyjście z tego dylematu, z sytuacji gdzie podstawowe determinanty postaw społecznych wydają się sprzyjać konserwacji obecnego stanu rzeczy? Czy jesteśmy w stanie raz jeszcze podjąć wysiłek tworzenia konstytucji moralnej dającej podstawy tezie o nadziei? Z pewnością sytuacja jest po temu sprzyjająca. Stabilizacja systemu komunistycznego krystalizuje również i stabilizuje tradycję opozycji. Opozycja ta coraz częściej przestaje być reakcją na doraźne ciosy i krzywdy, ale odwołuje się do wartości bardziej ogólnych. Kłopot polega jednak na tym, że przeciwnik często nie odżegnuje się od tych wartości, a i nasza interpretacja owych wartości bywa wykoślawiona przez historycznie ukształtowane postawy. Stąd wołanie o prawa człowieka koegzystuje często z ciasnym nacjonalizmem, nietolerancją i uległością.

W warunkach codzienności, gdzie zdarzeniem podlegającym ocenie nie jest sprawa życia lub śmierci, ale sprawa odwagi wypowiedzania słów pozornie mało znaczących, głoszenie tych wartości wydaje się często niesprzeczne z rezygnacją z owych słów dla świętego spokoju czy też wręcz dla zachowania sobie prawa głosu w sprawach ważniejszych. Dodatkową komplikację stanowi organicznikowski postulat działania w granicach legalności. Ten ostatni, wielokrotnie dyskutowany już postulat odmawia mi prawa kwestionowania legalności ustaw bezprawnych. Zgodnie z tym postulatem mam czuć się przestępcą pożyczając nielegalną książkę, odczuwać poczucie winy kiedy przekazuję światu raport o torturach, zachowując w tajemnicy to, co powiedział mi przyjaciel. Konstytucja moralna potrzebna jest dziś właśnie dla wyznaczenia pola naszej legalności, dla otwartego odmówienia

prawa konfiskaty książek, cenzury prywatnych listów, prześladowania za poglądy.

W socjalistycznej rzeczywistości zakwestionować te prawa można tylko praktycznie — ryzykując konfiskatę, rezygnując z autocenzora w prywatnej korespondencji, głosząc publicznie prywatne poglądy. Nie tylko kompromis ale i konspiracja musi mieć swoje wyznaczone granice.

Tradycja opozycji sowieckiej lat ostatnich polega w pierwszym rzędzie na otwartym kwestionowaniu ustaw i praktyk przeciwnika. Sołżenicyn, Sacharow, Amalrik, Galicz i dziesiątki innych zapoczątkowali działalność z otwartą przyłbicą. Działalność, w której prywatne poglądy nie podlegają konspiracji. W Polsce dominuje jeszcze anonimowość. Niewielu zdaje sobie sprawę ze związków między ową anonimowością a dziedzictwem wzorów kulturowych, o których była mowa wcześniej. Niepodpisany przez autora wiersz, artykuł, który ma służyć mówieniu prawdy i nie szkodzić karierze, list prywatny, po którym nadawca jest zmęczony autocenzorskimi wysiłkami i rozmowa prywatna, w której prywatność zatraciła wszystkie znamiona prywatności. Wszystko to stanowi całość nierozłączną, wspierającą konstrukcję wspólnoty, w której nie ma swoich.

Filozofia mieszczańska podniosła prywatność do rangi moralnej zasady. Zasady, wedle której nawet formy własności podlegać mogą społecznej umowie pod warunkiem zachowania prywatności poglądów. Umowa społeczna możliwa jest jednak tylko między równymi. Zniesienie wyszukanych ceremonii, instytucji spowiedzi, świętych pośredników między Bogiem i jednostką, było odbiciem mieszczańskich marzeń o socjalnej równości. Tej mieszczańskiej dumy zabrakło polskiej myśli politycznej. (Nie tylko zresztą polskiej. Ze zdziwieniem obserwuje się związek między katolicką tradycją a niedorozwojem demokratycznych instytucji i podatnością na komunistyczną propagandę w takich krajach jak Francja, Włochy, Hiszpania, Portugalia, gdzie religia okazuje się zjawiskiem daleko wykraczającym poza krąg wierzących i praktykujących, zaś oddziaływanie o którym mowa w tym artykule wydaje się być głęboko sprzeczne z faktycznymi celami współczesnego kościoła katolickiego).

Poszukując porządkujących wartości i zasad moralnych Słomimski odsyła nas do Conrada i Sołżenicyna, a więc do pisarzy traktujących o wartościach regulujących współzycie z innymi, o wartościach stojących ponad celami praktycznymi i ponad instynktem samozachowawczym. Zasada prywatności zbiega się tu z poczuciem odpowiedzialności i z odrzuceniem racjonalizacji usprawiedliwiających własną małość.

Postawa oparta na takich wartościach wymaga sytuacji kla-

rownych, przejścia od samoobrony i unikania razów do ataku. Wymaga ona totalnego odrzucenia stylu myślenia przeciwnika, którego koncepcja natury ludzkiej zakłada zwierzęcy strach, dominującą nad innymi uczuciami skłonność do unikania bólu i w obliczu zagrożenia niewrażliwość na cudzy los. Prawdziwa walka zaczyna się od zakwestionowania tej koncepcji człowieka. Jeden z najbardziej przekonywujących opisów takiego zakwestionowania przedstawia Romain Gary w „Korzeniach nieba” — w majowe popołudnie więźniowie hitlerowskiego obozu pracy przenoszą worki z cementem. Wysilek i poniżenie odebrały im już wszelką godność. Wtedy, w policzek jednego z więźniów uderza chrabąszcz. Więzień kątem oka dostrzega jak owad upada w trawę na grzbiet, niezdarnie gmerając w powietrzu łapkami. Morel ostrożnie przykłęka i odwraca owada. Po chwili wszyscy polityczni szukają wzrokiem potrzebujących pomocy chrabąszczy. Jeden ze strażników, były nauczyciel, zrozumiał. „Poznał nieprzyjaciela. Był świadkiem skandalicznej prowokacji, wyznania wiary, proklamacji godności niedopuszczalnej u ludzi zredukowanych do zera”.

Co w praktyce oznacza to zakwestionowanie koncepcji natury ludzkiej wyznawanej przez przeciwnika? Odzyskanie godności? W sytuacji kiedy musimy godzić się na poniżenia, kiedy pozostajemy bezradni wobec spraw naprawdę ważnych? Okazuje się jednak, że jest to nie tylko próba odzyskania godności, ale również zmuszenie przeciwnika do samookreślenia się, odczynnik wywołujący potwora z mgły, wyzwanie zdzierające ludzką maskę z kreatur. Czy taka próba jest możliwa? Pytaniem tym wkraczam na teren prywatnego wyznania wiary.



Niemal od chwili przyjazdu na Zachód studiuję z pasją wszelkie działania organizacji „Amnesty International”. Jest to organizacja politycznie niezależna. Sama polityka rozumiana tu jest jako działalność społeczna połączona z zasadą — cel uświęca środki. „Amnesty International” próbuje bronić pewnych wartości moralnych, które naruszane są w każdym systemie i przez każdą grupę wyznającą tę zasadę.

Dla przyjaciół w Polsce moja pasja wydaje się być dziwactwem emigranta. Uważają „Amnesty” za organizację ludzi, którzy nie mając własnych kłopotów szukają kłopotów cudzych. Moi przyjaciele przyjmują czasami postawę Angeli Davis — nie mogą solidaryzować się z akcjami, z którymi solidaryzuje się ich rząd. Protest przeciwko torturowaniu więźniów w Urugwaju wydaje

im się dziecinadą. Skąd mogą wiedzieć czy ci więźniowie nie popierali sowieckiej interwencji w Pradze?

Szukam możliwości politycznego działania w organizacji politycznie niezależnej. „Amnesty International” nie podziela postawy Angeli Davis. Żaden rząd nie może przemawiać w imieniu „Amnesty” bo „Amnesty International” jest organizacją ludzi nie narodów, organizacją ludzi prywatnych.

Moi przyjaciele z Polski próbują jaśniej przedstawić swoją filozofię — nie starcza nam odwagi, żeby reagować na sprawy dziejące się wokół nas. Pozwalamy sobie pluć w twarz, więc śmieszny byłby protest człowieka oplutego. Musimy się nauczyć podnoszenia głowy tu u nas, musimy nauczyć się reagowania na sprawy najbliższe. Zresztą, protest Polaka przeciw torturowaniu więźniów w Chile czy Urugwaju nie może być skuteczny. Nie dotrze nawet do adresata, odbije się rykoszetem i trafi w nadawcę. Władza zacznie węszyć, bo nasza władza nie lubi „Amnesty”, a ludzie będą się śmiali z don Kichota wojującego z niewidzialnym wrogiem.

Jeśli naszą wartością jest ludzka godność, to polityczna niezależność, prywatna polityczna niezależność powinna być w naszych działaniach jej podstawą. Zakwestionowanie koncepcji natury ludzkiej jest przedsięwzięciem trudnym i wymagającym pewnej pomysłowości. Możliwość ta jednak istnieje i wydaje mi się być ściśle związana z rozważaniami o konstytucji moralnej i o naszym kulturowym dziedzictwie. Nasze działania zbyt często są działaniami w obronie własnej, którym *ex post* nadajemy rangę obrony wartości. Nie kopnięci w porę często pozostajemy niewrażliwi. Sądzę, że potrzeba nam idei mistycznej, wyjścia z codzienności.



Potrzeba dziś nowej filozofii społecznej, na której można by oprzeć nową konstytucję moralną. Niewątpliwie obserwuje się duże zapotrzebowanie na taką filozofię, a renesans pojęcia socjaldemokracja w niektórych kręgach warszawskiej opozycji wskazuje na ogólny kierunek poszukiwań.

Socjaldemokracja, ta którą obserwujemy na Zachodzie Europy wydaje się być produktem etyki protestanckiej, społeczeństw, w których demokracja polityczna strząsnęła czarodziejską moc symbolu i hierarchii, gdzie umowa społeczna nie jest abstrakcyjnym pojęciem z lamusa historii myśli społecznej.

Wydaje się, że w Kraju dialog socjalistów z chrześcijanami podejmuje ten niespełniony wątek tradycji filozofii mieszczańskiej i powraca do tamtej koncepcji narodu równych, gdzie zbiorowość zwana mieszczaństwem wносиła nowe wartości pozwalające

jące na godzenie demokracji z formami życia zbiorowego związanymi z przemysłem. Zasada prywatności jest główną zasadą tej tradycji. Ona też jest wartością prześladowaną a zarazem podstawową wartością poszukiwanej konstytucji moralnej. Konstytucji, która może przynieść spóźnioną reformację kulturowych wzorców. Tej reformacji nie zastąpi w komunizmie rewizjonizm, który współczesną generację młodych pozostawił z niejasnym odczuciem, że „socjalizm to dobra rzecz” i z zupełną niemożnością pozytywnej odpowiedzi na pytanie — czym jest lub czym powinien być socjalizm? Być może pozostali ze źle sformułowanym pytaniem?

Andrzej KORASZEWSKI

ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ARCHIPELAG GUŁAG

T. II

ukaze się w Bibliotece „Kultury” w listopadzie 1975. Opóźnienie nastąpiło na skutek nie dostarczenia na czas tłumaczenia, które jest bardzo trudne i — w przeciwieństwie do wydawców zagranicznych — robione przez jedną osobę — Michała Kaniowskiego. Tom drugi jest nieco obszerniejszy od pierwszego.

Prosimy naszych czytelników i przedstawicieli o najszybsze zgłaszanie zamówień celem ustalenia nakładu.

Mimo 100 % zwwyżki kosztów papieru i poczty i 25 % zwwyżki kosztów drukarskich — celem umożliwienia nabycia tej książki tym którzy kupili tom I-szy — cena egzemplarza zostaje ustalona jedynie na F. 65,00 plus 10 % kosztów porta. Wobec dewaluacji dolara, funta i innych walut prosimy o nadsyłanie czeków bankowych we frankach. W wypadku przysyłania czeków w innych walutach muszą one stanowić równowartość F. 72,50 za 1 egzemplarz.

REDAKCJA

Archiwum polityczne

Korespondencja z Rzymu

*„Karły po ramionach niewolników wdzierają się
do ludzkich umysłów i zasiewają tam trwogę”.
(Prymas Polski)*

Ponieważ w ostatnich kilku miesiącach nie zburzono żadnej kaplicy, nie zamknięto ani jednego punktu katechetycznego, a misja mons. Poggi'ego z Watykanu wypadła pomyślnie dla episkopatu, skłoniło to korespondenta *Le Monde* do powierzychowanych, uproszczonych i optymistycznych sądów na temat sytuacji na odcinku Kościół-Państwo. Brak drastycznych faktów nie oznacza oczywiście nagłej poprawy stosunków, a tym bardziej zaniechania walki z Kościołem. O „zawieszeniu broni” nie ma więc mowy — jest to tylko wytwór fantazji zachodnich dziennikarzy. Walka trwa choć, jak nieraz już bywało w przeszłości, przybiera formy pozornie łagodniejsze lub lepiej zamaskowane. Próbuje się nadal ograniczyć liczbę powołań kapłańskich. Zamiast wywierania presji bezpośredniej lub werbowania alumnów do służby wojskowej, władze wpadły ostatnio na inny pomysł: uderza się pośrednio w rodziny. Stwarza się mianowicie trudności w pracy ludziom, których synowie wstępują do seminariów. Mówi się ojcom: „złe wychowałeś dziecko, nie w duchu socjalistycznym”. Naciski tego typu w licznych przypadkach mogą odnieść skutek: młodzi ludzie muszą bowiem liczyć się z negatywnymi konsekwencjami jakie spadają na ich rodziny. Nie ustały ponadto praktyki dyskryminacyjne w stosunku do wierzących, w postaci sztucznego hamowania kariery zawodowej; nie ustały naciski i groźby wobec nauczycieli i rodziców posyłających dzieci na naukę religii. Program ateizacji jest wciąż realizowany na różnych odcinkach życia zbiorowego. W czasie uroczystości Bożego Ciała kard. Wojtyła zwrócił uwagę na fakt, że „elementarne prawa człowieka i obywatela są dziś powszechnie uznawane nie tylko w wol-

nym świecie, ale także w tzw. trzecim świecie... prawa te winny być szanowane, tymczasem mówi się: jeżeli będziesz posyłał swoje dzieci do kościoła, to wówczas nie dostaniesz takiego awansu albo takiej pracy”. W czasie pielgrzymki do Piekar Śląskich metropolita krakowski powrócił do szczególnie mu drogiej „kwestii robotniczej” (w czasie okupacji pracował jako zwykły robotnik), stwierdzając: „Nie można podejmować programu ateizacji w imię klasy robotniczej, jej interesów i potrzeb, w imię śląskiego górnika... w imię prawdy o świecie robotniczym Śląska, trzeba domagać się aby żaden człowiek nie był upośledzony z powodu swych przekonań, ażeby mu nie grożono zwolnieniem z pracy! Wszystko jedno czy jest górnikiem czy dyrektorem, ażeby mu nie zabraniano jawnie wyznawać swej wiary, ażeby go nie przymuszano do pracy w niedzielę!”. W tym samym kazaniu kard. Wojtyła mówił o niepokoju z jakim episkopat patrzy na „usiłowania zmierzające do podgryzania wiary i moralności chrześcijańskiej w młodych duszach”.

W jednym z wystąpień, precyzującym na czym polega dzisiejsza ateizacja, Prymas powiedział m.in.: „... We współczesnym świecie powstaje dziwna sprzeczność: oto ONZ mówi o podstawowych prawach osoby ludzkiej, Jan XXIII wydaje encyklikę *Pacem in terris*, która zajmuje się obroną praw człowieka, a tymczasem, jakby na ironię, w jednym z sąsiednich krajów (chodzi o Czechosłowację — przyp. mój) pod mianem *Pacem in terris* ukrywa się ruch usiłujący zniewolić w tym narodzie człowieka i Chrystusa... W Polsce nigdy nie doszła do głosu zasada: *cuius regio, eius religio*. Nawet wtedy gdy państwo nasze stało u szczytu potęgi nie było u nas tzw. religii państwowej. Polska była zawsze schronieniem dla wszelkiego rodzaju dysydentów i hugonotów... Zachowaliśmy niezależność i nie daliśmy się uwikłać w walki religijne. To doświadczenie dziejowe powinno dzisiaj przemawiać do nas. ... Na październikowym Synodzie Biskupów padła i teza bardzo doniosła, że państwo nie ma prawa prowadzić walki z religią swych obywateli. Byłby to powrót do anachronicznej tezy, która zbankrutowała już w czasach poreformacyjnych”.

Obok przecistawiania się programowi ateizacji, trzy inne główne wątki tematyczne przewijają się w ciągu ostatnich miesięcy w wystąpieniach polskich kardynałów i biskupów: piętnowanie cenzury tekstów kościelnych, walka ze stanem alienacji, lęku i apatii oraz obrona narodowej i religijnej racji stanu. Cenzura istotnie, nie dopuszcza do druku wielu dokumentów kościelnych i eliminuje to, co uważa za niewygodne i „antysocjalistyczne” z tekstów wygłaszanych z ambony, a przeznaczonych do publikacji. W liście pasterskim na 975-lecie ustanowienia Metropolii Gnieźnieńskiej, kard. Wyszyński pisał: „Niezależnie od tego co nam zechce podsuwać duch nienawiści, prawdą niewzruszoną pozostanie, że to właśnie Kościół na ziemi naszej podejmował największy wysiłek zapewnienia niezbędnych dla rozwoju: wolności myśli i kultury działania oraz swobody w prze-

kazywaniu jej innym". W jednym z kazań, wygłoszonym wkrótce potem, Prymas powiedział: „Powyższe słowa z mojego listu pasterskiego zostały wykreślone przez cenzurę. Ale pozostały one w dziejach Narodu i kultury narodowej. Można bowiem wykreślić ołówkiem jakieś zdanie, ale nie da się cofnąć faktów historycznych, które świadczą o tym jak to właśnie Metropolia, ogarniająca w zmiennym układzie rozwojowym całą niemal Polskę, zanim powstały inne metropolie, zwłaszcza Lwowska — jednoczyła, zespałała i krzepiła cały Naród, zachęcając go do wytrwania” (przy innej okazji przypomniawszy, że „potężna metropolia Halicko-Lwowska obchodzi w tym roku swoje 600-lecie”). Zdając publicznie sprawę z rozmów przeprowadzonych przez episkopat z mons. Poggi, kard. Wojtyła stwierdził natomiast, że w rozmowach tych „poruszyliśmy te podstawowe problemy życia Kościoła, które są związane z bolesną i coraz dla nas boleśniejszą sprawą cenzury, która nie waha się nawet kreślić dokumenty papieskie!”.

Walka jaką toczy Kościół w kraju w obronie praw ludzkich i obywatelskich nie jest oderwana od szerszego kontekstu ogólnej sytuacji w Europie Wschodniej. Mimo korzystania z obiektywnie lepszych warunków zewnętrznych niż kraje sąsiednie, episkopat polski widzi zjawisko współzależności procesów zachodzących na całym obszarze bloku sowieckiego. Jeśli sytuacja u sąsiadów nie ulegnie zmianie — Kościołowi i katolikom w kraju grozić będzie wciąż potencjalne niebezpieczeństwo „zglajszachtowania”. Z drugiej zaś strony, dzięki dynamice oporu, jaki stawia Kościół polski, sytuacja w Czechosłowacji czy na Węgrzech może ulec poprawie, zwłaszcza jeśli episkopatowi uda się przeforsować własny status prawny, sankcjonowany przez Watykan i rząd, na co na razie nie zanoszą się. Istnieje więc jakby podwójne sprzężenie — spłot uwarunkowań politycznych, psychologicznych i społecznych. Stąd wielka odpowiedzialność sterników polskiego Kościoła pośrednio również za los sąsiednich narodów. Miarodajni reprezentanci sfer kościelnych tych krajów doskonale zdają sobie z tego sprawę i z nadzieją wsłuchują się w odgłosy z Polski. W krajach tych jednak wzmaga się stan alienacji, lęku i apatii, do czego przyczynia się niewątpliwie tzw. polityka wschodnia Watykanu. Zjawiskiem tym zajął się Prymas Polski w przemówieniu skierowanym również do aktorów scen warszawskich, poruszając m.in. sprawę tragicznego położenia Polaków w ZSSR. Przemówienie to zasługuje na przytoczenie obszernych fragmentów:

„Toczy się spór o osobę ludzką. Ludzie o wąskiej koncepcji społecznej lękają się człowieka. Lękają się i w naszej ojczyźnie liczebnych zastępów specjalistów, którzy ukończywszy studia, nie mają terenu do rozwinięcia swych możliwości intelektualnych i dlatego, na skutek wytworzonych warunków, wypychani są do obcych krajów. Jak gdyby odrodził się — i w rzeczywistości tak

jest — swoisty handel żywym towarem. Wielkich i zdolnych Polaków można spotkać obecnie w wielu obcych krajach. Tam znaleźli pole dla rozwoju swych możliwości... Istnieje dziś niepokojące zjawisko człowieka lękliwego, pozbawionego nadziei i ufności. Oznacza to początek alienacji osobowej... Gdy w październiku ub. roku biskupi delegowani przez konferencję episkopatów całego świata, pracowali na Synodzie, z wielu krajów sygnalizowano niebezpieczeństwo grożące człowiekowi: niebezpieczeństwo odarcia go — przez ustroje społeczne, polityczne i ekonomiczne — z podstawowych praw osoby ludzkiej. Dążą one do odebrania mu ambicji posiadania prawdy, sprawiedliwości, miłości, jedności, ofiary i służby. Niech nie ulega takim 'pokusom', niech nie wyrosną te ambicje ponad głowy maluczkich, którzy chcą trzymać za głowy mocarzy ducha. Karły po ramionach niewolników wdzierają się do ludzkich umysłów i serc i zasiewają tam trwogę, lęk i terror... Może tu lub ówdzie niektóre objawy tego niebezpieczeństwa zdołały już zadość uczynić, tak iż człowiek boi się własnej myśli, woli, serca, własnego człowieczeństwa. Są kraje, w których stan lęku spotęgował się do takich wymiarów, że można by już tam mówić o pełnej alienacji człowieka... Na Synodzie biskupi z różnych kontynentów dostrzegali to zagrożenie rezygnacji człowieka z podstawowych praw osoby ludzkiej. Rezygnacja ta tu i ówdzie przybiera siłę epidemii. Mamy sąsiadów, u których te epidemiczne wymiary doprowadzają człowieka do lęku przed własnymi myślami: „tak, tak, ja mam na tę sprawę swój pogląd. Ja mam swoje myśli, ale ja się z nimi nie zgadzam”. Nie myślm, że jest to odosobniony wypadek jakiejś deflacji psychicznej. Nie, są to stany społeczne, które zdobywają sobie prawo obywatelstwa. Na szczęście nie są to stany właściwe człowiekowi. Można więc z nich wyzwolić się. Stoimy na pograniczu niebezpieczeństwa. Jest ono wielkie. Niedawno zmarł w Karagandzie kapłan-Polak, który przez wiele lat studiował prawo, politykę społeczną i teologię. Wojna zastała go w Łucku i przywitała więzieniem. Naprzód tam, w Łucku, a później w różnych miejscowościach na wschodzie. Siedział półtora roku. Wreszcie został zwolniony. Po kilku latach — ponowne więzienie. Tym razem osiem lat: cztery lata w kopalniach w Czelańsku, a drugie cztery — w niewolniczej pracy w łagrze na dalekiej północy. Po ośmiu latach wrócił. Ale nie koniec na tym. Jakiś nieroztropny publicysta zagraniczny napisał o jego pracy duszpasterskiej wśród Polaków i Niemców tułających się w tym dalekim mieście. I znowu więzienie, prawie trzy lata... Niedawno rozmawiałem z księdzem, który dostał się na Wschód, trzysta kilometrów stąd. Spotkał się tam z grupą rodaków, którzy

w leśnym kościółku modlili się i śpiewali. Nie mieli kapłana. A on znalazł się tam w ubraniu świeckim, usiadł i włączył się w modlitwę ludzi prostego serca. Ktoś dokonał aspersioni, inny położył ornat na ołtarzu, postawił kielich i mszał. Rozpoczęła się tak zwana Msza. Doszli do momentu konsekracji, której nie mogło być, bo nie było kapłana i konsekrację zastąpił szloch. A ten kapłan, o którego kapłaństwie wiedziała tylko jedna osoba, która go tam przyprowadziła, myślał sobie: „Mój Boże, owce bez pasterza, a ja nie mogę nim być. Jak wielką ceną jest kapłaństwo”... Nadeszła chwila Komunii świętej. Sytuacja była łatwiejsza, bo ktoś wyjął z tabernakulum święte Hostie przywiezione poprzednio od dziekana, odległego o kilkadziesiąt kilometrów i rozdzielił wiernym. Kapłan ten dostał później pozwolenie na odprawianie mszy św., ale tylko prywatnie, dla siebie. Pytamy: dla czego? Czy to jest najwyższe osiągnięcie tak zwanej przodującej społeczności? Czy nic innego nie można było wymyślić, tylko powtarzać to co uczyniono z patronem dnia dzisiejszego, świętym Sebastianem? To już było przecież za czasów Dioklecjana, bo jak głoszą podania, zginął zamęczony strzałami... Nie myślcie, że te dwa przykłady wyczerpują zasób moich wiadomości o sytuacji, w jakiej żyją ludzie, także i nasi rodacy, łaknący Boga. Doprowadzeni są do takiego stanu załęknięcia i zniewolniczenia, że już nie mają siły, a może i nadziei na to, że mogliby odzyskać podstawowe prawa właściwe człowiekowi... Kościół ma obowiązek bronić podstawowych praw człowieka. Nie może więc milczeć, niedosłyszeć czy niedowidzieć...”.

W obronie narodowej i religijnej racji stanu

Przemówienie z okazji 900 rocznicy diecezji płockiej w dn. 23 czerwca, Prymas Polski poświęcił „służbie religijnej i narodowej racji stanu”. Nakreślił przekrój dziejów tej diecezji, przedstawiając główne epizody oporu wobec różnych najeźdźców oraz pracy duchowieństwa nad pogłębieniem świadomości narodowej, społecznej i religijnej kolejnych pokoleń. Fragment dotyczący epoki rozbiorowej wskazuje na liczne analogie z obecną rzeczywistością:

„... Najboleśniej jednak, a zarazem najchwalebniejszej, w dziejach naszych są czasy rozbiorów, czasy niewoli Narodu i niezwykłego ograniczenia Kościoła przez zaborców, Niemców i Moskali. Czasy tragiczne, zwłaszcza dla Kościoła w Królestwie Kongresowym, które podlegało imperium moskiewskiemu. Wszystkim wtedy było ciężko. Wspominamy dziś przeżycia naszych rodaków

w obozach hitlerowskich. A gdybyśmy tak obliczyli, ilu kapłanów w obronie wiary i Narodu powędrowało na Syberię i do więzień? I na terenie waszej diecezji istniały takie klasztory, które były miejscami kary dla kapłanów stawiających opór zarządzeniom władzy zaborczej. Przecież wtedy posługiwanie się mową ojczystą było zabronione, zwłaszcza podczas nabożeństw. A budowanie kościołów — już wtedy! — było zależne od zezwolenia z Petersburga. Dobrze o tym wiedzą starsi kapłani. Najmniejsze zmiany w życiu Kościoła były wówczas starannie śledzone. Kapłan nie mógł porozumieć się ze swym dziekanem bez pozwolenia moskiewskiego naczelnika powiatu. Wszystko było tak pomyślane, aby jak najbardziej ograniczyć pracę duchowieństwa. Ileż diecezji wakowało dlatego, że chciał je obsadzać car, chciał narzucać biskupów katolickim diecezjom w Polsce! Ale naród się bronił. Wystarczy przytoczyć sprawę arcybiskupa Felińskiego i biskupa Nowodworskiego; przez jakie udręki przeszli ci ludzie i gdzie się znaleźli dlatego tylko że bronili niezależności Kościoła! Niedawne, sto lat temu przeżywane chwile, są dla Kościoła w Polsce ostrzeżeniem, aby z pomocą Narodu bronił swej niezależności religijnej od sił politycznych. Pamiętajmy, Najmilsi, to Ojciec święty mianuje biskupów! To do Kościoła należy wznoszenie świątyń i organizowanie parafii tam, gdzie są one potrzebne! Trudności, przez jakie wtedy przechodził Kościół, były narzucone nam przez najeźdźcę, który nie mógł życzyć dobrze ani Narodowi, ani Kościołowi... Kościół w naszej Ojczyźnie od wieków staje w obronie ludzi przed nadużyciami władzy. Jeżeli staje w obronie wolności i praw człowieka oraz ładu moralnego to jednocześnie staje też w obronie narodowej racji stanu”.

Konferencja plenarna episkopatu zajęła się pod koniec czerwca m.in. oceną „kontaktów roboczych” pomiędzy Watykanem a rządem PRL. Z uchwał tej konferencji wynika, że Prymas Polski przedstawił „szereg postulatów zmierzających do usprawnienia pracy (grupy roboczej), które zostały przyjęte pozytywnie przez Stolicę Apostolską”. Chodzi m.in. o to by nie pozostawiać w przyszłości mons. Poggi, negocjatora watykańskiego samopas wobec licznych kontrahentów rządowych. Dzięki temu, że episkopat przeforsował w Watykanie zasadę ścisłego *iunctim* merytorycznego pomiędzy rokowaniami o normalizację stosunków Kościół-Państwo i Watykan-PRL, bp Dąbrowski, sekretarz episkopatu, jest co prawda na bieżąco informowany i konsultowany przez Watykan. Episkopat uważa jednak, że powinien on — czy jego pełnomocnik — brać udział w rokowaniach jako oficjalny łącznik, nie poddawany restrykcjom paszportowym (za każdym razem musi czynić osobne starania przy wyjeździe do Rzymu). Inaczej bowiem grozi zachwianie równowagi na rzecz strony rządowej, co może doprowadzić do niepożądanych następstw.

Biskupi mają zaufania do mons. Poggi, ale prawdopodobnie mają podstawy do obaw by go „nie wykołowano”. Watykańskim negocjatorom trudno rozeznaczyć się w kłębowisku ustaw, rozporządzeń, instrukcji wykonawczych, dotyczących całokształtu prawnego i faktycznego położenia Kościoła, co wymaga ponadto znajomości „socjalistycznej” interpretacji tych ustaw i zarządzeń. Do tego potrzeba speców i to nie byłyby takich!

„Czerwony” tydzień w Watykanie

Zaczął się od wizyty Żiwkowa w dn. 27 czerwca. Premier bułgarski, z wizytą oficjalną w Rzymie, był przyjęty przez Papieża, który więcej czasu poświęcił na reminiscencje historyczne związane z pobytem Jana XXIII, ongiś nuncjusza, w Sofii, niż na zajęcie się opłakany położeniem katolików obrządku łacińskiego i bizantyjskiego w tym kraju. Dwa dni potem, Paweł VI podejmował min. Gromyko. Godzinę przedtem pracownicy komunalni skrzętnie oczyszczali przyległe ulice z plakatów z napisami: „Gromyko przywozi rozkazy”, „Precz z kompromisami z prześladowcami religii”. Było to już piąte z kolei, w ciągu ostatnich ośmiu lat, spotkanie Pawła VI z sowieckim ministrem spraw zagranicznych. Oświadczenie „werbalne” watykańskiego rzecznika prasowego mówi wprawdzie, że Papież „poruszył kwestie odnoszące się do Kościoła katolickiego w ZSSR”, ale z kontekstu tej deklaracji wynika, że była to sprawa marginesowa. „Był to monolog papieski, który z natury rzeczy musiał pozostać bez odpowiedzi” — tłumaczy mi pewien włoski jezuita, wdrożony w tajniki kurii rzymskiej — „ponieważ wszelką dyskusję nad problematyką normalizacji stosunków wyznaniowych w ZSSR i możliwość jej pogłębienia blokuje sowiecka formuła „nieingerencji w sprawy wewnętrzno-państwowe”. W tym stanie rzeczy nic dziwnego, że Papież rozmawiał z Gromyką niemal godzinę na temat rozbrojenia, Bliskiego Wschodu i paneuropejskiej konferencji d/s bezpieczeństwa i współpracy, co „oświadczenie werbalne” kwituje z uznaniem jako wkład do „dialogu” nad problematyką pokoju. Jak wiadomo Stolica Apostolska brała udział w pierwszej i drugiej fazie konferencji europejskiej i wysłała swego delegata na konferencję „na szczycie” do Helsinek.

3 lipca wreszcie Papież przyjął sześciuosobową, oficjalną delegację patriarchatu rosyjskiego, na czele której stał metropolita Nikodem (Leningradu i Nowgorodu), nazywany tu „ministrem spraw zagranicznych” patriarchatu lub „numer dwa” Cerkwi Wschodniej. Delegacja wzięła przedtem udział w Trento na północy Włoch w ekumenicznym spotkaniu teologicznym z delegacją Kościoła katolickiego, której przewodniczył abp Etchegaray z Marsylii. Było to czwarte z kolei spotkanie tego typu (w Leningradzie w 1967, w Bari w 1970 i w Zagorsku w 1973 roku), zorganizowane przez oba Kościoły pod auspicjami kard. Willebrandsa, prefekta Sekretariatu d/s jedności chrześcijan. Tematem tego-

rocznego spotkania było „chrześcijańskie głoszenie zbawienia w przeobrażającym się świecie”. W sprawozdaniu — stek ogólników brzmiących rozpaczliwie, jest mowa ewangelizacji w świetle uchwał zeszlórocznego Synodu biskupów oraz „ostatnich prac duszpasterskich rosyjskiej Cerkwi prawosławnej, zarówno na płaszczyźnie krajowej jak i międzynarodowej”; jak również o problemach związanych z „nowymi stosunkami rozwijającymi się pomiędzy chrześcijanami różnych wyznań i pomiędzy chrześcijanami a innymi religiami i ideologiami”. Stolica Apostolska i Patriarchat moskiewski „zgodnie potwierdzili, że święcenia kapłańskie mogą otrzymywać jedynie mężczyźni”, dodając jednak, iż należy podjąć „poważne studium” nad rolą kobiet w Kościele. Nie miano nic lepszego do powiedzenia.

Watykan kontynuuje więc obraną linię ekumenicznego dialogu z Cerkwią rosyjską i, mimo zarzutu utopijności tego „dialogu” i kompletnego rozmiłowania się dobrych intencji i wspólnych deklaracji z rzeczywistością, spodziewa się osiągnięcia pozytywnych rezultatów.

Następnego dnia po uroczystej audiencji papieskiej dla delegacji patriarchatu moskiewskiego, metropolita Nikodem zjawił się nagle w katolickim uniwersytecie ukraińskim. Niezapowiedziane i zaskakujące odwiedziny wywołały popłoch. Nie było powodu. Metropolita leningradzki przeczytał zapewne raport Waższego korespondenta (w kwietniowym numerze *Kultury*) i chciał przekonać się na miejscu jak wygląda ta placówka i położona obok bazylika Świętej Mądrości (Santa Sofia). Jeszcze większe zaskoczenie sprawił kiedy następnego dnia złożył wizytę kard. Slipyowi, mieszkającemu na terenie Watykanu o sto kroków od bazyliki Św. Piotra. Nikodem był gościem Watykanu — kard. Slipy nie mógł zatrzasnąć drzwi. Nie znam treści rozmowy, ale mogę domyślać się jaki miała przebieg. Jest oczywiste, iż sam fakt zainteresowania się ukraińską, niepodległościową placówką naukową oraz złożenia wizyty kontestowanemu przez Watykan kardynałowi (któremu Papież ponownie odmówił godności i urzędu Patriarchy, o czym niżej) nie mógł dojść do skutku bez placet najwyższych władz sowieckich. Wiem również z autorytatywnego źródła, że Nikodem konsultował się uprzednio z pewnym wysokim dostojnikiem watykańskim. Był to więc gest nie pozbawiony politycznego posmaku, choć należy nań patrzeć jedynie jako na posunięcie taktyczne w sferze stosunków sowiecko-watykańskich. Gest taki bowiem nic nie kosztuje, a przysporzyć może korzyści w realizacji koncepcji odprężeniowej Breżniewa. Dyplomacja sowiecka jeszcze raz dowiodła, że wiele się nauczyła, że stać ją na zagrania zupełnie nieoczekiwane, stwarzające pozory koncesji.

Drugi ewenement, łączący się z „czerwonym tygodniem” w Watykanie, to pielgrzymka stu obywateli z sowieckiej Armenii pod przewodnictwem patriarchy ormiańsko-katolickiego Bataniana. Do grupy tej dołączyli ormianie z Libanu, Syrii, Iraku, Grecji i Francji. Pielgrzymkę ormiańską Papież przyjął na zbiorowej

audiencji. W Watykanie istnieje skłonność, by obydwie te wydarzenia interpretować jako pierwsze oznaki „przełomów normalizacji”. Nie byłbym takim optymistą. Chodzi po prostu o pewne luzu, na jakie Moskwa pozwala (a nawet prawdopodobnie inspirowa), głównie po to by stwarzać sprzyjający klimat psychologiczny dla konferencji w Helsinkach antycypując, moim zdaniem, dalszy rozwój polityki odprężeniowej w skali długofalowej. Grekę zresztą Watykan ułatwia Moskwie jak może, o czym świadczy reakcja na przebieg pielgrzymki katolików ukraińskich z diaspory, a zwłaszcza list Papieża do kard. Slipyja z 24 maja br.

Wierni Stolicy Apostolskiej, ale nie za każdą cenę!

W liście tym Paweł VI stwierdza:

„Doszły do Nas informacje, że w pewnych ostatnich publikacjach i oficjalnych dokumentach Katolickiego Kościoła Ukraińskiego jest Wam nadawany tytuł Patriarchy. To nie tylko głęboko Nas zabiło, ale również wywołało wiele zamieszania i rozdarcie wśród biskupów i wiernych obrządku bizantyjsko-ukraińskiego, który zwrócił się do Stolicy Apostolskiej po stosowne wyjaśnienie i pilne wytyczne... Ponownie doszliśmy do wniosku, że przynajmniej obecnie (*saltem hoc tempore* — w oryginale) nie jest możliwe ustanowienie Patriarchatu Ukraińskiego... Uznaliśmy, że względy prawne, historyczne, duchowe i duszpasterskie są nadal aktualne, nie widzimy więc, niestety, jak powzięte decyzje (Papież powołuje się na własny list z 1971 r. oraz na dwa pisma Kongregacji dla Kościołów Wschodnich z 1974 r.) mogłyby ulec zmianie: powtarzamy przynajmniej obecnie. Śpieszymy zapewnić, że ta potwierdzona decyzja z Naszej strony jest całkowicie pozbawiona wszelkich politycznych konsyderacji...”

W dokumencie papieskim bije w oczy sprzeczność: jeśli nie polityczne, lecz kanoniczne, duszpasterskie i duchowe względy wciąż przesądzą o odmowie papieskiego uznania statusu patriarchalnego, to nie mogą być ważne tylko prowizorycznie („przynajmniej obecnie”). Watykańską argumentacją prawną-kanoniczną, opierającą się na dekretach Soboru Vaticanano II, można zresztą dowolnie interpretować. Dekrety te odnoszą się do jurysdykcji patriarchów „w granicach obszaru patriarchalnego” oraz do erygowania nowych patriarchatów (również obrządku łacińskiego) zarezerwowanego dla Soboru lub Papieża. Żaden z istniejących wschodnich Patriarchatów Katolickich nie był ustanowiony przez Stolicę Apostolską, która jedynie potwierdzała *post facto* ich istnienie. Co zaś do „obszaru”, to przecież przed kard. Slipyjem b. więzieniem obozów, zamknięta jest droga powrotu na Ukrainę, gdzie, jak wiadomo, doszło do przymusowego wchłonięcia Kościoła do Cerkwi Prawosławnej. Jeśli negatywną decyzję Paweł VI osładza formułą „przynajmniej obecnie” to jest oczywiste, że równie dobrze mógłby akceptować „tymczasem” status patriarchalny w ramach ukraińskiej diaspory, gdzie Kościół ten jest żywotny i broni się przed zagładą na jaką narażone są szczątkowe wspólnoty innych obrządków wschodnich (maronicki, melchic-

ki, ormiański, koptyjski, syryjsko-malabarski). Sedno rzeczy polega na tym, że Papież mógłby to uczynić kierując się właśnie względami duchowymi i duszpasterskimi, ale lęka się by nie przeszkodzić wielkiej operacji dojścia do *modus vivendi* ze światem komunistycznym.

Napięcie pomiędzy diasporą ukraińską a Watykanem wzrosło znacznie po liście papieskim, tym bardziej że nuncjusze apostołscy otrzymali dyrektywy, by niezwłocznie przekazać jego treść do wykonania biskupom i egzarchom ukraińskim na całym świecie. Mam przed sobą taki dokument rozesłany w czerwcu przez poszczególnych nuncjuszy. Czytamy tam m.in. że „kard. Villot, Sekr. Stanu, żąda by List Papieski podać do wiadomości kleru i wierzących by unikać odtąd nadużywania tytułu 'Patriarchy'. Przestrzega się ponadto by przy okazji zbliżającej się pielgrzymki ukraińskiej do Rzymu, nie doszło do demonstracji sprzecznej z wytycznymi w/w Listu”. Do „demonstracji” nie doszło, co nie oznacza, że ukraińscy katolicy w diasporze wyrzekli się swych praw. 11 lipca ponad trzy tysiące pielgrzymów ukraińskich przybyłych do Rzymu na obchody Roku Świętego z USA, Kanady, Australii, Ameryki Łacińskiej i Europy Zachodniej, uczestniczyło w uroczystej mszy św. w bazylice św. Piotra, celebrowanej przez kard. Slipyja w asyście 15 biskupów i 80 duchownych ukraińskich. Papież był nieobecny. W wygłoszonym kazaniu po ukraińsku i włosku, kard. Slipyj podkreślił wierność katolickiego Kościoła Ukraińskiego Stolicy Apostolskiej i ofiary poniesione przez hierarchię i wyznawców na Ukrainie, właśnie na skutek tej wierności i lojalności. Dla ukraińskich pielgrzymów ta imponująca uroczystość liturgiczna stanowiła zarazem potwierdzenie jurysdykcji patriarchalnej kard. Slipyja. W niedzielę 13 lipca odbył się religijny koncert ukraiński w sali audiencji papieskich przy udziale licznych kardynałów. Papież był nieobecny. Na konferencji prasowej, zorganizowanej przez Światową Federację Ukraińskich Stowarzyszeń „Za Patriarchat” jeden z dziennikarzy zapytał: dlaczego nie urządzić pokojowej okupacji bazyliki św. Piotra, by nadać rozgłos Waszej sprawie i wywrzeć nacisk na Watykan? Odrzucono tę radę. Działacze ukraińskiej federacji są bowiem przeciwni wszelkim gwałtownym wystąpieniom i sądzą, że skuteczniejsza jest akcja mobilizowania katolickiej opinii światowej. Prof. Wasyl Markuś z uniwersytetu chicagoskiego powiedział: „przypominamy wciąż o prześladowaniach naszych braci na Ukrainie kiedy równocześnie prześladowcy naszego Kościoła przyjmowani są w Watykanie. To nie jest wyłącznie sprawa ukraińska, ale sprawa *survival* całego Kościoła Powszechnego, sprawiedliwości i udziału wszystkich katolików w cierpieniach prześladowanych. Nie można bronić jednej grupy religijnej (tj. obrządku łacińskiego) kosztem innej grupy. Nie można bronić sprawiedliwości w Azji, Afryce czy Ameryce Łacińskiej — wszędzie, tylko nie w ZSSR”.

Na konferencji tej mówiono z głęboką troską i przejęciem o konieczności stałych nacisków na Kurie Rzymską w celu zmu-

szenia jej do wypełniania ciężących na niej obowiązków moralnych, do niestosowania podwójnej miary, jednej wobec silnych, innej wobec słabych; mówiono z niepokojem o praktykowaniu przez biurokrację watykańską nominacji biskupów niekoniecznie najbardziej nadających się, i bez konsultowania kard. Slipyja (ukraińskiego episkopalnego Synodu Watykan nie uznaje); cytowano trzy nominacje w roku ub. o czym kard. Slipyj dowiedział się *post factum*. Oskarżano wręcz aparat watykański o dążenie do rozbijania jedności hierarchii ukraińskiej, tj. wykorzystywanie jej słabszych ogniw przy pomocy korupcji moralnej i materialnej; wśród tej hierarchii zdarzają się czasem ludzie nastraszeni, niechęć narażać się aparatowi watykańskiemu.

Liczne gazety włoskie zamieściły obszerne sprawozdania z tej konferencji, zaopatrując je nagłówkami: „Paweł VI rozczarował katolików ukraińskich”, „Twarde oskarżenia Ukraińców pod adresem Watykanu”, „Katolicy ukraińscy toczą nadal 'wojnę' z Watykanem”. Rzecznik prasowy Watykanu zareagował na to „oświadczeniem werbalnym” z 18 lipca, przytaczając argumentację z w/w listu Papieża do Slipyja, dodając, niestety, rzecz niezgodną z prawdą: „duża większość ukraińskich świeckich, duchownych i biskupów przyjęła tę decyzję papieską, rozumiejąc racje Stolicy Apostolskiej. Dlatego, jakiegokolwiek są zamiary niektórych, patriarchat ukraiński nie istnieje”. *Roma locuta, causa finita?* Rzecz wygląda inaczej niż się to pozornie wydaje. Ukraińcy nie złożyli broni. Najpierw w liście do kard. Villot, Sekr. Stanu, podpisanym przez miarodajnych przedstawicieli laikatu, występując również w imieniu współbraci skazanych na milczenie, postulują konieczność publicznego wystąpienia Papieża w ciągu Roku Świętego dla „rozproszenia uporczywych pogłosek, że Stolica Apostolska zaakceptowała oficjalną likwidację katolickiego Kościoła Ukraińskiego przez reżym sowiecki jako fakt nieodwracalny i że traktuje Ukrainę jako duchową domenę rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej”. W liście zaś do Pawła VI reprezentanci laikatu obalają twierdzenie Papieża (podsunięte mu prawdopodobnie przez abp. Brini, skompromitowanego sekretarza Kongregacji dla Kościołów Wschodnich), iż nadanie tytułu Patriarchy kardynałowi Slipyjowi „spowodowałoby zamieszanie i rozdarcie”. Ci, którzy przeciwstawiają się statusowi patriarchalnemu i nie uznają przewodnictwa kard. Slipyja stanowią — zdaniem sygnatariuszy listu do Papieża — „drobną mniejszość i pozbawieni są całkowicie wpływów, o czym świadczy zarówno ukraińska prasa religijna i świecka jak i inne publikacje stojące na stanowisku prawa do ustroju patriarchalnego. Czcigodna osoba Patriarchy Jossyfa stanowi najbardziej zespalaający czynnik dla naszych biskupów, księży, zakonów i laikatu”. W ulotce do „chrześcijan na całym świecie”, wydanej w Rzymie 12 lipca (w 4 językach), pielgrzymi ukraińscy przypominają katolików katakumb, uwięzionych w łażrach i domach dla obłąkanych, i apelują: „Nikt z nich nie może tu przybyć by korzystać z łask Roku Świętego. Dlatego prosimy Was o połączenie się z naszymi modlitwami o przywrócenie praw ludzkich

i wolności prześladowanym oraz suwerenności narodowej Ukrainie i innym krajom ujarzmionym, za pokój i sprawiedliwość szczególnie w łonie Kościoła katolickiego, za przywrócenie praw Kościołowi ukraińskiemu pod przewodnictwem swego Patriarchy J. kard. Slipyja, który po 18 latach więzień i obozów nie znajduje tu właściwego zrozumienia”.

W Watykanie mówi się dziś o „rebelii ukraińskiej” i istnieją tam obawy, że sytuacja ta może doprowadzić do schizmy. Niektórzy twierdzą, że praktycznie już doszło do „krawędzi” schizmy.

Jeden z przywódców katolików ukraińskich mówi mi: „ekumeniczne rozmowy pomiędzy Moskwą i Watykanem nie zatrzymały fali prześladowań, przyczyniły się do wybielenia reżymu sowieckiego, wzmocnienia prestiżu rosyjskiej Cerkwi, obalamuśnia dużego odłamu katolickiej opinii publicznej w wolnym świecie. Jakie korzyści odniósł Watykan? Bardzo niewielkie, jeśli nie wręcz iluzoryczne. Wasz Prymas postawił kiedyś pytanie bynajmniej nie retoryczne: „dlaczego Watykan sprzedaje wszystko tak tanio?”. Wierność wobec Stolicy Apostolskiej nie może być czysto emocjonalna i nieodwzajemniana. Racjonalne względy nakazują uwarunkowanie tej wierności i lojalności”. Wiemy coś o tym z własnej historii: *Polonia, semper fidelis*. Chodzi o to by nie dopuszczać do sytuacji nadużywania tej pewności przez Kurie Rzymską. *Semper fidelis*, tak, ale nie za każdą cenę, a tym bardziej nie za cenę rezygnacji z prawdy na rzecz półprawd, kamuflaży, mistyfikacji i diabolicznego „dialogu”. Paweł VI *notabene* znowu niedawno przypomniał obecność Szatana w świecie, strofując katolików za to, że zbyt skwapliwie o tym zapominają (serwuję ten temat Herlingowi-Grudzińskiemu).

Sukces wyborczy komunizmu „all'italiana”

Późnym wieczorem 16 czerwca do siedziby zarządu centralnego (*Partito Comunista Italiano*) ścigały zewsząd wiwatujące tłumy. Właśnie radio ogłosiło nieoficjalne wyniki wyborów administracyjnych (regionalnych, prowincjonalnych i komunalnych), które maksymalnie upolityczniono. Przeszło 11 milionów obywateli włoskich — 33 procent bazy wyborczej — oddało głos na PCI, trzy miliony więcej niż w ostatnich wyborach (w tym przeszło milion nowych wyborców, młodzi ludzie od 18 do 21 roku życia, głoszący po raz pierwszy). Partia komunistyczna osiągnęła w ten sposób najwyższy po wojnie wskaźnik procentowy (zaczęła w roku 1946 od 19 %, by dojść w roku 1970 do 27 %). Następuje dziś na pięty DC (Demokracja Chrześcijańska). Dystans pomiędzy dwoma partiami z 11 % zmniejszył się do zaledwie 2 %. Doszło do polaryzacji dwóch bloków konserwatywnych, co grozi stłamszeniem sił pośrednich (socjaliści, socjal-demokraci, republikanie i liberałowie), laickich i postępowych. Na skrajnym skrzydle utrzymała swój stan posiadania (ok. 7 %) partia neo-faszystowska (*Movimento Sociale Italiano*).

Czym tłumaczy się ten wielki sukces komunistów? Nie tylko chęcią wyrażenia protestu i ukarania DC za wszystkie winy popełnione (*malgoverno*, skandale gospodarcze, korupcja, paraliż biurokracji) i niepopołnione (inflacja, presja wszechwładnych syndykatów, brak alternatywy socjalistyczno-demokratycznej). PCI od dłuższego czasu, i bardzo zrećnie, pracowała nad stworzeniem własnego nowego i reformistycznego *image*. Przedstawiła się wyborcom jako partia „czystych rąk”, zdolna do opanowania plagi skandali, przykręcenia śruby progresji podatkowej, zregenerowania aparatu państwowego, a zarazem jako herold wolności obywatelskich, praw inicjatywy prywatnej, zachowania statusu ustrojowego. Czasy krucjaty antykomunistycznej dawno przebrzmiały, a Kościół zachował neutralność (o czym dalej). Propaganda chadecka i prawicowa, wygrywająca kartę portugalską, represje dysydentów w ZSSR oraz degenerację ideologiczną w bloku sowieckim, nie chwyciła. Burzuje, również odłam przemysłowców drżących przed widmem nowych strajków, wybrali nie wolność, lecz „porządek”, jaki komunistyczni „wybawcy narodu” obiecali przywrócić. Organ teoretyczny PCI (należy czytać nie tylko prasę komunistyczną przeznaczoną dla mas) *Rinascita* tak właśnie tłumaczył zwycięstwo komunistów, które „stało się możliwe ponieważ doznał osłabienia cały system wartości stanowiących ideowy cement panującej władzy: przede wszystkim antykomunizm oraz bożyszczą tak zwanej cywilizacji zachodniej (wolność, tani dobrobyt, model amerykański). To utrata sugestywności tych symboli popchnęła po raz pierwszy miliony wyborców chadeckich ku przewadze rozumowania nad warunkowymi odruchami i wykorzystania kartki wyborczej jako środka wyrażenia sądu; sądu na temat sposobów rządzenia, spraw do załatwienia i problemów dojrzałych do rozwiązania, a nie jako odpowiedzi na atawistyczne apele i opowiedzenie się za czy przeciw określönemu światopoglądowi” (tłumacząc dosłownie ten znamienity tekst). Jaką wartość mają więc zapewnienia propagandy komunistycznej o zachowaniu pluralizmu partyjnego, jeśli organ PCI sądzi, że kres antykomunizmu wypływa z osłabienia czy utraty wiary w ideały wolności? Sedno rzeczy tkwi w kamufażu i dwuznaczności stanowiska PCI: jest nadal wykrętne i wymijające. Absurdalność sytuacji polega na tym, że włoscy komuniści nie wypowiedzieli się ani za ani przeciw tow. Cunhalowi, ani za ani przeciw sowieckiej koncepcji ustrojowej, ani za ani przeciw gospodarce wolnorynkowej, ani za ani przeciw przynależności Włoch do NATO. „W ten sposób” — twierdzi znany publicysta włoski — „na skutek tej dwuznaczności, PCI stała się niemal pierwszą partią we włoskim systemie politycznym”.

Nowi wyborcy PCI jednak się nad tym nie zastanawiali.

Trzon wyborców tej partii (oczywiście nie aktywiści i elitarne koła intelektualne) widzi w niej unowocześnioną, sprawniejszą wersję Demokracji Chrześcijańskiej. Są i tacy, co uważają ją za partię faszystowską *alla rovescia* (na odwrót). „Głos” oddany zatem na PCI — faktycznie prawicowy i zachowawczy —

zdyskontowany został w operacji pozornie lewicowej, reformistycznej, a nie rewolucyjnej. Trzeba teraz „zagospodarować” tę paradoksalną sytuację. Nie będzie to łatwe, bo jak zaspokoić różnicowane potrzeby, jak zharmonizować przeciwstawne interesy, robotników, urzędników, warstw średnich, drobnych przemysłowców, młodzieży studiującej lub poszukującej pracy. Najłatwiej na pewno poradzić sobie z konformistycznymi, pseudopostępowymi intelektualistami, którzy od miesięcy wskakiwali do wozu przyszłych triumfatorów. Wybitny publicysta, Indro Montanelli, napisał na ten temat polemicznie: „naszym ulubionym sportem jest pogoń za zwycięzcą”.

Kierownictwo PCI jest w bardzo wygodnej sytuacji: będąc bowiem nadal partią opozycyjną może dowolnie manipulować amorficzną masą wyborców, wywierając populistyczny nacisk na rząd centralny, równocześnie zaś konsolidować zdobyte pozycje w administracjach regionów, prowincji i gmin. Wybory parlamentarne odbędą się we Włoszech w 1977 roku, jest więc dość czasu na przeszkolenie nowych kadr i przygotowanie się do ostatecznego szturmu o władzę.

Kto, natomiast, ma bardzo mało czasu, to chadecja, znużona trzydziestoletnimi rządami, rozdarta na *correnti* (zorganizowane frakcje) i wymieniająca wciąż tych samych przywódców na stanowiskach rządowych („ciągle te same twarze w telewizji” — wypomina lud). Zajęta kuluarowymi rozgrywkami wewnątrzpartyjnymi, licząc na pozornie niewyczerpane rezerwy głosów tzw. klientel, sztucznie rozdawszy pasożytujące często zakłady publiczne czy parapubliczne — odcięła się od realiów psychologiczno-politycznych kraju. Pomoc ze strony Kościoła i stowarzyszeń katolickich tym razem nie nadeszła. Watykan zachował neutralność i nawet nie skomentował oficjalnie wyników wyborów. Watykan już dawno dokonał rewizji stanowiska wobec tzw. kwestii partii wyznaniowej, wymagając stopniowo dystans wobec *Democrazia Cristiana*. Nie oznacza to, że rozmiary sukcesu komunistów nie zaskoczyły Kurii Rzymskiej. Niepokój, ale zarazem i powściągliwość Watykanu najlepiej charakteryzuje następujący fragment artykułu podpisanego kryptonimem w nieoficjalnym organie *Osservatore della Domenica*: „Chwila jest nader poważna. Zadanie Demokracji Chrześcijańskiej stało się cięższe i trudniejsze. ... Jeszcze raz wydaje się oczywiste, że losy włoskiej demokracji są związane z losem partii, która pozostaje nadal, — choć dysponuje nieznacznym marginesem — partią o relatywnie większości. Czy należy stąd wnosić, że los kraju jest nierozłączny z losem DC? Nikt, a my mniej niż inni, nie jest tak arogancki”. Wyraźne stanowisko zajęła natomiast konferencja episkopatu włoskiego. Biskupi włoscy przyznają pośrednio, że sukces komunistów wynika w dużej mierze z zamętu pojęć i poglądów wśród katolików. Jako przyczyny konfuzji wiernych (co oddziaływało negatywnie na wyniki wyborów) wymieniali zgodnie brak wyraźnych dyrektyw pastoralnych dla kleru i kontradycje watykańskiej *Ostpolitik* (pro-marksistowskie grupy katolickie wyciągają

stąd korzystne dla siebie wnioski). „Nie można milczeć na temat prześladowań w bloku sowieckim i równocześnie zwalczać promarksistowskich, krnąbrnych dysydentów w łonie Kościoła” — powiedział mi pewien światły jezuita. Przyznać trzeba, że niezależnie zupełnie od neutralności Watykanu, duchowieństwo włoskie znalazło się przed dylematem nie do rozwiązania: jeśli występowałyby przeciw komunizmowi, to ryzykowałyby opowiedzenie się za kapitalizmem. Nie miało sensu atakowanie komunistów ze stanowiska obrony wolności politycznych — odczuwanych tu jako czysta abstrakcja — przy istniejących ograniczeniach wolności ekonomicznej (brak zrealizowanych reform socjalnych i gospodarczych). I tak dochodzimy do braku „trzeciej drogi”, braku alternatywy z jednej strony laickiej i socjal-demokratycznej, z drugiej, radykalnej społeczno-chrześcijańskiej.

Zdaniem wybitnych przedstawicieli otwartych kół kościelnych — brak takiej alternatywy stworzył trudności nie do pokonania również dla kleru włoskiego. Tam gdzie jej brak — we Włoszech zaciążył on na całej powojennej ewolucji społeczno-politycznej — a komunizm stanowi poważną i atrakcyjną siłę, może dojść tylko do frontalnego starcia lub do „kompromisu historycznego”. Komuniści włoscy wyciągnęli wnioski z lekcji chilijskiej: nie chcą frontu ludowego, lecz preferują porozumienie z formacjami katolickimi (czyli właśnie wylansowany przez nich „kompromis historyczny”). By do tego doprowadzić potrzebne było osłabienie Demokracji Chrześcijańskiej, której linia polityczna od De Gasperiego do Fanfaniego polegała na wygrywaniu karty antykomunistycznej jedynie podczas kampanii wyborczych. Potem kartę tę spokojnie odkładano do szuflady, a o obietnicach reform skrzętnie zapominano, pozostawiając komunistom wolną rękę w penetrowaniu newralgicznych ogniw życia społecznego (fabryki, uniwersytety, syndykaty). Wszystko to musiało się zemścić.

Dominik MORAWSKI

Pisane 28 lipca 1975

Widziane z Brukseli

Moje życie z Borysem Ponomarewem

Trudno. Przyznaję się. Od 28 lat żyję z Borysem Ponomarewem. Tkwił u kolebki mej kariery dziennikarskiej, potem przeżywał się przez nią jak sen jaki złoty, a teraz znowu, kiedy szron przysypał mi skronie a pióro wędnie mi w dłoniach, znowu się pokazał, aby krew zagrząć i dać świadectwo ciągłości dziejów.

Nie będę się rozczulał nad spotkaniami co śladu w historii zostawić nie chciały. Oto tylko słupy milowe.

Zaczął się 7 czerwca 1947 roku. Dnia tego ukazał się w *Prawdzie*, królowej gazet, artykuł na temat zdradzieckiej roli socjal-demokracji. Przymiotniki były straszne, wiało piekłem. Mnie, młodemu neoficie w polityce i w zawodzie, aż w oczach pociemniało. „Przecież to być nie może, zawołałem (cicho, bo w Bukareszcie, gdzie swe pierwsze atramentowe plamy stawiałem, już wtedy głośno nie należało się niczemu dziwić). Ale mój mistrz, doświadczony socjalista, uspokoił mnie. Dokonał egzegzyzy artykułu *Prawdy*, a potem podsumował sytuację. „Nasze dni są policzone. To jest wyrok śmierci na socjalistów w krajach okupowanych przez armię czerwoną. Ja wyjeżdżam. Ty, jak chcesz, ale jeżeli zostaniesz, to śledź karierę autora. On zajdzie daleko”.

Mistrz się nie mylił. Po pierwsze, od razu wyjechał. Po drugie, autor daleko zaszedł.

B.P. wchodzi na orbitę

Na Zachodzie mało kto znał wówczas Borysa Ponomarewa. Tylko bardzo nieliczni pamiętali, że w 1938 roku autor artykułu w *Prawdzie* wydał, na użytek zagranicy sensacyjną opowieść pod świeżym tytułem „Spisek przeciwko ZSSR i światowemu pokojowi” na temat procesów moskiewskich i osobiście p. prokuratora Wyszyńskiego.

Urodzony w 1905 roku, członek partii od 1919, B.P. ukończył historię na uniwersytecie moskiewskim, został mianowany specjalistą partyjnym od historii ruchu komunistycznego, całą karierę zrobił w aparacie WKP(b). Jego pierwsze kontakty z zagranicą datują się jeszcze z 1937 roku, kiedy B.P. został pracownikiem sekretariatu Kominternu. W chwili podpisywania w *Prawdzie* nekrologu wschodnio-europejskich partii socjalistycznych oraz wielu ich przywódców, B.P. był dyrektorem Sowinformbiura przy prezesie Rady Ministrów ZSSR. Uczeń i faworyt Michała Susłowa, czołowego ideologa epoki stalinowskiej (i wszystkich następnych), B.P. podpisując artykuł w *Prawdzie* umieszczony został na wysokiej orbicie *establishment'u* sowieckiego, po której — i to na wstępującej spirali — do dziś krąży.

Nie trzeba było długo czekać na zarządzenia wykonawcze do wyroku w *Prawdzie*. Cztery miesiące później zbiera się w Polsce konferencja dziewięciu partii komunistycznych; siedmiu wschodnich u władzy i dwóch największych zachodnich (francuskiej i włoskiej). Konferencja postanowiła „jednogłośnie” utworzyć „Biuro Informacyjne” z zadaniem „koordynowania działalności ruchu komunistycznego”. Stalin powoływał w ten sposób nowy komputer do kierowania batalionami rewolucji, wskrzeszał, na użytek zimnej wojny, w nowej postaci nieboszczyka Kominternu, rozwiązanego w czasie wojny gwoździ wyciszenia strachu aliantów, dostarczających broni, pieniędzy i żywności. W świat z Warsza-

wy poszedł bojowy program „walki z reakcją”. Na ładnym miejscu figurował w tym programie postulat „odizolowania socjal-demokracji”, przecięcia kontaktów socjalistów na Wschodzie z braćmi na Zachodzie, określonymi jako „najbardziej gorliwi agenci imperializmu” oraz doprowadzenia odpowiednio oczyszczonych i ustawionych „rusinków” do stopienia się w gorącym uścisku z komunistami.

Siedzibą Biura Informacyjnego był początkowo Belgrad. Tamże miał się ukazywać organ Kominformu „O trwałe pokój, o demokrację ludową”. Zdziwionym komunistom zachodnim Zdanow wytłumaczył, że tytuł ten wymyślił osobiście Stalin. Wódz proletariatu przypuszczał mianowicie, że burżuazyjne organy będą przy każdym cytowaniu organu musiały powtarzać cały program ideologiczny zawarty w tytule. Stalin, aż strach powiedzieć, pomylił się, bo burzuje albo wcale nie cytowali, albo mówili per „organ z Belgradu”...

B. P. — 27 lat później

Mijały lata. B. P. co jakiś czas pokazywał się w moim życiu, był na każdym zakręcie, wyskakiwał jak kukułka z zegara, aby mnie prywatnie zawiadomić, że znowu jakaś (często zresztą właśnie moja) godzina prawdy wybiła.

Ale dopiero w czerwcu 1974 B. P. naprawdę poważnie zakukał. Jeszcze dziś dreszcz mnie bierze, kiedy wspomnę wrażenie jakie na mnie zrobiło ponowne — 27 lat później — skojarzenie czynników, które w 1947 roku zwiastowały kres wolności na Wschodzie. Istotnie bowiem, w czerwcu 1974 (nawet cyfry te same), nowe posłanie zostało wystosowane przez ten sam Kreml, za pośrednictwem tego samego człowieka, na ten sam temat i z tej samej właściwie trybuny.

Oczywiście, Borys Ponomarew nie jest już skromnym funkcjonariuszem partyjnym, a jest zastępcą członka Biura Politycznego i sekretarzem KC odpowiedzialnym za zachodnie partie komunistyczne. Oczywiście, pismo nie nazywa się „O trwałe pokój, o demokrację ludową”, a bardziej sexy: „Problemy pokoju i socjalizmu”, przy czym tytuł nie jest Stalina, a Ponomarewa. Oczywiście, pismo nie wychodzi w Belgradzie — ognisku titowskiej zarazy — ani w Bukareszcie (gdzie przez kilka lat się drukowało), a w Pradze, gdzie je w 1958 roku osobiście B. P. zainstalował. Oczywiście, „najbardziej gorliwi agenci” to tylko jedno ze zmartwień Moskwy... Niemniej artykuł podpisany Borys Ponomarew, wydrukowany w organie praskim pod oryginalnym tytułem „Sytuacja międzynarodowa a proces rewolucyjny”, natychmiast wywołał drganie sowietologicznych sejsmografów.

Gdybym napisał, że rzucam się i połykam jednym tchem organ z Pragi, nikt by mi i tak nie uwierzył. Jest to bowiem najnudniejsze chyba pismo świata, *Nowe Drogi* przy nim to prawdziwy *thriller*, i poza cenzorami nikt go właściwie dobrowolnie do ręki

nie bierze. Przysnąję więc, że tak jak w 1947 roku ktoś z boku zwrócił mi uwagę na artykuł Ponomarewa w *Prawdzie*, po czym wyjechał, tak w 1974 r. ktoś inny, kto nie musiał wyjeżdżać, bo już mieszkał w Belgii, ale kto zawodowo towarzyszy rewolucji w marszu, zadał mi pytanie: „Czy pan czasem nie wie, dlaczego artykuł Ponomarewa z czerwca 1974 ukazał się we wszystkich wydaniach organu z Pragi z wyjątkiem wydań romańskich...?”.

Nie wiedziałem, przysnąję z rumieńcem wstydu. Ale postanowiłem się dowiedzieć. I dowiedziałem się.

B. P. wskazuje drogę

Po poważnych studiach wydrukowałem więc w brukselskim *Le Soir* artykuł pt. „Przestroga Ponomarewa”. Artykuł B. P. jest pozornie nudny, mówiłem, ale chodzi tu o akt polityczny o niewątpliwie nośności. Wychodząc z analizy bankructwa chilijskiego, Ponomarew przestrzega mianowicie europejskich komunistów przed powtarzaniem błędów Allende. Ponieważ nic w branży ideologicznej nie dzieje się bez powodu, przeto, nauczałem, B. P. przekazuje towarzyszom zachodnim także i tą drogą linię rozumowania Moskwy w chwili wchodzenia na finisz przygotowań do europejskiego szczytu komunistycznego.

Linia ta, jak wynikało z artykułu B. P. polegałaby na paru prostych hasłach: aby zdobyć i utrzymać władzę niezbędne jest „pozbowienie wroga klasowego środków informacji i propagandy”, „neutralizacja prawicy socjal-demokratycznej”, czystka i spenetrowanie armii, czystka i stworzenie nowego aparatu państwowego itd., itp... Nic więc dziwnego, wywodziłem uczenie, że taki właśnie wykład strategii Moskwy został oceniany przez partie francuską, włoską i hiszpańską. W chwili bowiem gdy partie te uwodzą nas i kuszą ideą najbardziej szerokich frontów ludowych, kiedy w obronie wolności i demokracji gwałconych przez burżujów, Berlinguer proponuje sojusz masom chadeckim, Marchais zapowiada wydawanie *Sołżenicyna*, a Carrillo szuka bazy wśród oficerów Franco, program B. P. stanowi zwyczajny sabotaż zachodniej drogi do socjalizmu.

Artykuł *Soir*'u nie tylko nie wywołał paniki, ale nie wzbudził nawet większego zainteresowania. Maniak, powiedział odprężeniowcy „za wszelką cenę”. Prymitywny antykomunista, powiedział komuniści. I zapanował spokój.

Rok czasu musieliśmy czekać, Ponomarew i ja, aby przebić mur zachodnio-komunistycznej cenzury.

W czerwcu 1974 odbywały się wybory komunalne we Włoszech. 6 czerwca chadecka agencja prasowa ASCA eksploduje bombę. Tak jej się przynajmniej wydawało. „Tajna instrukcja Kremla czyli pięciopunktowy przepis na zdobycie władzy na Zachodzie” nie zrobił jednak większej kariery. Wydrukowały ten utwór tylko gazety chadeckie. „Czarna reakcja” powiedzieli znowu ci „za wszelką cenę”. Prymitywny manewr wyborczy, powiedzieli

dystyngowani politycy. *Unità*, organ Berlinguera dodała wzgardliwie, że to fałsz i brednia i że pięciopunktową instrukcję podpisaną rzekomo przez Ponomarewa trzeba wyrzucić na śmietnik antykomunistycznej literatury.

I wyrzucono. Znowu zapanował spokój. Tylko mnie, maniaka, coś uderzyło. Skąd ja to znam, pięć punktów, podpis Ponomarewa, nawet data się zgadza — lato 1974. Spójrzmy wstecz... Spojrzałem.

I znowu w *Soir* wydrukowałem artykuł na temat „Tajemnicy Ponomarewa”. Z tą instrukcją, powiadałem, to nie takie proste. Nie wiem czy B.P. tę instrukcję osobiście napisał, podpisał i rozesłał. Wiem natomiast — pouczałem dalej — że idee i pomysły w niej zawarte niewątpliwie do B.P. należą. Wszystkie bowiem, z pewnymi wariantami, znajdowały się już w jego artykule sprzed roku wydrukowanym w organie praskim. Porównajcie, wołałem, oba teksty, to dopiero początek, a nie koniec afery. Większych złudzeń nie miałem, swołocz, powiedzą znowu, chce zimnej wojny...

B. P. wybucha w Paryżu

Ale się myliłem. Tylko kilka dni trzeba było czekać, aby się proroctwo spełniło. Bomba podłożona w Rzymie, wybuchła w Paryżu. Francuski dziennik *Le Quotidien de Paris* zaofiarował mianowicie gościnę redakcji dziennika *Repubblica*, zakneblowanego przez komunistów w Lizbonie. Francuska wkładka *Republiki* zawierała m.in. „tajną instrukcję” Ponomarewa. Te pięć punktów, dodała z pewnością siebie *Repubblica*, co prawda wydrukowano w Moskwie, ale wyznaczają one dokładnie praktykę komunistów w Portugalii.

No i się zaczęło. Po pierwsze odezwał się tow. Cunhal, szef kompartii w Lizbonie. Oszczerstwo, prowokacja, skandal, my was do sądu, takiej instrukcji nie ma, nic nie jest nam zresztą bardziej obce niż takie metody.

Po drugie odezwał się tow. Marchais, szef kompartii z Paryża. Oszczerstwo, skandal, prowokacja. Takiej instrukcji nie ma. A co do artykułu, w którym tow. Ponomarew „wypowiedział kilka niezobowiązujących prywatnych poglądów” to francuskie wydanie organu z Pragi nie wydrukowało go, albowiem artykuł ten „mógłby zaciemnić raczej niż rozjaśnić sposoby rozwiązania pewnych problemów jakie wyłoniły się we Francji w trakcie walki o pokój, demokrację i socjalizm”.

Po trzecie tą bezprecedensową sytuacją, kiedy to komuniści zachodni cenzurują członka moskiewskiego Politbiura, odpowiedzialnego *ausgerechnet* za kontakty z nimi i za politykę Kremla w tej dziedzinie, gdyż „zaciemnia a nie rozjaśnia”, zainteresowała się prasa zachodnia. Artykuł *Soir* poszedł w świat. Jedne pisma po prostu cytowały go za depeşami agencyjnymi, lub w doniesieniach własnych. Inne lekcewały sprawę, „nieporozumienie”

wołały, oba teksty nic nie wiążą. Pewien wybitny był nasz rodak oświadczył, że nie widzi powodu do krzyku, bo instrukcja to fałsz, a artykuł Ponomarewa nic nie wnosi. Paryski *France-Soir* poszedł najdalej. Najpierw zażądał całej dokumentacji i to natychmiast „tele-kopią” z redakcji brukselskiej, a potem, pod znajomym nawet podpisem, pochwalił się, że „jest w stanie wyjaśnić tajemnicę bomby Ponomarewa”, co mu się rzeczywiście i to na pierwszej stronie udało, tylko że przy pomocy zwyczajnego szwindlu, jako że ów wielki dziennik zapomniał wspomnieć, iż cały towar pochodził od kolegi z Brukseli...

B. P. nigdy nie kłamie

Oczywiście, nie trzeba dodawać, że pokrzykiwanie obrażonych przywódców kompartii, niesmak wyrafinowanych lewicowców czy manipulacje cudzych tekstów nie oznaczały nawet próby odpowiedzi na kilka podstawowych pytań. Po pierwsze — fałsz czy nie? Po drugie — jeżeli fałsz, to kto go sfabrykował? Po trzecie wreszcie, dlaczego ten fałsz spalił na panewce we Włoszech, a wybuchł takim blaskiem w Paryżu i to po portugalsku? Jasne, że tylko B.P. mógłby na te pytania wyczerpująco odpowiedzieć. My możemy tylko porozmyślać...

A więc fałsz czy nie? Oczywiście, fałsz! Pobieżna choćby analiza semantyczna (nikt tak nie pisze w Moskwie) a przede wszystkim polityczna nie pozwala na wątpliwości. Pięciopunktowa instrukcja nie została napisana przez B.P. i nie została przez niego wysłana do zachodnich kompartii. Byłaby to nie zbrodnia, a błąd. Dokument taki nie pozostałby bowiem tajemnicą dłużej niż przez 24 godzin i nie ma takiego wariata w Moskwie, który w sytuacji kiedy wszyscy patrzą komunistom na ręce i to czasem z dość bliska nawet, wysłałby tak kompromitujący dokument. Technicznie i formalnie więc, jest to fałsz.

Ale ideologicznie i intelektualnie fałszu nie ma. Jak to bowiem można łatwo sprawdzić, idee pięciopunktowej instrukcji zaczerpnięte zostały przez fałszerza z autentycznego choć ocenzurowanego artykułu B.P. wydrukowanego przed rokiem w miesięczniku praskim.

A teraz, po drugie: kto te pięć przykazań sfabrykował? Najłatwiej odpowiedzieć za Seneką, że ten *cui prodest*, komu to przynosi korzyść. Że więc chodzi tu, żeby przytoczyć subtelne sformułowanie TASS'a, o „prymitywną prowokację zmontowaną w sposób, w którym CIA jest wysoko wyspecjalizowana”. Hm, coś w tym jest. W obliczu ofensywy komunistycznej we Włoszech czy w Portugalii, CIA (nawet w stanie obecnego rozkładu) mogłaby podjąć próbę posłużenia się apokryfem technicznie sprawnym, politycznie możliwym a intelektualnie prawdopodobnym, aby ujawnić przed światem ukrytą stronę komunistycznej strategii...

Ale, nie bądźmy naiwni. To klisza, to zbyt proste. Czy to tylko CIA jest „wysoko wyspecjalizowana”? A KGB? Brednia,

powiecie. Po co KGB miałyby podejmować dywersję antykomunistyczną? Czy jednak jest to na pewno dywersja antykomunistyczna? Jeżeli na te pytania odpowiedź jest twierdząca, to dywersją antykomunistyczną był także artykuł Ponomarewa z 1974 roku, bo to on wszakże — choć bez „jamesbondowskiej” otoczki, zawierał wszystkie pięć punktów instrukcji, bo z niego one wszystkie rodem.

A poza tym, czy byłby to pierwszy wypadek kiedy KGB ujawnia tę „wysoką specjalizację” i upowszechnia na Zachodzie prawdy, pół-prawdy, prawie fałszywe i fałszywe? Jak to było z „żukiem Colorado” i stonką ziemniaczaną Korei? Jak się dostał na Zachód dla niektórych ciągle jeszcze „tajny” referat Chruszczowa z XX zjazdu? Jaka była rola niejakiego Wiktora Louisa, dziennikarza na etacie KGB w przeniesieniu na Zachód niektórych wersji innego „fałszu” czyli wspomnień Chruszczowa lub „poprawionych” maszynopisów Sołżenicyna? Czy znają państwo rolę tegoż Louisa i KGB w próbie skompromitowania Swietłany Allilujewej, córki Stalina, po jej przejściu na Zachód? Czy KGB nie sfabrykowała i nie rozesłała rzekomej korespondencji Sołżenicyna aby zwabić do Pragi emigracyjnych działaczy z Brukseli, zapewne nie w celu udekorowania ich orderami Bohaterów Pracy?

To wszystko prawda, ale po co, na Boga, „fałszywy Ponomarew”? Jak to po co? Przypominam, że w czerwcu 1974 panowie Marchais, Berlinguer i Carrillo ocenili Ponomarewa, że zbojkotowali artykuł członka i sekretarza, bo mógłby on — jak to przyznał po roku Marchais — „zaciemnić a nie rozjaśnić”... Zdaniem Moskwy, tak się wobec towarzyszy nie postępuje. Tekst zaaprobowany przez Kreml (p. Marchais uważa swych słuchaczy za idiotów skłonnych do uwierzenia, że B.P. członek politbiura ma w ogóle i mógłby wydrukować „rozważania własne”) nie dotarł do odbiorcy, do którego był przede wszystkim skierowany, nie został lojalnie przez towarzyszy zachodnich przekazany w dół. A przecież chodziło o dość zasadniczy artykuł ideologiczny, którego treść Kreml chciał na Zachodzie upowszechnić. W tej sytuacji nie jest wykluczone, że, choć brzmi to, przyznając, zaskakująco, KGB otrzymało polecenie wypuszczenia „fałszu” zdolnego do sprowokowania debaty wokół idei, które Kreml uważa lub uważał za podstawowe dla przyszłości ruchu rewolucyjnego, a które legalnie, w imieniu kierownictwa, przedstawione przez B.P. padły pod ciosami brutalnej, choć bratniej cenzury.

Czyż nie jest rzeczą zadziwiającą, iż choć prasa sowiecka wielokrotnie piętnowała szalbierstwo prymitywnych antykomunistów, to ani razu, powtarzam ani razu, nazwisko Ponomarewa w tym kontekście nie padło. Czyż nie jest zastanawiające, iż odrzucając „fałsz”, co było proste, Moskwa ani razu nie zakwestionowała interpretacji artykułu Ponomarewa jako źródła i natchnienia „fałszu”. Czyż nie jest znamienne, iż podczas gdy Marchais potwierdzał publicznie ocenianie „osobistych rozważań” członka najwyższych organów ZSSR jako szkodliwych „dla walki o socjalizm we Francji”, to w Moskwie właśnie Ponomarew

był głównym referentem na akademii z okazji 40 rocznicy ostatniego kongresu Kominternu, rocznicy która nabrała bardzo określonego zapachu w kontekście tej fałszywej „instrukcji”. Ba, więcej nawet. W chwili kiedy w całej Europie szargano nazwisko Ponomarewa — był on jedynym członkiem kierownictwa, którego nazwisko wymieniono jako towarzyszącego Breżniewowi w powitaniu Willy Brandta.

B.P. po francusku i portugalsku

Ale, choć to rozważania kuszące, jądro sprawy leży w trzecim pytaniu: dlaczego „bomba Ponomarewa” wybuchła dopiero i na prawdę w kontekście francusko-portugalskim?

Wyda mi się, po pierwsze dlatego, że artykuł B.P. albo, jeżeli kto woli, pięciopunktowy wyciąg z niego, właśnie w Portugalii dokładnie się sprawdził. Tak jakby Cunhal umiał Ponomarewa na pamięć (oba panowie zresztą znają się od dawna i do brze), komunistom oraz komunizującym oficerom udało się w Portugalii przejąć kontrolę nad syndykatami, spenetrować dość skutecznie aparat wojskowy i państwowy. Premier Gonçalves to poputczyk albo i członek partii. Nie wiadomo dokładnie, gdyż według poważnych źródeł, Cunhal nie wszystkich komunistów w wojsku i w administracji ujawnił. Ci wszyscy, którzy mogli ukryć swój ideologiczny rodowód, pozostali w ideologicznym podziemi. I dalej. Socjal-demokracja, zdaniem Cunhala, to „zwyczajna reakcja”. Trzeba było interwencji niektórych przytomnych jeszcze oficerów, aby uspokoić portugalskich komunistów, którzy już — zgodnie z wytycznymi B.P. — chcieli się ochoczo brać za „neutralizację prawicy socjal-demokratycznej”, przy czym kto prawica a kto nie, to określić miał tylko Cunhal.

Następnie prasa. Socjalistyczną *Republikę* wydają już drukarze komunistyczni, Soares może się swobodnie wypowiadać na łamach gazet... francuskich. Przez katolickie radio „Odrodzenie” przemawiają już tylko osobiści wrogowie pana Boga. I wreszcie, wybory, zdaniem Cunhala, to przeżytek i brednia. „Nie damy, mówi, utopić rewolucji w urnach”. Tak jak Lenin w 1918 roku rozpuścił konstytuante — gdzie bolszewicy mieli 20 % głosów w wyniku jedynych w historii Sowietów wolnych wyborów — tak Cunhal chciałby rozpuścić portugalską konstytuante, gdzie komuniści i poputczycy mają poniżej 20 % miejsc, także w wyniku jedynych w ciągu ostatnich 50 lat wolnych wyborów w tym kraju.

Wszystko to pod lansowanym przez umundurowanych przyjaźniół Cunhala hasłem „demokracji bezpośredniej” model Fidel Castro, które to hasło nie innego nie oznacza, niż dzierżymorderstwo, lub, elegancko mówiąc, władzę mniejszości nad większością. „To co nas dzieli od komunistów, powiedział krótko Soares, to Stalin”. Ponomarew by tego lepiej nie określił.

Ale, po drugie, bomba wybuchła w Paryżu, bo wszystko co

nieudolnie tu streściłem, stanowi już dziś wewnętrzny problem lewicy francuskiej. Książę Poniatowski, minister spraw wewnętrznych Francji, gorąco zawsze witany w ojczyźnie swych przodków, kazał nawet na koszt państwa wydrukować po francusku artykuł B.P. i szeroko go upowszechnić wraz z odpowiednim, to jasne, komentarzem.

Ale to nie dziwne, książę musiał tak postąpić.

Co jest dziwne, to przedstawienie jakie dają towarzysze z francuskiej lewicy. Sztucznie zlepiiony potworek, *Foaksfront* dowodzony przez Mitterand'a jest absolutnie rozdarty pozornie przez sprawę portugalską, istotnie zaś przez samą koncepcję wolności i demokracji. Poniatowski ma łatwą grę, wystarczy przecież powiedzieć, że skoro nawet w opozycji socjaliści i komuniści nie mogą dogadać się co do podstawowych zagadnień władzy, co do zasadniczych koncepcji ustrojowych — reprezentowanych w tym przypadku przez podstawionych tu Soaresa, mającego całkowite poparcie Mitterand'a, i Cunhala, mającego totalne (słowo na miejscu) poparcie Marchais — to co by się działo gdyby tak obaj panowie M. mieli się wprowadzić do pałacu Elizejskiego.

B.P. tańczy sambe

Francuski rekoszet konfliktu portugalskiego wywołał prawdziwy gejzer publicystycznej pomysłowości i polemicznego bełkotu. Pomylenie doszło do tego, że sam *Le Monde*, który czuje się osobiście obrażony, kiedy najłżejsze nawet muśnięcie władzy francuskiej (nie mówiąc już o Hiszpanii czy Brazylii) dotknie jego koncepcji wolności prasy, uznał, iż zrabowanie socjalistom *Republiki* jest aktem rewolucyjnym, że nie jest tak straszne aby uzasadnić gniew Soaresa i jego dymisję z rządu. Trzeba było już nie ohydnie prawicowego *Figaro*, ale lewicowego *Nouvel Observateur*, aby dystygowanym intelektualistom z *Le Monde* — dziwnie amnezycznym jeżeli chodzi o historię zbudowanego socjalizmu — przypomnieć, że to się zawsze tak zaczyna (np. w Pradze w 1948 roku) i że teza o tym, iż „uzyskanie rąbka równości usprawiedliwia ograniczenie wolności prasy” jest zwyczajną tezą totalitaryzmu na wstępnym etapie, co w całej rozciągłości potwierdziło się zresztą w Portugalii gdzie przejęcie *Republiki* i „Odrodzenia” miało być tylko etapem w próbie sowieckiej akcji kraju.

Oczywiście, według *Le Monde* różnica jest zasadnicza, bo w Portugalii nie ma czerwonej armii. Ale *Le Monde* zapomina, albo bałamuci czytelnika (nie po raz pierwszy zresztą), bo na Kubie w 60-tych latach, kiedy Castro sowietywował kraj, też (poza wyrzutkami rakiet) nie było czerwonej armii. Przykład wyspy jak wulkan gorącej jest w ogóle pouczający i nie przypadkowo coraz więcej oficerów z Lizbony wyrzuca goździk z łuf karabinów, aby udać się na naukę do Hawany. Otóż na Kubie komuniści natychmiast zmiękli kiedy nie udało im się w 1962 roku wymanewrować

wać Castro i wyrwać mu władzy, do której zdobycia tak bardzo się nie przyczynili. Castro nawet za próbę puczu, deportował przywódców komunistycznych do... Moskwy. Niemniej, kilka lat później własną partię nazwał komunistyczną, kraj stał się modelem demokracji naprawdę ludowej i jest wpisany w czystą orbitę sowiecką.

W Portugalii może, rzecz jasna, być inaczej. Być może, lekcja kubańska nie pójdzie na marne. Ale kto ma z niej wysnuć wnioski? Zdezorientowany prezydent Gomes? Ogłupiała Europa? Sparaliżowana dyplomacja USA? Prezydent, który nie wpuszcza do Białego Domu Sołżenicyna, bo nie chciałby obrazić Breżniewa?

B.P. i sierżant Orzeszko

Entuzjazm *Le Monde*'u zmalał co prawda, kiedy powstał w Lizbonie triumwirat (jego rola polega zawsze na tym, że pozwala dwóm wykończyć spokojnie tego trzeciego, zanim pierwszy nie wykończy drugiego i nie przejmie całej władzy), ale i w tej sytuacji nie zabrakło mu argumentów. Francja — powiadają ci panowie — to nie Portugalia. Na razie. Czechosłowacji w roku 1948 i Kubie w 1960 było dalej do Kazachstanu niż Francji do Portugalii w 1975 a jednak się tam znalazły.

Jak mawiał nasz klasyk, sierżant Orzeszko: i na ciebie przyjdzie kolej. Albowiem nie ma formuły pośredniej. Jak dotąd na świecie nikt jeszcze nie wymyślił socjalizmu demokratycznego. Albo jest demokracja, pluralizm, partie, a nie ma socjalizmu. Albo jest socjalizm bez partii i pluralizmu, a wtedy nie ma demokracji. Dla demokracji na razie nie ma alternatywy. Demokracja manowicie to wolne wybory i wolna prasa. Reszta to dyktatury. Lewicowe, prawicowe, ale zawsze policyjne.

Tertium non datur, nawet jeżeli dżentelmeni z *Le Monde*'u uważają, że nie należy robić paniki z powodu Portugalii, jako że we Francji musiało minąć 100 lat od rewolucji 1789 roku aby zainstalował się na dobre ustrój demokratyczny.

Na podstawie mojej znajomości z Borysem Ponomarewem mogę tych panów zapewnić, że totalizm jedzie znacznie szybciej. Dlatego przede wszystkim atakuje wolne słowo, knebluje usta, i woła, że czyni tak albowiem wolna prasa nie może dać ani rąbka równości i nie jest w stanie nakarmić proletariusza. To prawda, ale totalizm nie dodaje, że rola wolnej prasy polega przede wszystkim na tym, aby jak długo proletariusz się nie najadł — nie pozwolić na siestę sytemu tyranowi.

To co goszyzujący salonowcy na Zachodzie w istocie proponują, to właśnie odległa i niepewna perspektywa nasycenia proletariusza (mija właśnie 58 lat) za cenę niczym niezmaconej, natychmiastowej, siesty tyra.

Borys Ponomarew chce tego samego, ale bez takiej hipokryzji.

W chwili wysyłania felietonu do Paryża, radio nadało, że rewolucja portugalska ma swe pierwsze ofiary. Wojsko musiało (wojsko zawsze musi) otworzyć ogień do antykomunistycznych manifestantów i zabiło dwie osoby. Kapitan, który dał rozkaz strzelania chciał popełnić samobójstwo, tłum chciał mu w tym pomóc, ale koledzy kapitana nie pozwolili.

Nic w tym nowego. *Bullets, not ballots*, kule, a nie kartki wyborcze, to bardzo stare hasło.

Równocześnie prasa doniosła, że drukarze w Lizbonie odmówili wydrukowania portugalskiego tłumaczenia „Archipelagu GUŁag”.

W tym także nic dziwnego. „Archipelagu” nie będzie. Najlepiej od razu strzelać.

BRUKSELCZYK

Z ostatniej chwili — 14 sierpnia

Wydarzenia ubiegłych 10 dni zwiększyły liczbę i zmieniły ja-kość ofiar.

W Portugalii Cunhal przegiął pałę, zasiał burzę, zbiera wiatr. To nie socjaliści, a komuniści są zagrożeni „neutralizacją”. Do akcji weszli prowokatorzy, a także zwyczajna czarna sotnia. Jej obecność nikogo nie dziwi, po 60 latach faszyzmu byłoby dziwne, gdyby jej nie było. To natomiast, że mogła i miała odwagę się ujawnić, wejść do akcji, palić Marxa i burzyć lokale organizacji partyjnych, jest w mniejszym stopniu skutkiem średniowiecznych kazań portugalskich savanaroli i torquemandów, a w większym stopniu zasługą samych komunistów, którzy od początku rewolucji gardzili środkami demokratycznymi, wykpiłi wybory, stosowali knebel i dywersję. W polityce ekstremizm rodzi ekstremizm...

We Francji nikt poważny nie mówi już o jedności lewicy. Trwająca siedem godzin narada wspólnego frontu w sprawie Portugalii (w nieobecności przywódców zainteresowanych partii) zrodziła dwudziestowierszową mysz, której nawet ja bym nie podpisał, tak jest łagodna i tak cyniczna wobec losu komunistów w Portugalii. Dwa miesiące po ogłoszeniu „Karty wszelkich wolności” przez p. Marchais jego organ *Humanité* wyjątkowo podle napadł na Jean Daniel'a, red. nac. *Le Nouvel Observateur*, za jego interpretację sytuacji w Portugalii — ale odmówił wydrukowania odpowiedniego wyjaśnienia. W związku z tym odbędzie się rozprawa sądowa, albowiem tylko dzięki burżuazyjnemu sądowi, lewicowiec Daniel będzie się mógł obronić w komunistycznym piśmie przed napaścią i zniesławieniem.

Tylko Moskwa zachowuje błogi spokój. W rok po Ponomarewie ukazał się — tym razem w *Prawdzie* — nowy artykuł z cyklu „Komuniści a władza”. Znany w Warszawie p. Zarodow (historyk kiedyś interesujący się naukowo ilością Żydów w warszawskich redakcjach), obecnie red. nac. międzynarodowego

organu komunistycznego w Pradze, zaktualizował na użytek współczesnych starą receptę Lenina: precz z wyborami, ważna jest jedynie dyktatura proletariatu.

Tym razem nikt nie mówi o fałszu. To przecież Prawda. Będą nowe ofiary w Portugalii...

B.

Za chlebem

I znów Związek Sowiecki biega i szuka gdzie by co kupić do zjedzenia. Od Australii do Kanady, ale głównie w Stanach Zjednoczonych, emisariusze sowieccy pracują jak mrówki, skupując zboże, wynajmując transport, organizując finanse. Do tej pory — tzn. do końca lipca — zakupy ich wynoszą ok. 10 milionów ton, przede wszystkim pszenicy. Z ilości tej Kanada dostarcza 2 miliony ton, Australia 750 tysięcy ton, cała reszta pochodzi ze Stanów Zjednoczonych.

Powodem tych nieprzewidzianych zakupów są duże niedobory zbożowe w tegorocznych plonach w ZSSR. Według planu tegoroczne zbiory wszystkich zbóż w ZSSR miały przynieść 215 milionów ton, z czego więcej niż połowa miała przypaść na pszenicę. Ale już szacunki z pierwszej połowy roku oceniały zbiory na ok. 10 % poniżej planu (tylko 95 milionów ton pszenicy). Obserwatorzy, przyjeżdżający obecnie z ZSSR donoszą, że sytuacja przedstawia się jeszcze gorzej, a mianowicie że niedobory wynieść mogą 25 % planu. Dokonane obecnie zakupy mogą więc stanowić tylko pierwszą ratę, po której wkrótce nastąpią dalsze.

Zakupy sowieckie wywołały na Zachodzie niepokój, niekiedy przechodzący w panikę. Rok 1972 jest bowiem jeszcze zbyt świeży w pamięci. Wtedy — zaledwie trzy lata temu — Związek Sowiecki również dotknięty był niedoborem na wielką skalę i wykupił 19 milionów ton pszenicy, co stanowiło 25 % eksportu światowego. Wywołało to niebosiężny wzrost cen pszenicy i poważnie przyczyniło się do inflacyjnego kryzysu gospodarczego, w którym obecnie znajduje się świat zachodni. Przy okazji doszło do różnych skandali: pośrednicy i spekulatorzy zarobili na zakupach sowieckich bająnskie sumy, zakupy sowieckie były częściowo subsydiowane przez podatników amerykańskich, Sowiety kupiły więcej, niż potrzebowały i mogły potem odsprzedać z zyskiem posiadane ziarno.

Nic dziwnego, że obecnie podnoszą się głosy domagające się wstrzymania sprzedaży zboża Sowiutom. Najwięcej niepokoju wywołuje fakt, że transakcje zbożowe, tak jak w 1972 roku, są tajne. Prowadzone są one przez wielkie firmy prywatne, z których tylko jedna (*Cook Industries*) jest spółką akcyjną, zobowiązaną do publikowania wyników swej działalności. Pozostałe firmy, uczestniczące w transakcjach (*Bunge Corp.*, *Cargill and Conti-*

mental Grain), mimo że są kolosami nawet na warunki amerykańskie, mają statut przedsiębiorstw jednoosobowych (prywatnych) i wskutek tego nie muszą one się przed nikim legitymować. Tajność zachęca do nieliczenia się z prawem. Niedawno 13-tu dyrektorów Bunge Corp. zostało skazanych za oszustwa popełnione przez firmę, mianowicie za podstawienie zboża gorszego gatunku.

Opozycja wobec odstępowania zboża Sowietaom przybiera różne formy. Niektóre związki zawodowe zapowiadają, że zbojkotują załadunek i transport zboża. Senat amerykański rzucił projekt ustawy, zabraniającej eksportu zboża o ile ilości eksportowane przekroczą 20 % zbiorów; eksport w większych ilościach wymagać ma zaświadczenia rządowego, że nie wpłynie on na wewnętrzne ceny zboża.

Ale sytuacja w 1975 roku różni się znacznie od 1972 roku. Rząd amerykański przestał już wypłacać subsydia eksportowe na produkty rolne, co uciszyło zarzut o finansowanie sowieckiej niewydajności z kieszeni robotnika amerykańskiego. Znacznie ważniejszy jest fakt, że rok obecny, w przeciwieństwie do roku 1972, jest rokiem wyjątkowego urodzaju. Światowe zbiory wszystkich zbóż zapowiadają się w tym roku 6 % wyżej niż w roku ubiegłym, a ok. 1 % wyżej niż w roku 1973, który był w historii rokiem rekordowym. Lwia część nadwyżki pochodzi z Ameryki. Znalazło to swe odbicie w ruchu cen. W miarę zbliżania się zbiorów ceny zboża na giełdach amerykańskich spadały drastycznie. W okresie między październikiem 1974 a interwencją sowiecką ceny te spadły o ok. 40 %. Interwencja lipcowa podbiła ceny o ok. pół dolara za buszel (19 dol. za tonę), ale obecny poziom (3,80 dol. za buszel, 142,5 dol. za tonę) jest daleki od szczytu osiągniętego na przełomie lat 1973/74, tzn. w okresie gdy zakupy sowieckie z 1972 roku osiągnęły swój ostateczny efekt. Cena pszenicy wynosiła wtedy 6 dol. za buszel. Obecnie największym zwolennikiem sprzedaży amerykańskiego zboża Sowietaom jest amerykański minister rolnictwa E. Butz. Z uwagi na przyszłoroczne wybory jego najważniejszym zadaniem jest pacyfikacja bardzo głośniejszej lobbys rolniczej. Zadanie to wymaga po pierwsze powstrzymania spadku cen, po drugie — przy wewnętrznej depresji rynku wewnętrznego — podpierania dochodów rolniczych eksportem. Sowiecki niedobór okazał się więc idealnym partnerem amerykańskiego nadmiaru. Minister Butz zapewnia, że nawet gdyby łączny eksport (włączając tradycyjnych odbiorców w Europie i Azji) doszedł do zawrotnej wysokości 30 milionów ton, to zapasy w przyszłym czerwcu będą i tak dwa razy wyższe, niż w czerwcu tego roku, kiedy wynosiły 8,5 milionów ton. Wspierając szefa, wiceminister rolnictwa R. Bell głosi, że Stany Zjednoczone mogą dostarczyć Związkowi Sowieckiemu dalsze 4,5 milionów ton pszenicy bez niebezpieczeństwa podbicenia cen na rynku wewnętrznym.

Przewóz ilości zboża, zakupionej dotychczas przez ZSSR wymaga pojemności 500 statków wielkości Stefana Batorego.

W związku z tym armatorzy sowieccy zakontraktowali 20 statków, które będą przez szereg miesięcy kursowały między portami Ameryki a ZSSR.

Tegoroczne zakupy kosztować będą Rosję, jak na razie, ok. 2 miliardy dolarów. Ponieważ jest to wydatek z rodzaju niepreliminowanych, więc wymaga on finansów ze specjalnych źródeł. Zauważono, że w przede dniu zakupów na giełdach europejskich pojawiło się znów sowieckie złoto. Jednak ważniejszy jest spór, jaki wybuchł między ZSSR a Egiptem o spłatę egipskich długów z tytułu dostaw broni. Długi te dochodzą do 7 miliardów dolarów i ZSSR tak twardo domaga się przestrzegania terminów spłat, że doszło w praktyce do zerwania stosunków między obu krajami. Przypuszcza się, że powodem nieustępliwości strony sowieckiej jest sytuacja żywnościowa i wynikająca z niej konieczność zakupów ziarna.

Widać z tego, jak ważną rolę gra Izrael w tym układzie. Państwa arabskie produkują ogromne ilości ropy, którą sprzedają na Zachodzie i otrzymują ogromne ilości walut. Za waluty te kupują broń w Związku Sowieckim, który w ten sposób otrzymuje środki na zakup żywności. Gdyby Kissingerowi udało się wietnamizacja Izraela, to państwa arabskie nie kupowałyby broni i ZSSR, pozbawiony środków na kupno żywności, umarłby z głodu. Z kolei jeśli Arabowie przestaliby kupować broń, to w ogóle albo prawie w ogóle nie potrzebowałiby walut zachodnich, czyli nie mieliby bodźca do produkowania takiej ilości ropy. A gdy Arabowie zaprzestaliby produkcji ropy, Zachód zginąłby z braku ropy. Pozostaje jeszcze zagadnienie, rzecz by można, ontologiczne. Dlaczego Związek Sowiecki, największy na świecie producent pszenicy, ciągle cierpi na jej brak i dlaczego Stany Zjednoczone, mające niemal taką samą ilość ludności co ZSSR a tylko połowę jego produkcji pszenicy, mogą regularnie eksportować połowę swej produkcji i jeszcze uginają się od jej nadmiaru?

Po odpowiedź trzeba cofnąć się aż do Chruszczowa. W czasie swej kształcącej wizyty w USA nauczył się on trzech rzeczy. Raz — że jeśli w dwustumilionowym kraju jeździ po szosach osiemdziesiąt milionów samochodów, to nonsensem jest utrzymywać za stalinowcami, że tylko milionerzy mają samochody w kapitalizmie. Zaraz też głupstwo to zniknęło z oficjalnej propagandy sowieckiej. Kto wie też, czy nie temu odkryciu zawdzięczają dzisiejsi Polacy swoje Fiaty. Dwa — że bezrobotny Amerykanin ma się lepiej, niż pracujący Rosjanin. Z prawdą tą wystąpił Chruszczow tylko raz, w przemówieniu do kazachstańskich kołchoźników i natychmiast została ona zdjęta z repertuaru. Możliwe, że przyczyniła się także do zdjęcia samego Chruszczowa, co stało się powodem, że Związek Sowiecki nigdy nie przyswoił sobie prawdy numer trzy: — że kukurydza pod wieloma względami góruje nad pszenicą.

Wytyśmaczenie problemu pszenicy leży w kukurydzy. Amerykanie przywiązują stosunkowo mało wagi do pszenicy i dlatego produkują jej stosunkowo mało. Ich głównym zbożem jest kuku-

rydza, której produkują od dwóch do trzech razy więcej niż pszenicy (do 150 milionów ton rocznie). Amerykanie jedzą kukurydzę rano, w południe i wieczorem, jedzą ją jako jarzynę, kaszę, mąkę, jedzą w płatkach, jedzą w kolbach. Ale przede wszystkim karmią nią zwierzęta domowe. Amerykańska „kukurydziana wołowina” (corned beef) znana jest na całym świecie. Chruszczow wszystko to pojął i opisał i ciągle nawoływał do zwiększenia produkcji kukurydzy w ZSSR. Ale słowa jego wpadały w głuche uszy. Gdy w 1956 roku produkcja kukurydzy w Sowietach wynosiła 8 milionów ton, to dziś wyraża się sumą 10 milionów ton. Ten sam poziom produkcji osiągnęło w tym czasie szereg znacznie mniejszych krajów — Francja, Meksyk, Jugosławia, Południowa Afryka, Rumunia, w tym takie, które dopiero w tym czasie zaczęły eksperymentować uprawę kukurydzy.

Różnice między kapitalizmem zachodnim a sowieckim socjalizmem manifestują się w różnych dziedzinach rozmaicie. W dziedzinie rolnictwa uderza następująca różnica. Zachód dokłada starań, aby jego rolnictwo było dofinansowane, doinwestowane, bogate, zdolne do pełnej produkcji. Sowiecki komunizm wyrósł na praktyce wyduszania ostatniego grosza z rolnictwa celem finansowania przemysłu, głównie przemysłu ciężkiego, głównie zbrojeń. Określona dotychczasową praktyką ideologia sowiecka łatwiej zgodzi się ze śmiercią głodową dziesięciu obywateli niż ze wzbogaceniem się jednego. Dużo mówi się o klimatycznych przyczynach sowieckich niedoborów rolniczych. Ale znacznie ważniejszy jest klimat instytucjonalny, który nie dopuszcza do intensyfikacji rolnictwa sowieckiego, do zwiększenia jego produktywności. Zachodnia Europa wyciąga 40 kwintali pszenicy z jednego hektara ziemi, ZSSR — 15. Stany Zjednoczone produkują 60 kwintali kukurydzy z ha, Sowiety — 20. Aby różnicę tę wyrównać, trzeba by wielkich zmian ideologicznych po stronie sowieckiej.

Pociechą dla obecnego kierownictwa ZSSR może być fakt, że Dżyngis Chan i Timur Len w ogóle nie uprawiali pszenicy ani kukurydzy, koncentrując się wyłącznie na produkcji wojennej. Wychodzili bowiem z założenia, że przewyższając innych w dziedzinie wojskowej, mogą wszystko, co im potrzeba, zrabować u innych.

Bohdan BRODZIŃSKI

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Lipiec 1975 roku będzie oznaczony w biografii Breżniewa czerwonym kolorem: niewielu przywódcom sowieckim udało się wywalczyć tyle zwycięstw dyplomatycznych, nie dając nic w zamian. W Związku Sowieckim lipiec przeszedł pod znakiem lotu „Sojuz-Apollo” i zamknięcia Konferencji w Sprawie Bezpieczeństwa.

Dienniki, czasopisma, radio, telewizja mówiły jedynie: „Sowiecko-amerykański uścisk dłoni w kosmosie”, odprężenie — zwrotny punkt w historii ludzkości... Z biciem serca obywatele sowieccy obserwowali start „Sojuza” — nigdy bowiem dotąd przywódcy sowieccy nie ośmielili się bezpośrednio transmitować startu pojazdów kosmicznych, bojąc się niepowodzenia. A następnie — depeche Breżniewa, Forda, dziesiątków głów państwa, działaczy społecznych z Zachodu, Wschodu, Południa i Północy, dumne oświadczenia obywateli ZSSR, wiersze Jewtuszenki. Po krótko: Triumf! Triumf, który powinien usunąć z pamięci obywateli sowieckich porażkę w kosmicznym wyścigu na księżyc. Pierwsi na księżycu byli Amerykanie, ale spotkanie Sojuza i Apolla w kosmosie było niejako świadectwem całkowitej równości dwóch rywali.

Łatwo wyliczyć co zyskali przywódcy sowieccy: efekt propagandowy, możliwość zapoznania się z przodującą techniką amerykańską. Nie można jednak zorientować się co zyskali przywódcy amerykańscy, ponieważ tylko stracili. Wiadomość, którą ze zgrzytaniem zębów musieli ujawnić sowieccy partnerzy, a która dotyczyła znacznego opóźnienia sowieckiej kosmonautyki i w ogóle techniki, nie była niczym nowym. Książka Leonida Władimirowa, która ukazała się dwa lata temu pt. „Sowiecki bluff kosmiczny”, została napisana osiem lat temu, gdy autor — sowiecki publicysta naukowy, uciekł na Zachód. L. Władimirow opowiedział o prymitywizmie sowieckiej techniki, o dążeniu przywódców sowieckich, by i w dziedzinie kosmonautyki narzucić kons-

truktorom i inżynierom swoją, partyjną, wolę, o wykorzystywaniu lotów kosmicznych dla celów propagandy, nawet za cenę ofiar w ludziach. Dzisiaj, dziennikarze zachodni, z pewnym złośliwym podkreśleniem w swych odświętnych raportach jedną cechę odróżniającą Sojuz od Apolla: w sowieckim statku kosmicznym pilot nie może powziąć ani jednej samodzielnej decyzji — kierowanie statkiem odbywa się z ziemi; natomiast piloci amerykańscy kierują sami. Dziennikarze zachodni tę osobliwość Sojuza zaznaczyli, ale jej nie interpretowali, uważając widocznie, że taki jest los ludzi sowieckich, że nawet w kosmosie podlegają kontroli i nadzorowi.

Upojeni zwycięstwem liderzy sowieccy zdecydowali wynagrodzić i szarego człowieka. Po pierwsze dano mu widowisko. Choć start Sojuza trwał sekundy, telewizja przekazywała ten wielkopomny moment w ciągu czterech godzin. Ale, jak wiadomo, widowisko to jeszcze nie wszystko. Rzucono na rynek perfumy pod elegancką nazwą „EPAS” — co oznacza „Eksperymentalny Polot Apollo-Sojuz”. Perfumy zostały wyprodukowane przez amerykańską firmę Revlon i weszły do sprzedaży jednocześnie w ZSSR i w USA. Jak przyjaźń, to przyjaźń. W USA flakon kosztuje 10 dolarów, w Moskwie w przeliczniku — dol. 50,75 (widocznie w tej samej proporcji należy oceniać wartość statków kosmicznych sowieckich i amerykańskich). Perfumy te sprzedaje się wszędzie i nawet zwykły sowiecki robotnik może kupić za miesięczną pensję dwa flakony tych perfum. Ale sowieccy przywódcy nie ograniczyli się jedynie do perfum. W sprzedaży pojawiły się kosmiczne papierosy, wyprodukowane przez sowiecką fabrykę papierosów jednocześnie z firmą Philipp Morris. I w związku z tym natychmiast powstała anegdota lepiej od obszernych wywodów świadcząca o poglądach ludności Związku Sowieckiego. W sławnym okresie stalinowskim papierosom dawano nazwy obozów koncentracyjnych — stalinowskich „budów”. Dlatego też była wówczas popularną anegdotą: Kupujący prosi w sklepie — dajcie mi papierosy tam, gdzie byłem. Odpowiadają mu — tych gdzie pan był nie ma, są tylko te gdzie pan będzie. Znaczyło to, że nie ma papierosów „Białomor-kanal”, a są papierosy „Wołga-Don”. Anegdoty powstają w Związku Sowieckim cyklami: były dowcipy „Radio Erywań”, leninowskie. Obecnie wszystkie anegdoty są związane z nazwiskiem Wasilija Iwanowicza Czapajewa, bohatera wojny domowej i filmu, symbolu sowieckiego przywódcy — głupiego, niewykształconego, okrutnego. Po ukazaniu się nowych papierosów opowiadają, że do Czapajewa przychodzi jego ordynans Pietka i melduje: Wasilij Iwanowicz przywieźli Philippa Morrisa. Czapajew odpowiada: — Philippa aresztować, Morrisa rozstrzelać.

Można by powiedzieć, że zmienia się opakowanie, a zawartość pozostaje ta sama. I mimo „sukcesów w dziedzinie kosmonautyki” obywatele sowieccy zaczynają to rozumieć.

Sukcesy osiągnięte w „dziedzinie dyplomatycznej” są zapewne dziś bardziej ważne niż nawet kosmos. Zgromadziwszy w Helsin-

kach dziesiątki głów państw i rządów, którzy podpisali końcowy dokument Konferencji w Sprawie Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, Breżniew osiągnął to, o czym nawet Stalin marzył nie mógł: Zachód uznał oficjalnie i prawnie hegemonię ZSSR w Europie. Aleksander Sołżenicyn określił podpisanie tego dokumentu przez prezydenta USA „zdradą wobec Europy Wschodniej”, „pogodzeniem się na zawsze ze zniewoleniem Europy Wschodniej”.

W sowieckiej prasie wyjaśnienie przyczyn sukcesów polityki Breżniewa jest jednoznaczne: nacisk sił postępowych. Prasa zachodnia nie może uzasadnić zgody Europy na Konferencję — sama bowiem nie rozumie dlaczego wszyscy pojechali do Helsinek. Jest wątpliwe czy wyjaśnienie w rodzaju, że na Konferencję pojechano by dogodzić Breżniewowi, gdyż bez tej Konferencji biedak by przepadł, a na jego miejsce przyszedłby Ktoś Straszny, nie przekonywuje samych autorów. Nie wytrzymują żadnej krytyki stwierdzenia, że Zachód coś uzyskał od Związku Sowieckiego. Z opublikowanego tekstu końcowego dokumentu jasno wynika, że Związek Sowiecki nie ustąpił ani na jotę. Tym bardziej, że w uwagach wstępnych mówi się o tym, że dokument nie posiada żadnej mocy prawnej i nie przewiduje żadnych sankcji w razie naruszenia zawartych w nim wytycznych. W ten sposób traci jakiegokolwiek znaczenie wspomnienie o jakichkolwiek bądź prawach człowieka. I tak na przykład 22 lipca, kiedy data podpisania końcowego dokumentu Konferencji była już ustalona, Andriej Amalrik, który właśnie wrócił z łagru kołymskiego, gdzie odbywał karę za napisanie książki „Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984-go?”, zwrócił się do dziennikarzy zagranicznych z prośbą o przekazanie jego oświadczenia: Władze sowieckie zabraniają mu przebywać w Moskwie, gdzie mieszka jego żona. Wysiedlają go do okręgu riazkańskiego, gdzie miał swój dom. Niedawno nieznanymi sprawcami zniszczyli ten dom. Amalrik zwracając się z prośbą o pomoc nazywa postępowanie przywódców sowieckich, podpisujących deklarację w Helsinkach, obłudą — jest tam bowiem paragraf o uznaniu zasady jednoczenia rodzin, których członkowie mieszkają w różnych krajach, a jednocześnie „w Związku Sowieckim zabrania się mężowi mieszkac razem z żoną”.

Zahipnotyzowani, jak królik przez węża boa, szefowie państw europejskich zjawili się w Helsinkach i złożyli swe podpisy pod tym haniebnym dokumentem.

Niedawno udało mi się przeczytać niezwykłą książkę, która ukazała się w Moskwie, pt. „Sowiecki savoir vivre”. Wśród mnóstwa niezastąpionych rad, z którymi by warto się zapoznać, i subtelnych obserwacji, znalazłem myśl dotyczącą bezpośrednio Konferencji w Helsinkach. Autorzy „Sowieckiego etykieta” stwierdzają: „Z wizytą chodzi się dobrowolnie”. I to jest przeważnie prawda.

W każdym razie do Helsinek trzy dziesiątki leaderów europejskich pojechały dobrowolnie. Nikt ich siłą nie zmuszał, jak prezydenta Hachę w 1938 roku, do podpisywania dokumentów.

Dawno już zdemaskowano kult jednostki, dawno już uzasadniono, że jednostka jest niczym, a masy — wszystkim. I oto okazuje się, że jednostka, człowiek nie mający za sobą żadnej siły militarnej, potrafił zepsuć święto Breżniewowi. W dniu kosmicznego „uścisku dłoni” Aleksander Sołżenicyn wystąpił na bankiecie, wydanym dla niego przez amerykańskie Związki Zawodowe, i w ciągu 100-tu minut mówił Amerykanom prawdę w oczy. Można sądzić i można mieć nadzieję, że skutki tego wystąpienia Sołżenicyna jeszcze dadzą o sobie znać. W każdym razie 26 lipca prezydent Ford, w wywiadzie dla *New York Times*, przyznał, że popełnił błąd nie zapraszając Sołżenicyna do Białego Domu. Ta niezwykła samokrytyka jest dowodem wrażenia, jakie wywarło na Amerykanach wystąpienie autora „Archipelagu Gułag”.

Aleksander Sołżenicyn nie odkrył — jeśli by tak można powiedzieć — Ameryki. Powtarzał tylko to, co mówiły przed nim przez dziesiątki lat setki i tysiące ludzi. Ale być może po raz pierwszy zaczynają przysłuchiwać się tym słowom. Sołżenicyn zaczął od „małego przeglądu historycznego”. Chce wam przypomnieć — zwrócił się do słuchaczy — z jakim ustrojem macie do czynienia. Jest to ustrój „który doszedł do władzy drogą zbrojnego przewrotu, rozpędził konstytuantę, skapitulował przed Niemcami — wówczas wspólnym przeciwnikiem — wprowadził CZEKA, represje bez żadnego sądu, zduszał strajki robotnicze, grabił wieś, — aż do chłopskich powstań, a gdy chłopci się buntowali — krwawo je dławił, rozgromił Kościół...”. Taki był początek tego ustroju. Potem „wprowadza on pierwsze na świecie obozy koncentracyjne, to był pierwszy ustrój, który w XX wieku wprowadził instytucję zakładników. To był system, który zniszczył wszystkie pozostałe partie... To był ustrój, który dokonał ludobójstwa chłopstwa: 15 milionów włościan zesłano na wyniszczenie. To był ustrój, który wprowadził pańszczyźniane prawo — system paszportowy, to był ustrój, który w czasie pokoju spowodował na Ukrainie sztuczny głód. 6 milionów ludzi zmarło na Ukrainie z głodu, na samym krańcu Europy w 1932-33 roku...”.

I oto z takim ustrojem — kontynuował Sołżenicyn — zachodni kapitaliści zawarli porozumienie... „Od 50-ciu lat obserwujemy nieustanną, trwałą pomoc ze strony biznesmenów zachodnich, którzy pomagają sowieckim wodzom komunistycznym w ich nie-ruchawej i niedorzecznej polityce gospodarczej, z którą nigdy nie mogliby dać sobie rady, gdyby nie otrzymywali stałej pomocy materialnej i technicznej. I jeśli dzisiaj Związek Sowiecki posiada potężne siły militarne i policyjne w kraju, który według współczesnych norm jest nędzarzem — to siły te posiada w celu tłumienia naszego ruchu wolnościowego w Związku Sowieckim. Za to także winniśmy wdzięczność zachodniemu kapitałowi”. Jest to — mówił Sołżenicyn — „coś zupełnie niezrozumiałego dla

umysłu ludzkiego: ta spalająca żądza zarobku, która traci wszelkie granice rozsądku, sumienia — aby tylko zarobić pieniądze...”.

Zachód nie ograniczył się tylko do pomocy ekonomicznej. Sołżenicyn przypomina jak „Zachód nieograniczenie pomagał, a następnie nieograniczenie ustępował. Już w Jałcie — bez żadnej potrzeby — milcząco uznano okupację Mongolii, Mołdawii, Estonii, Łotwy i Litwy. W ślad za tym prawie nic nie zrobiono dla obrony Europy Wschodniej i oddano jeszcze 7-8 krajów Europy Wschodniej...”. Lata po zakończeniu drugiej wojny światowej określa Sołżenicyn jako „lata stałych ustępstw i oddawania kraju za krajem”. Przestrzega słuchaczy — to niezmiernie niebezpieczne odczuwać rzeczywistość, kiedy zaczyna wkradać się takie uczucie: „no, więc oddajcie”. Już dziś słyszymy głosy na Zachodzie i w waszym kraju: „Oddajcie Koreę i będziemy żyć spokojnie. Oddajcie ma się rozumieć i Portugalie. Oddajcie Japonię. Oddajcie Izrael. Oddajcie Formozę, Filipiny, Tailand, Malaje. Oddajcie jeszcze z 10 krajów afrykańskich — dajcie nam tylko możliwość spokojnego życia. Dajcie nam możliwość jeżdżenia naszymi wielkimi samochodami po naszych wspaniałych autostradach. Dajcie nam możliwość grać spokojnie w tenisa i w golfa. Dajcie nam spokojnie przygotowywać koktajle, tak jak do tego jesteśmy przyzwyczajeni”.

Sołżenicyn zakończył swoje wystąpienie wnioskiem: Dziś na świecie występują dwa najważniejsze zjawiska: pierwsze... to seria krótkowzrocznych ustępstw, to myśl — oddawać, oddawać, oddawać, a być może kiedyś wilk się nasyci. Drugi proces — który uważam za kluczowy, i przepowiadam, że właśnie on przyniesie nam wszystkim lepszą przyszłość — to fakt, że pod żelazną skorupą komunizmu już od dwudziestu lat w Związku Sowieckim, a w innych krajach komunistycznych nieco krócej, następuje uwalnianie się duszy ludzkiej, dorastają nowe pokolenia niezachwiane w walce ze złem, które nie idą na kompromis, które wolą wszystko stracić — zarobek, każde warunki egzystencji, samo życie — byle tylko nie poświęcić sumienia i nie wejść w konszachty ze złem... Jeśli potrafimy chociażby zahamować, jeśli nie zatrzymać, tego procesu ustępstw i dać możliwość kontynuowania procesu uwalniania się w krajach komunistycznych, to koniec końców zapewni to nam naszą przyszłość...”.

Sołżenicyn wie dobrze co mu będą zarzucać (co już mu zarzucają). Zapytuje — „Czy odprężenie jest potrzebne, czy nie?” — i odpowiada: „Nie tylko jest potrzebne. Jest potrzebne jak powietrze. To jedyny ratunek dla świata. Ale odprężenie tylko wtedy będzie prawdziwym odprężeniem jeżeli zostaną spełnione trzy warunki. Sołżenicyn wylicza je: rozbrojenie nie tylko militarne, ale i aparatu przemocy — zlikwidowanie zarówno aparatu wojennego, jak i przemocy. To jest nie tylko tej broni, którą się niszczy sąsiadów, ale i tej, którą dławi się rodaków; aby odprężenie było oparte nie „na uśmiechach”, nie na słownych ustępstwach, ale na „kamieniu”, to jest by „druga strona, która decyduje się na odprężenie, miała nad sobą kontrolę: kontrolę

społeczną, kontrolę prasy, kontrolę wolnego parlamentu"; trzeci warunek, zdaniem Sołżenicyna — zwykły warunek: „Jakież to odprężenie, jeśli prowadzi się nienawistną propagandę, którą w Związku Sowieckim nazywa się dumnie wojną ideologiczną? Och nie — jak odprężenie, to odprężenie, jak się przyjaźnić, to się przyjaźnić i trzeba skończyć z wojną ideologiczną”.

Prawie wszystko, co mówił Sołżenicyn, było Amerykanom znane. Ale po raz pierwszy z taką siłą, z takim przekonaniem o moralnym prawie mówienia prawdy w oczy, rozległ się głos „stamtąd”, głos mówiący w imieniu milionów zmarłych i setek milionów zniewolonych.

Można by powiedzieć: — znowu proroctwa Kassandry. Lecz dziś wydarzenia następują z tak zawrotną szybkością, że proroctwa realizują się wcześniej, nim zdąży się o nich zapomnieć. Nie zdążył Sołżenicyn zarzucić Zachodowi, że już oddał Portugalii, jak dr Kissinger, który zrobił wszystko by nie dopuścić autora „Archipelagu GUŁag” do Białego Domu, zwrócił się do Związku Sowieckiego z ostrzeżeniem: nie podtrzymywać portugalskich komunistów. Sołżenicyn nie zdążył jeszcze wyłożyć historii pomocy gospodarczej Zachodu dla Związku Sowieckiego, jak stało się wiadome, że USA sprzedały około 10 milionów ton zboża ZSSR, który w tym roku zamierza zakupić 20 milionów ton (warto przypomnieć, że wiosną Breżniew przechwalał się niebywalem urodzajem, który zamierzał zebrać tego lata).

Być może takie błyskawiczne potwierdzenie słuszności słów Sołżenicyna przyda im dodatkowej siły. Przestaną rozpatrywać je jako proroctwa, a zobaczą w nich potwierdzenie faktów.



Sołżenicyn określił ustrój sowiecki jako całkowicie zamknięty. „Jest on tak zamknięty, że tutaj (tj. na Zachodzie) prawie go nie można zrozumieć. I właśnie najbardziej uczeni teoretycy piszą prace naukowe, starają się zrozumieć i wyjaśnić to, co dzieje się u nas, i oto kilka takich naukowych wyjaśnień, które dla nas, ludzi sowieckich, są po prostu śmieszne”. Jako przykład Sołżenicyn cytuje trzy interpretacje: „Mówią zatem, że sowieccy przywódcy zrezygnowali obecnie ze swojej ideologii antyludzkiej. Bynajmniej. Bynajmniej z niej nie zrezygnowali. Albo mówią, że na Kremlu są „lewi” i „prawi” i że tam odbywa się walka, a my powinniśmy się zachowywać tak, aby nie utrudniać „lewym”. To wszystko fantazja — lewi, prawi, Jakaś tam walka o władzę istnieje — jednak w sprawach zasadniczych oni są zgodni. Albo jest jeszcze taka teoria, że obecnie — dzięki rozwojowi techniki w Związku Sowieckim — wzrasta technokracja, rozwija się inżynieria, gdyż obecnie inżynierowie kierują gospodarką i już niebawem oni właśnie będą decydować, a nie partia. Powiem wam, że inżynierowie w tym samym stopniu będą wpływać na nasze losy, jak nasi generałowie na losy armii, to jest — zero. Wszyscy będą robić tylko to, co każe partia”.

Sołżenicyn nazwał te wyjaśnienia „śmiesznymi” dla ludzi sowieckich. Ale nie na długo przed wystąpieniem Sołżenicyna tak samo określił charakter sowieckiej władzy człowiek jak najbardziej sowiecki — Roy Miedwiediew. W wywiadzie, ogłoszonym w londyńskim *Observer* z 15 czerwca br., autor monografii o stalinizmie pt. „Pod sądem historii”, przedstawił swój program polityczny oraz swoją ocenę ruchu „dysydentów” w Związku Sowieckim. Wywiad zatytułowano: „Jak kierowałbym Związkiem Sowieckim”. Zanim powiedział, jak to on by nim kierował, Roy Miedwiediew ocenił jak kierowałby nim najbardziej znani mu współcześni. O Andrieju Sacharowie: „Mam wrażenie, że nie ma on konkretnej koncepcji ideologicznej... działa pod wpływem moralnych i emocjonalnych impulsów. Jego poglądy mają przede wszystkim charakter negatywny. Wie doskonale czego nie chce. Gdyby Sacharow został głową państwa — nie wiedziałby co robić”. O Sołżenicynie: „Jeśli Sołżenicyn z jego religijnymi koncepcjami zostałby głową państwa, to byłoby to straszne”.

— A jeśli by pan został głową państwa? — zapytano Roya Miedwiediewa. — Ja bym — w każdym razie — wiedział co robić przez najbliższe pięć lat.

Co by się składało na „miedwiediewowską piatiletkę”? — Roy Miedwiediew uprzedza: Wszystkie środki, które bym przedsięwziął miałyby na celu „zabezpieczenie ustroju socjalistycznego i własności społecznej”. Przede wszystkim znalazłby nowych ludzi dla zrealizowania najważniejszych zadań: „Jest wielu utalentowanych, rozumnych i trzeźwo myślących marksistów, którzy znakomicie daliby sobie radę z kierowaniem licznymi aspektami społecznego i politycznego życia. Jest wielu zdolnych ludzi, którzy lepiej kierowałiby gospodarką rolną”. Ale najważniejsze: „Są ludzie, którzy doskonale rozbudowaliby propagandę”.

Oprócz przyciągnięcia nowych ludzi — „rozumnych marksistów” Roy Miedwiediew zapewniłby wolność słowa — na przykład pozwoliłby na istnienie prywatnych wydawnictw, na równi z wielkimi, partyjnymi — wolność stowarzyszeń, w tym i organizacji politycznych, dopuściłby tzw. inicjatywę prywatną w dziedzinie usług. „Jest niezbędne — dodał Miedwiediew — posiadanie „jednej-dwóch gazet niezależnych od polityki”. To wszystko — i to Miedwiediew specjalnie podkreśla — „w żadnej mierze nie będzie zagrażać partii komunistycznej... To uczyni partię zdrowszą i ożywi ją”.

Program Roya Miedwiediewa (nikt dotąd nie wyłożył swoich poglądów tak jasno i precyzyjnie) ma na celu tylko jedną rzecz: chce żeby kompartia była silniejsza a jej działalność efektywniejsza. Swoją rolę Roy Miedwiediew porównuje do roli Lutra i Kalwina, dążących „do odnowienia prawdziwej religii, tak jak oni ją pojmowali”. Roy Miedwiediew podkreśla, że w sowieckich bibliotekach specjalistycznych zawsze można dziś znaleźć książki Sołżenicyna, Maksimowa i pismo *Kontynent* — ale w żadnej bibliotece nie ma jego „Pod sądem historii”: nie pozwalają jej czytać funkcjonariuszom partyjnym, gdyż napisana jest językiem

marksistowskim, którym oni sami mówią i w którym wyrosli". Roy Miedwiediew konkluduje: „Moim zdaniem sytuacja w Związku Sowieckim może zostać zmieniona przez marksistów typu nie dogmatycznego, zdolnych do stworzenia nowego oblicza socjalizmu. Nasze współczesne społeczeństwo lepiej ich zrozumie, niż na przykład ludzi religijnych, takich jak Sołżenicyn czy Maksimow”.

Od Sołżenicyna i Maksimowa Roy Miedwiediew nie oczekuje niczego dobrego. Natomiast niektórzy współcześni sowieccy liderzy wydają mu się ludźmi pod każdym względem wartościowymi. „Niektórzy przypuszczają — powiedział Miedwiediew — że po zjeździe partii, w przyszłym roku, będą miały miejsce duże zmiany w strukturze kierownictwa. Trudno tego rodzaju sprawy przewidzieć, ale myślę...”. I Roy Miedwiediew wyklada swoją prognozę na przyszłość: „Bieżniew i Kosygin pozostaną u władzy. Ludzie z ich otoczenia będą zastąpieni przedstawicielami bardziej młodego pokolenia i innego charakteru. Inteligentni i młodzi nie będą mieli tych kompleksów, które nękały ich poprzedników”. Kto to są ci „inteligentni i młodzi”? Roy Miedwiediew wymienia dwóch: „Myślę, że tacy ludzie, jak Katuszew (sekretarz KC) mogą zrozumieć problemy inteligencji lepiej, niż Susłow. Może nawet Andropow (przewodniczący KGB) rozumie lepiej problemy inteligencji niż Susłow i Kirilenko”. Zresztą R. Miedwiediew twierdzi, że „sam Bieżniew jest w chwili obecnej najlepszym z możliwych przywódców”.

Myślę, że nie ma potrzeby komentowania tego programu usprawniania działalności partii komunistycznej. Najlepszym komentarem są słowa obecnego przy wywiadzie fizyka, Walentyna Turczyńska, przewodniczącego sowieckiej sekcji Amnesty International: „Nikt na Zachodzie nie wyobraża sobie do jakiego stopnia nasza sytuacja przypomina sytuację opisaną przez Orwella w 1984. ... Reżym dąży do zniszczenia wszystkich, którzy są zdolni do samodzielnego myślenia. Partia takich ludzi nie potrzebuje. Nasz system jest straszny dla wszystkich, którzy mają trochę rozsądku”. W jaki sposób można zreformować tego rodzaju ustrój prostą zamianą kilku ludzi — pozostaje tajemnicą Roya Miedwiediewa, marzącego nie tylko o laurach Lutra i Kalwina, ale głównie o laurach Franklina Roosevelta — zbawcy kapitalizmu.

W kilka dni po wywiadzie Miedwiediewa, z którego czytelnicy *Observer'a* dowiedzieli się, że Andropow lepiej od innych rozumie problemy inteligencji, został opublikowany list otwarty pisarza sowieckiego, Władimira Wojnowicza, do Andropowa. W liście tym pisarz opowiada jak wzywano go do KGB, jak rozmawiali z nim niektórzy pracownicy tej instytucji, jak robili mu zarzuty z powodu publikacji jego utworów za granicą, proponowali powrót na łono sowieckiej literatury. A następnie jeden z tych pracowników „w zamyśleniu, a nawet ze smutkiem powiedział, że

życie ludzkie jest rzeczą bardzo urywkową, a potem nagle dodał, że mógłby mnie jeszcze zrozumieć, gdybym miał siedemdziesiąt lat. W siedemdziesiątym roku życia jest ono praktycznie zakończone, ale kończyć je nie osiągnąwszy 43 lat... tu ze zdumieniem rozłożył ręce...”.

Zaszczytu zaproszenia do KGB i wysłuchiwanie filozoficznych rozważań o nietrwałości życia ludzkiego (z wymienianiem przykładów, gdy życie urywa się od kuli pijanego szofera, których w Moskwie jest bez liku) — Władimir Wojnowicz dostąpił dzięki opublikowaniu za granicą świetnej powieści satyrycznej „Życie i niebываłe przygody żołnierza Iwana Czonkina”. Jest to historia prostego rosyjskiego chłopca, Iwanuszki Duraczka, który dostał się w tryby strasznego mechanizmu sowieckiej władzy. Jeden z rozmówców w KGB zapewnił autora powieści, że „Czonkina można byłoby opublikować w Związku Sowieckim, gdyby pisarz wykreślił tylko jedno słowo „puks”. Tym, którzy jeszcze nie czytali tej książki wyjaśniam — PUKS to znaczy „put’ k socjalizmu” (droga do socjalizmu) — jest nazwą cudownego owocu, który jest w połowie kartoflem, a w połowie pomidorem, wyprodukowanym przez wiejskiego selekcjonera „pod wpływem postępowej nauki Miczurina i Łysenki”. Można jednak wątpić, czy usunięcie „puksu” uspokoiłoby sowiecką cenzurę. Sprawa zasadnicza, która nie mogła nie obrazić Andropowa, polega na tym, że Wojnowicz pozwolił sobie przedstawić pracowników NKWD — protoplasty i wychowawcy KGB. I to przedstawić jak najbardziej realistycznie i prawdziwie. Tak na przykład, na skutek pomyłki, naczelnik rejonowego NKWD, kpt. Milaga, dostał się do niewoli żołnierzy sowieckich, którzy go wzięli za Niemca. On zaś wziął żołnierzy sowieckich za Niemców. Ponieważ ani przepytujący Milagę porucznik, ani sam Milaga nie znali niemieckiego, przesłuchanie odbywało się w języku, który obaj uważali za niemiecki.

— „Namen? — niecierpliwie powtarzał podporucznik, nie będąc pewnym, czy wymawia to słowo prawidłowo. — Du namen? Sie namen? ... Ich bin kapitan Milaga... Ich bin ist arbeiten... Zastanowił się jak nazwać swoją instytucję i nagle znalazł nieoczekiwany odpowiednik: Ich bin arbeiten in russisch Gestapo. — Gestapo? — zachmurzył się porucznik — zrozumiałwszy słowo przesłuchiwanego po swojemu. — Du kommunisten strelit', pif, paf? — Ja, ja, — chętnie przytaknął kapitan. — Und kommunisten, und bezpartijnen — wsiech razstrielit' — pif, paf — demonstrowując strzelanie z rewolweru, kapitan machał prawą ręką”.

Dobrze wiadomo, że kapitan Milaga mówił całą prawdę. No, ale widocznie prawda ta nie spodobała się znawcy problemów inteligencji, Andropowowi, który do tego obraził się za innego znawcę tych problemów, za przełożonego kapitana Milagi — Ławrientija Berię.

Zresztą jest prawdopodobne, że Andropow nic nie wie o działalności swoich pracowników i swojej instytucji. Bieżniew, na

przykład, przysięgał Brandtowi, że on, sekretarz KC, nic nie wie o Guillaume — szpiegu działającym przy Brandtcie.

Adam KRUCZEK

Kronika słowacka

W ramach Federacyjnej Republiki Czechosłowackiej, sytuacja przedstawia się najgorzej na obszarze Słowacji (na terenie Czech i Moraw katolicy są w mniejszości, w Słowacji stanowią niemal 90 %). Niezależnie od supremacji liczbowej, katolicyzm w Słowacji jest bardziej żywotny niż w Czechach, stanowiąc czynnik społeczny i narodowy o tradycyjnej przężności; opór jest więc tam silniejszy, a przez to i represja bardziej bezwzględna. Nominacje duchownych i cała działalność duszpasterska są poddane ustawom państwowym i ścisłej kontroli urzędów d/s kościelnych, podlegających ministerstwu kultury i wydziałom kultury w powiatowych i regionalnych radach narodowych. Na 7 diecezji tylko w dwóch są biskupi-ordynariusze, w pozostałych jedynie administratorzy apostolscy lub wikariusze kapitulni. Ponad 100 księży jest pozbawionych autoryzacji do spełniania funkcji kapłańskich; w seminariach duchownych istnieje *numerus clausus*; zgromadzenia zakonne męskie są prawnie nieuznawane: są rozproszone i nie mogą przyjmować kleryków do nowicjatu; zakonnice mogą pracować jedynie w wyjątkowych przypadkach w domach dla starców i upośledzonych fizycznie i psychicznie — nie wolno im mieszkać we wspólnotach. Zakony są więc skazane na powolne wymarcie. Wielu kapłanów i zakonników przebywa w ośrodkach pracy przymusowej. Nauczanie religii poddawane jest restrykcjom prawnym i normom administracyjnym dowolnie manipulowanym przez instancje państwowe, a rodzice posyłający dzieci na lekcje religii padają nagminnie ofiarą zastraszania i dyskryminacji w zakładach, w jakich pracują.

KAPLAŃSKA PRZYBUDÓWKA PARTII KOMUNISTYCZNEJ

Do rozkładania Kościoła od wewnątrz, prowokowania waśni i nieufności pomiędzy hierarchią, księżmi i wiernymi, służy wiele środków. Żaden z nich nie okazał się jednak tak przewrotny i skuteczny jak „ruch księży dla pokoju”, który po zdławieniu eksperymentu Dubczeka w 1968 roku zmienił nazwę na stowarzyszenie „Pacem in terris”. Już w samej tej nazwie tkwi cała przewrotność komunistyczna: nadano temu stowarzyszeniu nazwę słynnej encykliki Jana XXIII (wszystkie reżimy komunistyczne, włącznie z polskim, „kochają” tego papieża po jego śmierci). Do stowarzyszenia „Pacem in terris”, nazwanego przez biskupa słowackiego Hnilica, „koniem trojańskim” należy sporo duchownych, a nawet niektórzy biskupi (jeden z nich bp Vrana był nawet jego prezesem — wycofał się wprawdzie z prezesury pod naciskiem Watykanu po nominacji biskupiej, ale pozostał nadal aktywnym członkiem tej organizacji). Jest to zbiorowisko ludzi chwiejnych, najczęściej zastraszonych, oportunistów, ludzi o złamanym kręgosłupie moralnym lub szantażowanych. Jest to po prostu kapłańska przybudówka partii

komunistycznej. W lutym bież. roku, w wigilię wizyty w Pradze mons. Casaroli z Watykanu, minister kultury Kłusak wygłosił na zjeździe tego stowarzyszenia przemówienie, w którym przestrzegł Watykan: „Nie będziemy tolerować dyskryminacji wobec szczerych kapłanów, wchodzących w skład waszego stowarzyszenia, a zamiast tego preferowania tych, którzy nie potrafią odnieść się pozytywnie do naszego ustroju socjalistycznego i mu szkodzą... Nie będziemy negocjować na temat naszych spraw wewnętrznych. Podstawy naszej polityki kościelnej pozostaną niezmienione także w przyszłości”. Czy można jaśniej? Nie brak jednak głosów wyłamujących się z tego frontu oportunistów i bojaźni. W październiku 1974 roku w Koszycach, na zebraniu słowackiego oddziału stowarzyszenia „Pacem in terris”, wystąpił ks. Alojz Tkac. Chociaż w słowach wyważonych, duchowny ten zwrócił się do kapłanów w obecności sekretarza rejonowego d/s kościelnych. Potrzeba więc było wielkiej odwagi by stwierdzić m.in.:

„... Żyjemy w państwie socjalistycznym, w którym prawa wiary są zagwarantowane przez ustawy. Pamiętajcie więc o tych ustawach dotyczących życia religijnego, odnoszących się do wiernych i do nas samych! Nasza Republika podpisała Powszechną Deklarację Praw Człowieka, która chroni wolność religii i sumienia... Gwarantuje je również nasza Konstytucja... Przewodniczący Frontu Narodowego, dr Gustaw Husak (sekretarz gen. partii komunistycznej) stwierdził: 'swobodne wyznawanie religii stanowi jedno z praw konstytucyjnych naszego społeczeństwa. My, komuniści, szanujemy uczucia religijne obywateli'... Paragraf 236 kodeksu karnego brzmi: 'Ktokolwiek przez przemoc czy groźbę użycia przemocy, uniemożliwia innym uczestnictwo w kulcie religijnym czy w inny sposób przeszkadza w korzystaniu z wolności wyznania, będzie karany więzieniem od roku do pięciu lat'... Nie możemy więc cierpieć na kompleks nieużyteczności, tak jakby nasza wiara i przekonania religijne były zaledwie tolerowane. Winniśmy natomiast kultywować w naszych sercach świadomość obywatela wierzącego, będącego częścią integralną i konstruktywną społeczeństwa socjalistycznego... A więc precz z defetyzmem!... Dyrektywy wydane przez ministra kultury republiki słowackiej gwarantują nauczanie religii, organizowane przez Kościoł i zakony. Dyrektywy te, szczególnie odnośnie zgłaszania dzieci na wykłady religii, są gwałcone. Powołano do życia specjalne zespoły, mające za zadanie nie tylko odwozić, lecz i terroryzować rodziców by nie zapisywali dzieci na nauczanie religii... Pod różnymi pretekstami odmawia się rodzicom składania podań, grozi się im w następujący sposób: 'Nie chcecie by wasze dziecko było przyjęte do wyższej szkoły? Chcecie zaszkodzić przyszłości waszego dziecka?'... Metody pewnych nauczycieli są brutalne, aroganckie (niektórzy drą podania lub rzucają je do kosza), sprzeczne z prawem, upokarzające głęboko godność obywatela wierzącego. Dzieci uczęszczające na naukę religii są często wykluczane z kółek i imprez społecznych, nie dopuszcza się ich do organizacji pionierów, chyba pod warunkiem uprzedniego wycofania zapisania się na naukę religii. Wszystko to prowokuje u dzieci neurozę. Kampanie przeciw nauce religii trwają przez rok szkolny. W ten sposób co roku rodzice wraz z dziećmi przechodzą kalwarię. To są męczennicy. Jak to pogodzić z deklaracjami i dyrektywami o jakich mówiłem? Nawet gdyby fakty tego rodzaju były nieliczne i oderwane, nie moglibyśmy milczeć. Niestety fakty te są nagminne. Jest rzeczą znaną, że liczba dzieci zapisywanych na lekcje religii jest niska. Czy należy stąd wnosić, że rodzice przestali wierzyć i stali się ateistami? Na pewno nie. Jest to tylko efekt naturalnego strachu człowieka myślącego

o swej przyszłości. Zniechęca się obywatele wierzących do spełniania obowiązków religijnych, do przystępowania do sakramentów, od ostatniej posługi ciężko chorym w szpitalach, co kapłani mogą czynić jedynie potajemnie. Panuje klimat lęku i udręczenia. Wiele osób cierpi okropnie na skutek tej presji psychicznej. Coraz częściej zdarzają się wypadki chorób nerwowych. Wejście w położenie wiernych!... Powinniśmy dzielić ich utrapienia i bronić ich — oczekują oni tego od nas — swoich przewodników duchowych. Na skutek powszechnych, fałszywych oskarżeń, kapłanom cofa się pozwolenie na sprawowanie funkcji duszpasterskich. Nie rozwiązano dotąd sprawy naszego konfratry, ks. Urbanec'a, od 2 lat pracującego jako szofer w kołchozie mimo, że autoryzacja państwowa nie została mu oficjalnie odebrana. Honor innego dzielnego kapłana, znajdującego się na progu emerytury, ucierpiał na skutek pociągnięcia go do odpowiedzialności sądowej z fałszywego oskarżenia o haniebne przestępstwo. Mimo że jego niewinność została udowodniona w dwóch instancjach sądowych, nie został publicznie zrehabilitowany, zakazano mu wejścia do kościoła, odprawiania nabożeństwa, zmuszając go do opuszczenia swej parafii. Jest to obrzydliwe plunięcie w twarz całemu duchowieństwu. Czy to nas nie dotyczy? Nie zależy nam na reputacji stanu kapłańskiego? To byłoby wręcz tragiczne! Od 4 miesięcy, 15 nowych kapłanów oczekuje niecierpliwie na dekret nominacji. Inni obywatele, kończący wyższe uczelnie, natychmiast otrzymują przydział pracy. Wiele parafii jest wciąż nieobsadzonych. Niektóre świątynie zamienione mają być wkrótce na stacje straży pożarnej i magazyny, pomimo zdecydowanej opozycji obywateli. Budynki te wzniesiono dzięki składkom pieniężnym dzielnych, skromnych ludzi, zatrudnionych w gospodarstwach kolektywnych lub w fabrykach... Nie ma mowy o zezwoleniach na budowę nowych świątyń... Istnieje wiele innych bolączek, wolałbym by inni wypowiedzieli się na ich temat".

D. M.

NOWA WSCHODZĄCA GWIAZDA REŻYMU?

W końcu czerwca bież. roku zebrało się dość niespodziewanie plenum KC partii słowackiej. W pierwszym punkcie porządku dziennego była mowa o sprawach gospodarczych. Ważniejszą sprawą było jednak dokooptowanie do składu KC, z jednoczesnym wyborem do prezydium, Williama Szalgovicia.

Szalgovicz sprawował dotychczas stosunkowo skromną acz niewątpliwie niezmiernie wpływową funkcję przewodniczącego komisji kontroli partyjnej na Słowacji. Życiorys jego zawiera wiele dość ciekawych szczegółów, jak również wiele punktów nie wyjaśnionych czy też luk. Urodzony w roku 1919 rozpoczął karierę jako zecer. W roku 1943 jako żołnierz armii słowackiej znalazł się na froncie wschodnim, gdzie zdezerterował i przyłączył się do partyzantki sowieckiej. Następnie spotykamy go w czechosłowackim korpusie Svobody na stanowisku oficera politycznego batalionu. Wtedy (oficjalnie przynajmniej) był jeszcze bezpartyjny, bo do partii wstąpił dopiero w roku 1945. W armii pozostał Szalgovicz do roku 1951. W latach 1952-57 czynny jest w administracji rolnictwa, a był to okres szczególnie intensywnej kolektywizacji. Stamtąd przechodzi do aparatu partyjnego. Jego pierwszym oficjalnym stanowiskiem była funkcja dyrektora centralnej szkoły partyjnej w Bratysławie. Potem został kierownikiem jednego z wydziałów w słowackim KC. Od 1962 do czerwca 1968 stał na czele słowackiej komisji kontroli partyjnej, a przez krótki czas był też zastępcą przewodniczącego

czechosłowackiej komisji o tejże nazwie. W czerwcu 1968 zostaje wiceministrem spraw wewnętrznych i szefem czechosłowackiej służby bezpieczeństwa — nominacja ta najprawdopodobniej doszła do skutku jako wynik nacisku Moskwy.

Jego postawa w okresie inwazji sierpniowej sprawiła, że Szalgovicz jest jedną z najbardziej znienawidzonych postaci obozu „promoskiewskiego”. Wiadomo, że o planach inwazyjnych wiedział on co najmniej na 7 godzin przed ich urzeczywistnieniem, nie uznał jednak za stosowne podzielić się nimi z ówczesnym kierownictwem partyjnym i państwowym. Jego zdecydowane kolaborancтво spowodowało usunięcie go ze stanowiska wiceministra bezpieczeństwa. W okresie intensywnej „normalizacji” brak danych co do jego działalności. Według krążących pogłosek opuścił kraj i dopiero w roku 1970 pojawił się znów na widowni publicznej. Obejmuje stare stanowisko w słowackiej komisji kontroli partyjnej (jako przewodniczący) oraz w ogólnokrajowej komisji jako wiceprzewodniczący (przewodniczącym tej ostatniej jest znany dogmatyk Miłosz Jakesz). Na stanowisku tym musiał się wyróżnić gdyż został z podpułkownika w 1968 mianowany generałem w 1971.

W kilka dni po wprowadzeniu go na szczyty słowackiej hierarchii partyjnej Szalgovicz wybrany został przewodniczącym słowackiej rady narodowej, czyli słowackiego parlamentu.

Karol SZWEDOWICZ

Kronika litewska

Litewska prasa emigracyjna zamieszcza, wydaną w Wilnie, w czerwcu ub. roku, odezwę ruchu podziemnego, którą dopiero teraz przeemycono na Zachód. Zaczyna się ona od słów: „My bojownicy Narodowego Frontu Ludu Litewskiego (NLF) zgromadzenie Zw. Młodzieży Demokratycznej, Zw. Katolików i in.)... apelujemy do opinii światowej...”

Odezwą wydana w kilku językach (m.in. również w polskim) ma reprezentować luźne zrzeszenie tajnych organizacji istniejących od lat. Pomińmy obszerne wywody krytyki rządów i imperializmu sowieckiego, obfitujące w bardzo przekonywujące argumenty, ale na ogół znane czytelnikom *Kultury*. Dodać można, że odezwą zawiera również potępienie amerykańskiego kapitalistycznego kolonializmu w stosunku do państw Południowej Ameryki itd.

Przejdźmy do omówienia dwóch programów: minimalnego i maksymalnego. Pierwszy mówi o zastosowaniu na Litwie Deklaracji Praw Człowieka, a więc, wolności prasy, religii, demonstracji i partii politycznych, prawa emigracji i nieskrępowanych przyjazdów zza granicy. Sprawy paszportowe winny być załatwiane w Wilnie, a nie w Moskwie. NLF domaga się amnestii dla wszystkich uwięzionych i deportowanych z Litwy do Rosji i zabezpieczenia im możliwości zamieszkania i utrzymania pracy na Litwie; domaga się, aby pierwszym językiem w urzędach, włącznie z KGB, był język litewski, a nie rosyjski, oraz by ministerstwo Spraw Zagranicznych miało prawo bezpośredniego kontaktowania się z państwami ościennymi.

Program maksymalny. Wolne powszechne, demokratyczne wybory (z pominięciem załóg rosyjskich). Powstały w ten sposób rząd tymczasowy przeprowadza plebiscyt w sprawie oderwania się od Związku Sowieckiego. W plebiscycie biorą udział tylko obywatele narodowości litewskiej. Jako podstawę do załatwienia spraw granicznych, NLF sugeruje wzięcie za podstawę układu polsko-litewskiego w Suwałkach, i traktatu litewsko-sowieckiego, obu z roku 1920. Utworzenie federacji trzech państw bałtyckich, a w dalszej przyszłości

unii bałtycko-skandynawskiej, jako części składowej zjednoczonej Europy. NLF hołduje koncepcji de Gaulle'a — Europy od Lizbony do Uralu, prawa samookreślenia wszystkich narodów ZSSR, oderwania się, lub pozostania w związku, czy też w ugrupowaniach regionalnych. Mowa jest nawet o Karelii, Mołdawii i republikach syberyjskich. Potępiana jest polityka ustępstw Zachodu w stosunku do Związku Sowieckiego, zalecana w pierwszym stadium wycofanie wojsk sowieckich państw satelickich, a w dalszej przyszłości zjednoczenie Niemiec, Korei i Wietnamu, oraz ograniczenie ekspansji amerykańskiej w Europie. Odezwa kończy się potępieniem kolonializmu we wszelkich jego formach, i apelem: „Niech żyje wolność, społeczna równość, tolerancja religijna i rasowa!”.

Wszystko to bardzo pięknie, ale dlaczego w przyszłym plebiscycie Polacy wileńscy nie mieliby prawa głosowania? Czyżby zostali uznani, jako produkt niedysyjszego kolonializmu?

Ale na pociechę zacytujmy inny głos.

Kwartalnik *Metmenys*, Nr 29 z roku 1975, przynosi obszerny artykuł o wydawnictwie *Kontinent*, pióra V. Jungenasa, przybyłego na Zachód z Litwy. „Chciałbym przy tej okazji dodać, że na Litwie wrogość do Polaków, praktycznie już nie istnieje. Mało tego, nasza myśląca inteligencja, nieraz rozważa nawet wskrzeszenie, w jakiejś nowej formie, dawnej Rzeczypospolitej, widząc w tym dogodną drogę do nawiązania w ten sposób bliższych kontaktów z Zachodem”.

Litwin z Kowieńszczyzny zapytany o wrogość do Polaków, odpowiada: Polaków już nie ma, nie ma tego problemu, więc i nie ma wrogości. Natomiast w Wilnie, nieprzychylnie nastawienie do Polaków, spotyka się nawet w wypowiedziach urzędowych przewodników, towarzyszących zagranicznym wycieczkom. Nieliczni w Kownie Polacy mieszkają na przedmieściach robotniczych, wysoko położonych, gdzie łatwiejszy jest odbiór programów telewizyjnych z Warszawy, zaś w śródmieściu, mieszczącym się w kotlinie spływu Wilii do Niemna, odbiór jest utrudniony. Podobnie w Estonii najpopularniejsze są programy telewizyjne z Finlandii. A więc Estończycy, i rosyjscy kuracjusze na popularnych plażach bałtyckich, mogli oglądać dusey na konferencji w Helsinkach.

◆
Litewskie organizacje na emigracji przekazały „Amnesty International” listę 200 Litwinów więzionych w Sowietach.

◆
Na piaszczystych terenach Wileńszczyzny, obfitujących w jeziora, około Ignalina, powstał pierwszy park narodowy o obszarze 400 kilometrów kwadratowych.

E. ŻAGIELL

Kronika ukraińska

Z okazji wydania polskiego przekładu powieści Iwana Franki *Zachar Berkut* (przeł. Zofia i Stanisław Głowiakowie) przez Wydawnictwo Lubelskie, dziennikarz pisma *Nasza Kultura* (Warszawa), Iwan Hnatiuk, przeprowadził rozmowę z redaktorem odpowiedzialnym tego wydawnictwa, mgr. Z. Koseką. Oto treść rozmowy:

Wiele wydawnictw publikujących przekłady specjalizuje się; tak np. Wydawnictwo Poznańskie specjalizuje się w literaturach skandynawskich, Łódzkie — w literaturze litewskiej, łotewskiej i białoruskiej. Wydawnictwo Lubelskie zamierza publikować literaturę ukraińską. Posiada już pewną tradycję w tej dziedzinie; dzięki inicjatywie pośła P. Dąbka i niewielkiej zapomódze wojewódzkiego wydziału kultury wydawnictwo to opublikowało 12 tomów prac K. Jaworskiego, założyciela tygodnika *Kamena*, i w tym jego przekłady — z rosyjskiego (t. 2), czeskiego i słowackiego (t. 4), rumuńskiego (t. 5) oraz z literatur ukraińskiej, białoruskiej i narodów kaukaskich (t. 3). Czytelnicy znajdując w tym tomie utwory T. Szewczenki, P. Tyczyny, M. Ryłskiego, B. I. Antonicza, D. Pawliczka, I. Dracza, W. Koroticza, J. Hucala i in.

Właściwą działalność przekładową Wydawnictwo Lubelskie rozpoczęło w 1974 powieścią I. Franki *Zachar Berkut*, osnutą na tle historii Rusi Zakarpaciej w XIII wieku. Z 10-tysięcznego nakładu połowa już się rozeszła, choć książka jest w sprzedaży dopiero od niedawna. W 1975 wydał dwie książki: autobiograficzną powieść Tarasa Szewczenki pt. *Artysta* w przekładzie J. Jędrzejewicza, oraz *Cyklon* Ołesia Honczara (przeł. M. Dolińska) o tematyce wojennej. W 1976 mają być przygotowane trzy książki, z których ukazać się dwie. Są to: *Tronka* O. Honczara w przekładzie Dolińskiej („obraz współczesnej wsi ukraińskiej... postacie rzeczywiste, ich czynny i godne naśladowania...”) oraz powieści: współczesna — Jurija Bedzika *Błękit* i młodzieżowa — Wadima Sobka *Stadion*. Poza tym w dalszych latach ukazać się przekłady takich autorów jak: Awremenko, Bedzik, Czabaninowski, Dowżenko, Hucal, Gurynenko, Hryhoruk, Perwomajskij, Tiutiunnyk, Tkacz Zbanacki, Zahrebelnyj, Zemliak, Żurachowycz i in. Z klasyków przewidziane są następujące pozycje: *Borysław śmieje się* I. Franki, *Muzykant* i *Bliźniacy* T. Szewczenki, wybór poezji Łesi Ukrainki oraz humoreski Ostapa Wyszni. Wydawnictwo nawiązało już kontakt z tłumaczami: Z. i St. Głowiakami, M. Dolińską, J. Jędrzejewiczem, St. E. Burym, J. Litwiniukiem i T. Chruścielewskim. Istnieje też plan współpracy z ukraińskimi: prof. M. Jakubcem, doc. F. Neuważnym (m.in. celem wydania antologii opowiadań ukraińskich), A. Hałysem, L. Susidem, K. Truchanowskim.

„Pośrednikiem przy podpisywaniu międzynarodowych umów autorskich i wydawniczych są agencje autorskie. Współpraca wydawnicza, w oparciu o plan bezdewizowej wymiany osób, została uzgodniona pomiędzy polskim Ministerstwem Kultury a Państwowym Komitetem ZSSR d/s Wydawnictw, Druku i Księgarstwa”. [Nota-bene — mimo, że wszyscy autorzy są członkami związku pisarzy *Ukraińskiej SSR*, transakcje zawiera ZSSR, nie pytając Ukrainy o zdanie].

Dwie osoby z Wydawnictwa Lubelskiego udały się do Kijowa (Z. Koseka i A. Sikorska), gdzie odwiedziły wydawnictwa „Dnipro” i „Radiańskijskyj pyśmiennyk”. „Dnipro” również specjalizuje się w przekładach literatury obcej na ukraiński, w tym głównie francuskiej i polskiej; tłumaczem z polskiego jest długoletni współpracownik tego wydawnictwa, Walentyn Strutinski. Inicjatorem współpracy z „Dnipro” był poseł i działacz, a zarazem dyrektor Wydawnictwa Lubelskiego, P. Dąbek.

Przy okazji warto wspomnieć o recepcji literatury polskiej na Ukrainie. W książce *Literatura prawdy i prohesu* („Dnipro”, Kyjiw 1974) ukazały się dwie prace krytyczne Walerii Biediny: *Dejaki tendencji rozwytku polskojsi dramaturhiji 60-ch rokiw* oraz *Suczasnna polska antyfaszystska powist*. W jednoroczniku „Rik 1973. Literaturno-krytycznyj ohlad” („Dnipro”, Kyjiw 1974) w artykule D. Naływajka „Z potoku switowoi prozy”, recenzującym przekłady na ukraiński za rok 1973, wspomniane są: opowiadanie Juliana Kowaleca, wydrukowane w piśmie *Wseswit* (Kijów, Nr. 9, 10 — 1973), oraz powieść *Disneyland* St. Dygata.

Sprawy i troski

Polacy w Nowej Zelandii

O Polakach w Nowej Zelandii wie się bardzo mało, albo nic, i to nawet w pobliskiej Australii. A szkoda, bo nieliczna Polonia nowozelandzka może pod wieloma względami być wzorem dla całej naszej emigracji, zaś z punktu widzenia socjologicznego jest wprost rarytasem i stanowi pouczający materiał do porównań.

Niedawna, pierwsza w życiu, wizyta w tym kraju była dla mnie rewelacją, a trzy tygodnie tam spędzone pozostawiły niezatarte wrażenia i dały dużo do myślenia. Doszedłem do przekonania, że drugiej takiej grupy, jak polscy *Kiwis* nie ma nigdzie indziej. Po dwudziestokilkuletnim „gimnastykowaniu się” w polskiej Australii, czuję się, jak gdybym wrócił z idealnej niemal Utopii, prawie jak gdybym odkrył jakiś nieznaną szczep polski, albo zapomniany zaścianek, gdzie w harmonijny sposób umiano połączyć najlepsze cechy starego i nowego czasu.

Nasamprzód kilka danych, aby można było sobie to wszystko jakoś ustawić w wyobraźni, w jakiejś skali porównawczej. W kraju położonym na wyspach południowego Pacyfiku (dwie duże i jedna malutka, niemal że niezamieszkała, plus duża ilość absolutnych maleństw) o powierzchni nieco mniejszej od Polski, a nieco większej od Zjednoczonego Królestwa, mieszka trzy miliony ludności, w tym 3.500 Polaków.

Nasi rodacy osiedlili się przeważnie na Północnej Wyspie: 2.000 w stolicy kraju, Wellingtonie, około 450 w Auckland. Trzystutysięczny Christchurch na Południowej Wyspie skupia 180 Polaków. Reszta rozrzucona jest po mniejszych miejscowościach obu wysp. Stowarzyszenie Polaków w Nowej Zelandii z siedzibą w Wellingtonie posiada dokładną (z dokładnością do 98 %) ewidencję wszystkich rodzin (domów) polskich w całym kraju.

Jerzy Pobóg-Jaworowski — który przejdzie do historii Polonii nie tyle jako minister pełnomocny rządu prezydenta Ostrowskiego, ile jako doskonały badacz polskich tropów w Nowej Zelandii

— zdołał ustalić, że od początku białej kolonizacji w tym kraju do I Wojny Światowej mieszkało tu 1.500 Polaków, przeważnie z zaboru pruskiego. Podczas drugiej wyprawy kapitana Cooka w jego załodze byli Polacy (Forster z synem, gdańszczanie, jeden potem był profesorem w Wilnie); w XIX wieku niemiecki kapitan, wiozący transport emigrantów rzekomo do Ameryki, przywiózł ich do Nowej Zelandii i sprzedał po funcie od głowy; Polak Szymański wprowadził tu uprawę cebuli na wielką skalę; w kościele w Waikol Polak Orłowski ufundował w 1860 roku chrzcielnicę; w Taranaki polscy parafianie walczyli o swój pierwszy kościół z hierarchią, która chciała im go zabrać i zabrała. Wyśledzenie Polaków o takich nazwiskach jak Dudarski, Stachurski, Drewicki itp. było stosunkowo łatwe, należało wszakże sprawdzić, czy to istotnie byli Polacy, bo my jesteśmy bardzo jednostronni i jeśli Berger czy Schmidt czuje się Polakiem, to jest bohater, gdy zaś Jakubowski czuje się Niemcem, to jest zwykłą świnią. Po latach p. Jaworowski zdołał ustalić, że nawet tacy obywatele niemieccy jak Treder, Schlumberger i in. byli Polakami. Polacy z transportów w 1872, 1874 i 1877 roku zajęli się farmerstwem. Potomkowie tamtej emigracji żyją dalej koło Christchurch, New Plymouth i Dunedin, a nawet niedaleko obozu w Pahiatua.

W okresie między wojnami w Nowej Zelandii żyło około 300 obywateli polskich, przeważnie Żydów, którzy wyemigrowali z Polski w czasie wielkiego kryzysu. Rozwinęli oni przemysł konfekcyjny i tekstylny, a konfekcja tu (podobnie jak w Australii) nazywa się po angielsku *szmates*. Z tych 300 niewielu pozostało obecnie, bo albo wymarli, albo wyjechali po wojnie do Ameryki lub Australii. Pierwszą czynnością nowego konsula rządu londyńskiego w 1941 — był nim dr Kazimierz Wodzicki, obecnie honorowy profesor uniwersytetu wellingtońskiego i najbardziej znany ornitolog i ekolog południowego Pacyfiku — było uzyskanie wiz pobytowych dla 25 osób ze słynnego wileńskiego transportu Rabinowiczów do Japonii. Ci właśnie Żydzi założyli w czasie wojny Stowarzyszenie Polaków, które w 1948 roku przejęły „perskie dzieci” i b. wojskowi z PSZ na Zachodzie. Dużo większa grupa Żydów z tego transportu wyładowała w czasie wojny w Australii i tam wydatnie wzmogła istniejące już życie polskie (Towarzystwo Demokratyczne, później PKKA). W roku 1948 powstało tu pierwsze SPK, którego założycielem był Jan Śledziński, a wkrótce potem drugie SPK. Nastąpiły tarcia, które dawno już zanikły i zjednoczone SPK od dłuższego czasu współpracuje zgodnie ze Stowarzyszeniem.

Alé ton i styl całej Polonii nowozelandzkiej nadały dzieci z Pahiatua. W dniu 1 listopada 1944 do Wellingtonu zawinął amerykański transportowiec „George Randall V”, na pokładzie którego znajdowało się 735 dzieci polskich, w dużej części sierot, uratowanych z piekła Rosji przez układ Sikorski-Stalin. Dzieciom towarzyszyło 105 osób personelu nauczycielskiego i gospodarczego. Dzieci (w wieku od 4 do 17 lat) posiadały swe przeszko-

szkołę powszechną i gimnazjum w języku polskim. Przybyły one na zaproszenie rządu i opozycji Nowej Zelandii. Ten humanitarny czyn zasugerowała małżonce ówczesnego premiera Frasera nieżyjąca już dzisiaj p. Wodzicka. Stosunek władz i społeczeństwa, a zwłaszcza hierarchii katolickiej, do owych dzieci był niezwykle serdeczny. Po cofnięciu uznania rządowi londyńskiemu Nowozelandczycy zaproponowali pełną opiekę każdemu dziecku do lat 21, albo, jeśli ktoś chciał, powrót do Polski na koszt rządu. W roku 1949 obóz w Pahiatua zwinięto, albowiem starsze dzieci kolejno odchodziły do pracy lub na studia, a pozostałe przeszły do polskich burs lub internatów katolickich. Były wypadki niepotrzebne i głęboko odczutego rozdzielenia rodzeństwa. Choć nie wspomina o tym żaden akt, władzom chodziło o szybsze wynarodowienie dzieci. Piękną kartę ma tu *Board of Guardians* pod przewodnictwem Eleonory Zaleskiej, Szkotki, mówiącej i czującej po polsku, wielkiej patriotki i emigrantki politycznej. *Board* skutecznie uniemożliwiał adoptowanie polskich sierot przez Nowozelandczyków i utrudniał ich powrót na niepewne warunki w Polsce, gdy ściągane były przez dalszą rodzinę.

W okresie powojennym do dzieci dołączyły 22 rodzeństwa z innych krajów, głównie z Indii i Afryki. 90 wyjechało do Polski i innych krajów, 15 zmarło, najczęściej w wyniku przywleczonych z Rosji chorób. Pomimo, że 129 dzieci miało rodziców w Polsce, wołały one zostać z resztą. Potem było niemało wypadków, że odnalezione matki, po wojnie repatriowane z Rosji do Polski, przybyły do Nowej Zelandii i tu zostały. Po wojnie zjechało do dzieci via Anglia wielu ojców, braci i sióstr z Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Później dołączyli niezbyt liczni *dipisi* (zwani tutaj *dipistami*) z Niemiec, a także krewni z Polski Ludowej.

Tu ciekawostka. W Australii poznałem na pustyni polskie małżeństwo. Ona przyjechała z Nowej Zelandii, poznała chłopca Polaka, pobrali się, mieli dziecko i dopiero drogą niezwykłych przypadków dowiedzieli się, że są bratem i siostrą. Chłopca w Rosji zagubionego na jakiejś stacji przygarnęli inni Polacy, dali mu swe nazwisko i przez Afrykę zjechali do Australii. Polski ksiądz chciał małżeństwo unieważnić, ale młodzi się uparli że się kochają i dziecka nie opuszczają, a całą genetykę mają gdzieś. Ponieważ zaczęły się robić, jak to u Polaków, plotki, wycofali się w odludzie i tam sobie żyją, samotni lecz szczęśliwi. Dziecko jest normalne i zdrowo wyrosło.

Ale wróćmy do „dzieci”. Ponad 60 ukończyło wyższe studia i pracuje dziś nieraz na wysokich stanowiskach. Oprócz tego 20 zostało nauczycielami, 7 poszło do stanu duchownego, 12 zdobyło przeszkolenie sióstr szpitalnych, 114 ukończyło szkoły zawodowe. Dużą maturę osiągnęło 56 dzieci, małą 75. Ponad 60% chłopców z Pahiatua pobrało się z dziewczętami z obozu. Spora ilość z nadwyżki dziewcząt (było ich 367 na 283 chłopców) wyszła za żołnierzy 2-go Korpusu lub lotników z Anglii, przeważnie kolegów braci lub ojców. Samotnych wśród Polonii w Nowej Zelan-

dii jest mało. Przeciętna polska rodzina posiada 4-6 dzieci, choć zdarzają się i małżeństwa z 9 lub 11 dzieci. Najczęściej nadawano im imiona zmarłych w Rosji rodziców lub rodzeństwa. Nawet w małżeństwach mieszanych spotkałem imiona w transkrypcji polskiej — Andrzej nie Andrew, Monika nie Monica itp. Ilość nieznanych w Polsce imion, jak Barry, Sandra, Joyce, jest minimalna. To samo odnosi się do zmiany nazwiska na anglosaskie.

Co się rzuca w oczy u Polaków w Nowej Zelandii, to bardzo ścisłe życie rodzinne, wielka religijność („wierzę w Boga, nie w księży”), patriotyzm, lecz bez tromtadracji i polskich wad, rozsądek i wewnętrzny spokój, po prostu jakaś w najlepszym wydaniu kmiecia godność. No i piękny język polski, a także angielski, bo dzieci miały szkoły w obu językach. Chociaż dzieci pochodzą z Małopolski Wschodniej, Polesia, Podlasia, Wileńszczyzny i Białostockiego, a niektóre nawet z poznańskiego, bo ich rodzice ewakuowali się na wschód we Wrześniu, to wszystkie one bez wyjątku przyjęły lwowsko-wołyński bałak od wychowawców i kucharek.

Wspólne przeżycia w Rosji, potem w Persji, a później lata spędzone w Pahiatua wytworzyły pomiędzy „sierotami”, „dziećmi”, lub „persiukami” niezwykłą wprost więź: traktują się one jak bracia i siostry. Wszyscy mówią sobie po prostu ty, formy pan i pani używa się tylko wobec przyjezdnych i starszych i to z pewnym przymusem. Na początku były pewne opory i rezerwy wobec *dipistów*, lecz z biegiem czasu, podobnie jak wojskowi, włączyli się oni w zgodne współżycie pahiatuańskiego zakonu czy bractwa. Toteż dziś Polonia nowozelandzka stanowi najbardziej jednorodną grupę, jaką można sobie wyobrazić.

„Perskie dzieci” mówią o rosyjskich latach niechętnie. Wiodącą jest tendencja spychania przeszłości w niepamięć: co tam o tym mówić, to był koszmar, ale się skończył, życie idzie dalej. Jednakże często w rozmowach po okresie początkowego napięcia przychodziło odprężenie i toczyły się tragiczne opowieści o dziesiątkach tysięcy rodzin Korzeniowskich, o trupach, co się do dziś śnią, o próbach dowiedzenia się czym byli rodzice i jak wyglądali. Na pytanie: Czy czuje Pan(i) nienawiść do Rosji? niezmiennie otrzymywałem odpowiedź: Do systemu tak, do NKWD tak, ale nie do ludzi. Oni często mieli gorzej, niż my, a jednak ci Rosjanie, Ukraińcy, Karelczycy, czy Uzbegy nierzadko nam pomagali. Ale gdy już jechaliśmy na południe, zazdrościli nam wyrwania się z Rosji i wtedy nie pomagali. Gdy pytałem owe dziś dorosłe dzieci, co im z Rosji najbardziej utkwiło w pamięci, wszyscy odpowiadali, że trupy zmarłych z głodu rodziców, czy rodzeństwa, zamarzłe na szkło w podarchangielskiej zimie na lesopowale, lub wyrzucane z pociągu, albo ludzie mrący w męczarniach na tyfus, malarię i inne choroby pod murami Taszkentu. Relacjonując te ostatnie rozmowy z matką czy ojcem, dzieci wówczas siedmioletnie a nawet młodsze, przytaczały to, co im ostatnie z rodziców rzekło na łożu śmierci, w kibitce, szpitalu lub na peronie jakiejś stacji: Pamiętaj, że jesteś Polakiem (Pol-

ką), katolikiem (katoliczką), że jesteś najstarszym dzieckiem w rodzinie i nie spuszczaś oka z rodzeństwa.

Nieraz, zagrypieni inteligenci, zrzucający się na racjonalistów i cyników, lubimy kpić z naszego tradycyjnego i podobno powierzchownego katolicyzmu, z naszego patriotycznego zadęcia pełnego sztanc i *images d'Epinal*, ale zastanówmy się: cóż mądrzejszego, niż te proste chłopki — w identycznej sytuacji wojny, Rosji, głodu i plagi — mógłby powiedzieć Camus, Sokrates czy Bertrand Russell, w takiej krótkiej i ostatniej chwili? Co mogliby rzec równie ważnego, ażeby dziecko mogło to zrozumieć, zapamiętać i przyjąć jako wskazanie na całe życie? I czy tych mędrców wskazanie zdałoby tak dobrze egzamin w dalszej przyszłości, jak te?

Od Nowozelandczyków Polacy przejęli niezbyt u nas znaną i praktykowaną cnotę tolerancji. Stowarzyszenie Polaków ma w swym statucie zastrzeżoną apolityczność, w tym sensie, że londyńskie spory, partie i przesilenia nikogo tu nie obchodzą i przyjęte jest, że na grunt pracy społecznej ich się nie przenosi. Ogólnie uznaje się nadrzędność trwania emigracji politycznej, w swych skromnych możliwościach stale mającej być symbolem protestu i walki o wolną Polskę. A jeśli trafi się jakiś „realista”, który za propagandą krajową powtarza, że Polska Ludowa to nasza matka, a o matce mówi się źle i wobec tego należy zaprosić do Domu Polskiego obywatela konsula PRL Czepię — prezes Stowarzyszenia p. Józef Mandruń, b. oficer armii Andersa, pracujący tu jako doker, podaje wniosek pod głosowanie i wnioszek przepada sromotnie. I zawsze znajdzie się ktoś z głową, żeby naiwniakowi wytłumaczyć, że Polska jest istotnie naszą matką, ale nie rząd, i że mówimy źle — czyli tak jak na to zasługuje — nie o matce, tylko o rządzie, który zresztą nie został wybrany, a narzucony. W nowozelandzkim systemie partii rządzącej i opozycji jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś głosujący przeciw rządowi był uważany za zdrajcę, wylatywał z posady, lub bywał gnojony, nie mówiąc już o cenzurze, odmawianiu paszportu, czy też o administracyjnym skazywaniu kogoś za coś, a tym bardziej za odmienne od rządowych poglądy. W grupie, która „przebywała” albo „znalazła się w Związku Radzieckim” podczas wojny w wiadomym charakterze, szanse na infiltrację komunistyczną są znikome, choć konsulat robi co może, a nawet rzeczony konsul pozwala sobie na szantaż wobec osób przybyłych tu niedawno z Polski.

Polacy Kiwis są również bardzo rozsądni. Skrupulatne rozliczenia z wszelkich zbiorów natychmiast ukazują się w biuletynie Stowarzyszenia, co jak wiadomo, pozwala uniknąć wielu kwasów i podejrzeń. Innym dowodem rozsądku jest to, że p. Jaworowski (przedstawiciela prez. Ostrowskiego, którego tu szanują już choćby za ostatnią prezydenturę miasta Lwowa) i p. Nawrockiego (tego z ramienia p. Sokolnickiego) zaprasza się na imprezy jako każdego Polaka, a nie jako „ministra pełnomocnego” co też zaoszczędza wszystkim kłopotliwych sytuacji z po-

granicza operetki. Często słyszałem opinię, że może lepiej byłoby stworzyć Narodowy Komitet Polski, mający historyczne precedensy, posiadający w każdym kraju przedstawicielstwo złożone z ludzi, którzy w życiu danego kraju coś znaczą i z którymi tubylcy liczyliby się więcej, niż z umownym rządem, o którym nic nie słyszeli. Taki Komitet miałby większe możliwości manewru i nie musiałby utrzymywać fikcji rządu, awansów i odznaczeń. W związku z tym idea zwołania Kongresu Polonii Światowej znajduje tu zwolenników.

Jeśli się zważy, że „dzieci”, w chwili przyjazdu do Nowej Zelandii liczące od 4 do 17 lat, miały za rodziców przeważnie gajowych, osadników, policjantów i niższych urzędników z Kresów, to ich zaakomodowanie się w obcym kraju, w innej cywilizacji i w odmiennym stylu życia jest zgoła zdumiewające, zwłaszcza że nastąpiło bez kompleksów i alienacji. To zderzenie się grupy, w swej istocie wiejskiej, z cywilizacją miejską i przemysłową odbyło się bez wstrząsów. Dziś wszystkie one należą do *lower middle class* z tendencją ku górze. Tę uwagę podrzucam krajowym partyjnym socjologom, tak uczenie i z przejęciem piejącym w żargonie socjologiczno-marksistowskim o nieuniknionych alienacjach przy zmianie modelu społecznego i tymi alienacjami tłumaczącym chamstwo, chuligaństwo i cwaniactwo przy jednoczesnej apatii na tematy publiczne w starych i nowych klasach Polski Ludowej. Niech się ci socjologowie dowiedzą, że może być inaczej. Wśród „dzieci” nie było elementu proletariackiego, raczej wiejski i inteligencki, ale wiele z nich bez kompleksów pracuje dziś w fabrykach. W porcie w Wellingtonie jest ponad 60 dokerów Polaków i w związku zawodowym mają poważanie i wpływy. Temu chyba należy przypisać, że politycznych strajków jest tu w porcie mniej niż gdzie indziej.

Jeszcze raz się okazało, że mówienie o polskim lenistwie i niezaradności, o tępotcie i zawiści z dorobku sąsiada („szewc z zdrości księdza, że został kanonikiem”), o *polnische Wirtschaft*, pijanistwie i Stanleyach Kowalskich — jest kolosalną bzdurą. Daj Polusowi praworządny kraj i uczciwą atmosferę wokół niego, nie niszczy mu jego moralnych norm, a dorobi się nawet w obcym kraju i pozostanie pięknym człowiekiem! Bo nie poddany naciskom i aberracjom kłamliwej propagandy i nie wystawiony na szyskany władzy oraz permanentnego chaosu gospodarczego, potrafi z nowego życia wyciągnąć same najlepsze cechy, zatrzymując też najlepsze ze starego. I uzyska najważniejszą dla człowieka rzecz: *szacunek do samego siebie, godność a także szacunek otoczenia*. Przechodząc w drabinie społecznej i cywilizacyjnej o szczebel czy dwa wyżej wykazał, że nie musi być półinteligentem z pretensjami, bądź zawistnym egoistą i śmiesznym dorobkiewiczem. Potrafi rosnąć, wchłaniać i coś nowego wносить.

Obchód 30-lecia założenia obozu polskich dzieci w Pahiatua (po maorysku to znaczy: *miejsce gdzie bogowie, lub boży ludzie, odpoczywają*), urządzony 22 lutego 1975, był wielkim dniem całej Polonii Nowozelandzkiej. Wzięła w nim udział cała hierarchia

katolicka z prymasem N.Z. na czele i z wszystkimi czterema biskupami; przyjechał generał Tow. Chrystusowego ks. Kania i prowincjał zakonu na Australię i Nową Zelandię ks. Pajdak, obecny był lider opozycji (b. premier) i przedstawiciel premiera bawiącego akurat za granicą, a Polaków z całego kraju autobusami i własnymi samochodami, zjechało się tysiąc. Samo nabożeństwo odprawione przez ks. Biskupa dr. Cavanagh (który 30 lat temu był dyrektorem katolickiego szkolnictwa i dzieciom wiele pomógł) było niezwykle wzruszające: koncelebrowało 16 księży ubranych w białoczerwone ornaty, do komunii przystąpiło ponad 500 osób, chór śpiewał dawne pieśni obozowe, a choć były różne presje, ażeby nie śpiewać „O, Panie, któryś jest na niebie”, zaś Boże coś Polskę kończyć wezwaniem „Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie” — tłum prosił Boga by skruszył ten miecz co siekł nasz kraj, a ojczyznę wolną raczył nam wrócić! Łzy wzruszenia schwyciły za gardło wszystkich. Nie patrzyłem jakie słowa śpiewał ks. Generał, bo, by się nie rozpląkać, akurat obliczałem, że z 21 księży i dostojników na scenie zamienionej na podium ołtarza, tylko pięciu nie miało okularów. Tu wtrąć, że ks. Kania zapytany raz o to, jak należy śpiewać o tej ojczyźnie, odparł: „*Jak kto chce. Jeśli modlitwa jest szczerą, to Bóg jej wysłucha!*”. Niby mało ważne, a ile złej krwi narobiło to interpretowanie ostatniej frazy hymnu kościelnego przez księży z Kraju! Druga uwaga: to jeszcze jeden dowód rozsądku naszych *Kiwis*; oto zamiast dyskutować tę sprawę z księżmi i wprowadzić ich w kłopotliwą sytuację, załatwili ją z organistą. Grzmotnął on akordami, a wszyscy od razu podchwycili resztę. I nie było problemu. Niektórzy Polacy nie widzieli się od 25 lat więc można sobie wyobrazić jaki nastrój panował podczas tej mszy. Sam becząłem bezwstydnie i z ulgą, a wszyscy inni robili to samo: nazywajcie to sobie histerią, wzniosłością, elektromontażem i picem, albo chwilą niezwykłą, ale jestem pewien, że wszyscy patrząc na morze głów i dorodne dzieci owych „Dzieci” ubrane w stroje narodowe — mason mayor Pahiatua przyznał, że msza była *a magnificent show* — widzieli nie siebie teraz, tylko siebie *wtedy*, gdy z trapu okrętu schodziły maleństwa, ostrzyżone na pałę po tyfusie, wynędzniałe i przestraszone, a kurczowo przy piersi trzymające maleńkie zawiniątka, cały ich ówczesny dobytek! Ich przestraszone oczy powoli tajały i na twarzach wykwiwały uśmiechy, gdy zobaczyły, że na nie czekały tłumy dorosłych i dzieci z białoczerwonymi chorągiewkami, wywijanymi na wszystkie strony. Te sceny z filmu kroniki aktualności N.Z., narysowane podczas przyjazdu, były później pokazywane, przy skupionym milczeniu i natężeniu w twarzach owych dziś dorosłych już matek, ojców, a nawet babek. Takich chwil się nie zapomina, ba, nawet dla mnie ta obecna reakcja dawnych dzieci, to moment którego nie zapomnę nigdy.

W tej sali świętuje się dziś piękną okazję, krew pachnie nie w tej sali, a w Rosji, tu unosi się jak zapach kwiatów szczęśliwy dziś uśmiech ówczesnych dzieci, ofiar wojny i nieludzkości czło-

wieka wobec człowieka, które tu w Nowej Zelandii odzyskały wiarę w dobroć człowieka i w jego ludzkość. Mochnackiego tu nie było ani fortepianu, tylko wzruszony i spocony ks. Węgrzyn z przejęcia za głośno puścił na taśmę nagranego poloneza; dzieci „Dzieci” gubiły się na scenie w krakowiaku, a wyniedzielnione mamy patrzyły na nie dumne i rozanielone, choć odpychając natrętną myśl: *nie daj Boże by naszym dzieciom mogło się coś takiego zdarzyć, co my przeszliśmy w Rosji!* Mayor Pahiatua ze swadą człowieka, któremu przemawianie publicznie nie nowina, ale i ze źle ukrywanym wzruszeniem mówił, jak to on, jako młody dryblas dowoził ciężarówką do obozu bagażę dzieci: „*Wy tego pewnie nie pamiętacie, ale ja wiem jak mi się wtedy serce ścisnęło. Kiedy w zeszłym roku pojechałem z moją missus naokoło świata, to we dwójkę mieliśmy więcej bagażu niż oni wszyscy do kupy wtedy!*” I on i były premier, stary *showman*, na każdą okazję patrzący pod kątem zdobycia głosów w przyszłych wyborach, i minister socjalistyczny reprezentujący premiera, wszyscy jak by się zmówili i powtarzali to, co już w kościele powiadał starowina Prymas. Może takie właśnie kazanie Prymasa należało do dobrego tonu, może protokół czy okazja dyktowały im te słowa, jednak Prymas nie musiał rozpląkać się przy mikrofonie, zaś ci inni nie musieli swadą i niby swobodnym obyciem pokrywać wzruszenia co zresztą im się nie udawało, bo i im też głos wiązał w krtani. Mówili, choć nie musieli aż tak ciepło mówić. Że to niby Polacy tym obchodem i ufundowaniem pomnika chcieli Nowej Zelandii okazać swą wdzięczność za gościnę i dobry start życiowy, a to tymczasem oni, Nowozelandczycy, podkreślają wdzięczność Nowej Zelandii za uzyskanie tak wspaniałych obywateli! To oni dziękują Polakom! To oni są Polakom dłużni. A czy maszynista pociągu, który 30 lat temu wiozł te dzieci do Pahiatua, musiał w tym dniu przysłać telegram gratulacyjny z życzeniami na przyszłość? A czy miejscowe hotele musiały stawiać w tym dniu Polakom jedzenie i picie i nie brać za to pieniędzy? Kto im to kazał? UB? Partia? Czy staruszka Nowozelandka, która w 1944 roku tylko przez kilka tygodni była siostrą szpitalną w obozie, musiała na własny koszt na tę okazję przyjeżdżać aż z Samoa? Czy musiała płakać, gdy mojej żonie, koło której siadła w kościele, tłumaczyła: „*Cóż mnie w sumie te dzieci obchodziły? Nawet jednego nazwiska czy imienia nie pamiętam, a jednak, kiedy w gazetach przeczytałam o waszej uroczystości, od razu tu przyjechałam!*”. Czy taksjarsz w Wellingtonie, skoro się dowiedział, że przybyłem z Australii na obchód do Pahiatua, aby to opisać, musiał ode mnie nie brać za kurs? Czy farmer do którego obecnie należy teren dawnego obozu, musiał z własnej woli pod pomnik i *picnic area* oddać kawał gruntu bezpłatnie? Czy coś takiego często się zdarza w innych krajach? Ale Polacy w Nowej Zelandii na to zaszli, na swą opinię zapracowali. Lojalność za lojalność, serce za serce.

Andrzej CHCIUK

Czyżby zmiany na lepsze?

Dla społeczności polskiej we Francji rok 1975 rozpoczął się dobrze. Dnia 16 stycznia ukazało się w *Journal Officiel* zarządzenie Ministra Oświaty dopuszczające język polski do matury, jako pierwszy lub drugi język obowiązkowy. Zarządzenie to dotyczy terenowo 9 akademii, ale obejmuje 80 % ośrodków polskich. Decyzja ministra nie była oczywiście wynikiem przypadku, ale ukoronowaniem dwuletnich wysiłków grupy ludzi z p. Edwardem Kozikiem z Roubaix na czele; ten uparty człowiek zorganizował akcję zbierania podpisów pod apelem do ministra: zebrali ich ok. 25.000, co na 800.000 Polaków we Francji jest liczbą budzącą respekt: wśród podpisów są także francuskie, a wśród nich kilku dziesiątków członków parlamentu. Akcja zbierania podpisów wyszła z „bazy” czy — jak kto woli — z „dołów”, a wśród „ojców emigracji” wielu przybiegło dopiero... na pomoc zwycięstwu! Ponieważ obchodziliśmy niedawno „rok Kopernika”, są głosy, żeby rok 1975 ogłosić „rokiem Kozika”.

Niestety, na innych odcinkach sytuacja społeczności polskiej we Francji nie była najlepsza. Od jesieni 1974 roku ciągnęła się sprawa pomnika dla Polaków — obrońców Francji z lat 1940-45. Reżym przekonał sekretarza stanu do spraw kombatanów, że jest reprezentantem tych, którzy bronili Francji, a ten z kolei poszedł na wszelkie sugestie tow. gen. Grudnia i metodą zaskoczenia stworzył Komitet Pomnika, z którego najmniej entuzjastyczni ministrowie francuscy nie mogli się już wycofać. Trzeba było działać z nadzieją, że się ograniczy szkody. Taka akcja była przeprowadzona i odniosła częściowe skutki. Drugi etap: akcja propagandowa Komitetu Pomnika w terenie dla zdobycia funduszy na pomnik — będzie trudniejszy. Jasne jest, że z odczytami, filmami itp. nie będą jeździli po polskich ośrodkach ani wdowy po marszałkach Francji, ani prefekci, ani inni dygnitarze figurujący na liście członków Komitetu, ale komunistyczni działacze „Association France-Pologne”. Ale to co będą robili w terenie: 1) nie dojdzie nigdy do wiadomości Komitetu i 2) będzie miało *label* rządowy.

Potem przyszedł podróż do Polski. Najgłośniejsza — ale nie jedyna — była podróż p. Jean Sauvagnargues, ministra Spraw Zagranicznych, który tak się zachwycił reżymem, że stwierdził wobec dziennikarzy, że nie ma większych różnic „między francuskim liberalizmem i polskim socjalizmem”.

Po tym wstępie przejdźmy do dwu inicjatyw, z których pierwsza jest polityczna, druga — społeczna.

Inicjatywa polityczna wiąże się z podróżą Prezydenta Francji do Polski. Choć program rozmów p. Giscard d'Estaing z przed-

stawicielami reżymu nie był nigdzie ogłoszony, łatwo było się domyśleć, że na porządku dziennym będą dwa zagadnienia: konferencja w Helsinkach i kredyty dla PRL. — Była obawa, że będzie także trzeci punkt: sprawy Polaków we Francji.

W tej sytuacji Komitet Wyborczy Polaków-Naturalizowanych postanowił wystosować do Prezydenta Giscard d'Estaing list precyzujący stanowisko polskich wyborców. Jeśli chodzi o konferencję w Helsinkach, Komitet przypomniał Prezydentowi jego własne słowa w liście przedwyborczym skierowanym do Polaków i stwierdził, że C.S.C.E. nie może być powtórzeniem Jałty czy Monachium, gdyż chodzi tu o los całej Europy, z Francją włącznie. Druga „Jałta”, przygotowywana na zimno przez dwa lata, w okresie pokojowym i zaopatrzona 35 podpisami, byłaby zagrożeniem pokoju i wolności narodów i jednostek. Przy okazji przypominamy, że w swoim liście do wyborców polskich z 8 maja 1974 Giscard d'Estaing pisał: „Przywiązuję szczególną wagę do swobodnej wymiany idei, informacji i osób między wszystkimi krajami i będę czuwał, aby te cele były uznane przez Konferencję geneńską”.

Jeśli chodzi o sprawy wewnętrzne, to znaczy o stosunki między społecznością polską obywateli francuskich a Rządem, to Komitet w swoim liście wystąpił z szeregiem krytycznych uwag (deklaracja min. Sauvagnargues w Warszawie, sprawa pomnika dla polskich obrońców Francji itd.), ale specjalny nacisk położił na wyłączeniu spraw polskich we Francji z jakichkolwiek rozmów z reżymem. „Jako obywatele francuscy, Polacy we Francji mają — głosił list Komitetu — tylko jeden rząd: ten w Paryżu. Sprawy ich dotyczące powinny więc, zgodnie z logiką, być załatwiane z Rządem Francuskim i tylko z nim”. List stwierdzał, że kolejne wizyty francuskich ministrów doprowadzają do licytacji w obietnicach, za które zapłacić ma społeczność polska we Francji.

W odpowiedzi, podpisanej przez doradcę p. Giscard d'Estaing do spraw międzynarodowych, p. Gabriela Robin, czytamy: „Francja pragnie przyczynić się jednocześnie do ustanowienia lepszej równowagi w Europie i do obniżenia wszystkich barier, które dzielą narody europejskie, a w szczególności narody polski i francuski...”. — „Jeśli chodzi o interesy społeczności polskiej we Francji, proszę być pewnym, że Prezydent Republiki ma je stale na uwadze i że nie będą one zagrożone przez podróż jego do Polski”. To ostatnie jest echem końcowego zdania listu Komitetu: „Zrozumię Pan na pewno znaczenie jakie — w tym kontekście — przywiązuje do Pana podróży do Polski 500.000 wyborców pochodzenia polskiego”.

Przy tej okazji trzeba przypomnieć, że list kandydata Giscard d'Estaing do polskich wyborców nie była jakimś gestem spontanicznym, ale był wynegocjowany przez Komitet Wyborczy i do niego skierowany. Zdarzyło się to po raz pierwszy w historii Polaków we Francji. List Komitetu skierowany do p. Giscard d'Estaing był pierwszym wypadkiem zwrócenia się Polaków —

obywateli francuskich do Prezydenta Republiki w sprawach politycznych i otrzymania politycznej odpowiedzi. Poprzednio zdarzały się życzenia noworoczne i pokwitowania odbioru. Jest to więc etap na drodze Polonii francuskiej do zdobycia należnego jej miejsca w życiu politycznym Francji.

A teraz o inicjatywie społecznej!

Po wyczerpaniu się pieniędzy zostawionych przez wojsko, po zjedzeniu zasiłków amerykańskich, wszystko we Francji wróciło do normy. Środki na prace organizacji społecznych zbierano na tacie, do kapelusza lub do skarbonki, stosownie do zwyczajów miejscowych. Zwracano się więc zawsze do tych samych i zawsze ci sami dawali: najbiedniejsi! Kiedy stwierdzano, że np. dach Biblioteki Polskiej jest dziurawy, albo że jest absolutną koniecznością wmurowanie jeszcze jednej tablicy pamiątkowej — rozwiązanie było proste: zwrócimy się do Polaków w Chicago, albo w Toronto!

Grono działaczy społecznych z północnej Francji, a więc Janusz Deryng, Ryszard Ptaszyński, Edward Papalski, no i oczywiście — Edward Kozik — doszło do wniosku, że można coś zmienić w istniejącej tradycji groszowych budżetów organizacji, których cele statutowe mają mało wspólnego ze stanem ich kasy. Fachowym doradcą był Ryszard Ptaszyński, z zawodu inspektor podatkowy. Inicjatorzy stwierdzili, że przede wszystkim Polacy-obywatele francuscy nie wykorzystują — choć mają do tego prawo — subwencji ze źródeł publicznych, na wszystkich szczeblach hierarchii: budżety gmin, departamentów, regionów, a wreszcie poszczególnych ministerstw. Tam gdzie o to się postarano uzyskano spore sumy np. na budowę domów polskich (Le Creusot — Franciszek Gierczak, dom już wykonany; Marles-les-Mines — Edward Papalski — dom na wykończeniu). Istnieją także możliwości uzyskania sporych sum od firm handlowych i przemysłowych polskich lub mających polską klientelę i to w sposób bezbolesny dla ofiarujących, bo przez odciążenie tych kwot od dochodów podlegających opodatkowaniu.

Polacy we Francji nie mają — jak w Stanach Zjednoczonych — instytucji ubezpieczeniowych, bo ubezpieczenia społeczne są powszechne i przymusowe; nie mają nawet — jak Polacy w Kanadzie — żyły złota w postaci gry w „bingo”, która zasila kasy organizacji społecznych. Nie mają także centralnej organizacji skupiającej jeżeli nie wszystkie to przynajmniej większość stowarzyszeń i instytucji działających (a przynajmniej istniejących) na terenie francuskim.

Trzeba było więc stworzyć coś nowego, aby akcja zbierania funduszy miała dostosowane tego celu ramy prawne i nie była związana z jedną organizacją czy grupą organizacji. Dwie drogi mogły do tego prowadzić: zwołanie wielkiego sejmiku istniejących organizacji polskich we Francji albo inicjatywa grupy ludzi, o której poinformowana zostałaby cała społeczność polska we Francji. Pierwsza droga to strata, skromnie licząc, przynajmniej dwu lat czasu (walne zebrania, wybór delegatów itd.), druga — w

pierwszej fazie mniej „demokratyczna”, ale skuteczniejsza. Jeśli się przyjmie pod uwagę, że od chwili swego założenia nowa organizacja potrzebuje ok. trzech lat na to aby stać się „operatywną”, to trzeba stwierdzić, że wybrana droga była dobra.

W ten sposób doszło do założycielskiego zebrania nowej organizacji, która nazwała się „Centralnym Funduszem Kultury Polsko-Francuskiej”; zebranie to odbyło się 6 kwietnia 1975 roku w gmachu Biblioteki Polskiej, przy udziale ok. 20 osób z Paryża i północnej Francji; przewodniczył ksiądz Andrzej Poniatowski.

Po dłuższej dyskusji, inicjatorzy określili pozycję Funduszu, którego celem jest pomaganie — oczywiście kiedy zdobędzie pieniądze — innym organizacjom w ich działalności kulturalnej i oświatowej, a nie zastąpienie ich czy zabranie im tych niezbędnych środków, jakimi obecnie dysponują; uchwalono projekt statutu, którego ewentualne zmiany nakaże praktyka. Bo też zredagowanie takiego statutu nie było rzeczą łatwą: po raz pierwszy tworzone organizację mającą na celu nie urządzanie akademii czy jasełek, ale zbieranie pieniędzy, ze wszystkim co to za sobą pociąga! Znając uroczy polski kompleks nierozprutej kasy, trzeba było statutowo określić ścisłą kontrolę i nad zbieraniem pieniędzy i nad ich późniejszym użytkowaniem; w takim wypadku nie wystarczy tradycyjna komisja rewizyjna, która się zbiera na pół godziny przed walnym zebraniem i stwierdza, że zarząd rozliczył się ze znaczków pocztowych i że w kasie pozostało 17 F. 60. A więc kontrola jest potrójna: komisji rewizyjnej, technicznego biura studiów, a wreszcie walnego zebrania. Nowością jest wprowadzenie — jako organu doradczego — fachowego biura studiów, które jest zorganizowane jako odrębna osoba prawna na mocy art. 1832 Kodeksu Cywilnego. Jego zadaniem jest analiza budżetu, który przedstawiony będzie walnemu zebraniu, wydawanie opinii co do przeznaczenia zebranych sum itd.

Zebranie informacyjne Funduszu miało miejsce w Instytucji św. Kazimierza (Oblaci) w Vaudricourt w północnej Francji. Prasa o zebraniu ogłosiła, przyjechał kto się tym interesował i kto mógł. Ciekawy referat wygłosił p. Edward Papalski, znany działacz społeczny: stwierdził on, że na 800 do miliona ludzi pochodzenia polskiego (patrz „Cartes sur table” Michel Poniatowski, str. 7) tylko 32.000 czyli 3-4% jest zorganizowanych; fundusze tych organizacji są tak małe, że zarządy centralne otrzymują przeciętnie 0,70 F. od członka rocznie.

P. Ryszard Ptaszyński przeanalizował możliwości budżetowe Funduszu. Wynikało z tej analizy, że wliczając subwencje publiczne (na wszystkich szczeblach), „opodatkowanie” polskich przedsiębiorstw oraz wpłaty członków-dobroczynców i składki członkowskie za trzy lata wpływy mogą wynieść ok. 1.000.000 F. rocznie; ramy tego artykułu nie pozwalają na przytoczenie elementów analizy p. Ptaszyńskiego, ale w ustach tego urzędnika skarbowego i urodzonego w zagłębiu węglowym, a więc dobrze znającego tzw. teren — nie była to fantazja.

Oczywiście, na zebraniu w Vaudricourt mówiło się o wszyst-

kim po trochu. Niektórym trzeba było tłumaczyć, że Fundusz ma w kasie w tym dniu dopiero 100 F. pierwszego członka-dobroczyńcy (to jest minimum, aby mieć prawo do tego tytułu), innym, że wszelkie manipulacje pieniężne przechodzić będą przez bank (Banque Populaire du Nord), jeszcze innym, że budżet nie będzie faworyzował Paryża i okolicy, a 50 % rozdzielanych funduszy przyznaczy się na akcje prowadzone na prowincji, a większości zebranych — że stworzenie Funduszu nie było „zamachem stanu”, a nawet zamachem na ich skarbonki organizacyjne.

Na koniec pytanie: dlaczego Fundusz Kultury Polsko-Francuskiej? Czy jest taka kultura i kto się znajduje w jej zasięgu? Nazwa Funduszu ma oczywiście motywację polityczną: chcąc uniknąć etykiety politycznej, czy to reżymowej czy to emigracyjnej, Fundusz w swojej nazwie podkreślił, że jest związany z Francją. Ale to nie wszystko? Już od lat, m.in. na skutek małżeństw mieszanych, wiele rodzin należy do dwu kultur jednocześnie; mimo wysiłków środowiska polskiego drugie i trzecie pokolenie traci znajomość języka polskiego. Czy trzeba dzielić rodziny barierą kulturalną czy trzeba młodzież odpisać na straty dlatego, że źle a czasem wcale nie mówi po polsku? Nie! — odpowiedzieli z całą pewnością założyciele Funduszu, zgodnie z rzeczywistością jaka istnieje poza granicami polskiego „getta”.

Oczywiście, na zebraniach Funduszu mówiło się dużo o sprawach Biblioteki Polskiej w Paryżu. Wiele osób wyrażało przekonanie, że ta instytucja powinna bardziej włączyć się w życie społeczno-kulturalne społeczności polskiej we Francji, a nie po-przestawać na swojej roli „sanktuarium”. Z jednej strony Polonia jest uczulona na zakusy reżymu wzięcia w swoje ręce Biblioteki, ale z drugiej mało o niej wie, mimo kilku wystaw urządzanych na prowincji pod egidą Tow. Historyczno-Literackiego. Proces tego zbliżenia powinien być obustronny! Bo Bibliotece potrzeba nie tylko pieniędzy, ale także ludzi, gdyż „zmiana pokoleń” musi kiedyś nadejść i jest raczej blisko. Polscy Pallotyni w swoim paryskim Ośrodku Dialogu wykazali, że można urządzać odczyty przy pełnej sali i publiczności, której przeciętna wieku nie musi być ok. 60-tki!

O ile Polacy we Francji, a zwłaszcza polscy górnicy i robotnicy odpowiadali dotychczas wiernie na wszystkie mobilizacje: polityczne i finansowe związane z zagrożeniem Biblioteki, musi ona stać się dla nich czymś więcej niż miejscem pielgrzymek. Oczywiście, do niedawna status prawny Biblioteki (która po niefortunnym procesach została uznana za „rzecz niczyją”) ograniczał poważnie możliwości Tow. Historyczno-Literackiego, które miało pieczę nad tą instytucją. W czerwcu administrator sądowy podpisał z Tow. Historyczno-Literackim umowę o dzierżawę na lat 18, co pozwoli na przejście ze stanu faktycznego do stanu prawnego. Rzecz jasna, nie jest to jeszcze rozwiązanie problemu Biblioteki, ale umożliwia wiele akcji, między innymi szukanie funduszy, których budynek i zbiory pilnie potrzebują.

W tym celu prezes Tow. Historyczno-Literackiego wybiera się

jesienią w podróż do Ameryki, pragnąc zainteresować społeczeństwo i instytucje amerykańskie w Stanach i w Kanadzie (a nie tylko polsko-amerykańskie i polsko-kanadyjskie) losem tej zastrzeżonej instytucji.

Przy tej okazji trzeba wspomnieć, że może byłoby lepiej, żeby o Bibliotece więcej wiedzieli przynajmniej ludzie, którzy informują opinię publiczną; żeby informacji interesujących Polaków nie trzeba było wrywać po kawałku, z całym ryzykiem różnych pomyłek. Nie trzeba dopuszczać do stanu w którym reżym więcej by wiedział o Bibliotece niż polscy działacze niepodległościowi. Poza tym przydałaby się chyba choćby częściowa odnowa składu władz Tow. Historyczno-Literackiego; dotychczas jego walne zebrania mają sporo cech obrzędów rytualnych, w których niewielu zabiera głos, nikt się nie odważy powiedzieć słowa krytyki, bo to przecież nie wypada: „świętości nie szargać”! Przedłużenie tego stanu rzeczy może się źle odbić na interesach Biblioteki, która dla Tow. Hist-Lit. jest przecież głównym polem pracy. Chyba zgodzimy się, że wśród Polaków we Francji nie ma „wrogów” Biblioteki, a jest wielu ludzi którzy chcieliby jej pomóc, gdyby mieli szanse że będą wysłuchani.

Ostatnio firma wydawnicza Société de Réproduction et de Diffusion z inicjatywy księcia Andrzeja Poniatowskiego wydała reprodukcje albumu akwareli, które miasto Warszawa ofiarowało gen. Weygandowi, a ten przekazał go pod koniec życia Bibliotece Polskiej. Artystyczne kolorowe reprodukcje (wymiary 34,5 x 50,5) sprzedawane są po 50 F., z czego dochód po zapłaceniu kosztów druku przeznaczony jest na Bibliotekę Polską. Album zawiera 10 akwarel, z których zrobiono po 1.000 egzemplarzy reprodukcji. Miejmy nadzieję, że album Weyganda wzmocni fundusze Biblioteki

Na zakończenie, rozdział z powieści kryminalnej: włamanie do Domu Kombatanta w Paryżu. Dla porządku, powiedzmy, że włamań było dwa w ciągu niecałych sześciu tygodni. W pierwszych dniach czerwca, a więc dwa tygodnie przed wyjazdem p. Giscard d'Estaing do Polski, po północy amator-włamywacz (25-letni młodzieniec, urodzony w Szczecinie, ale z paszportem NRF) został złapany przez patrol policyjny w trakcie operacji, których główną ofiarą padły lustrzane drzwi dwu pokoi i kilka innych obiektów. Wszystko wskazuje na to, że tej roboty nie wykonywał fachowiec, szukający pieniędzy. Złapany sprawca usiłowania włamania (bo w końcu nigdzie się naprawdę nie włamał!) twierdził przy przesłuchaniu, że namówił go jakiś Stanisław, którego oczywiście nigdy nie odnaleziono. Nazajutrz gazety zamieściły różne sensacyjne wersje owego „włamania”. Zajął się tym i D.S.T. (kontrwywiad), bo wiele wskazywało na to, że sprawa ma aspekt polityczny. Zdaniem naszym, ów „Stanisław” mógł dostać zadanie zdobycia dokumentów (głównie Komitetu Emigracyjnego — P.A.I.R.C.) i skompromitowania instytucji wobec Francuzów, zasilając jednocześnie archiwa UB. Okazało się, że

zamiast kompromitacji „włamanie” zrobiło Domowi Kombatanta reklamę, a „Stanisław” prawdopodobnie dostał od swoich władz „wygawor” za wyręczanie się malarzem pokojowym, łasym na kilkaset franków. Drugie włamanie było ciche, ale prawdziwe. W czasie balu w Domu Kombatanta na 14 lipca, dostano się podrobionymi kluczami do lokalu P.A.I.R.C. Każdy święci jak umie Quatorze Juillet*!

Jakież wnioski można wyciągnąć z opisywanych wydarzeń w czerwcu i lipcu bież. roku? Mimo smutnej atmosfery Helsinek i mimo niezrozumiałej dla masy polskiej we Francji polityki p. Giscard d'Estaing w stosunku do PRL — a może właśnie dlatego — życie Polaków w tym kraju wydaje się ożywiać. Szereg inicjatyw wychodzi z „dołu”, od działaczy na prowincji; Polacy-obywatele francuscy coraz lepiej rozumieją, że rozwój ich społeczności na różnych odcinkach zależy od miejsca, które sobie we Francji politycznie wywalczą polscy wyborcy. Są znaki na niebie i na ziemi, że nadchodzi odnowa różnych ośrodków organizacyjnych i że nie minie wiele lat, a kierownictwo organizacji Polonii francuskiej przejmą ludzie „drugiego pokolenia”, urodzeni w tym kraju, pozbawieni kompleksów „emigracyjnych” i „uchodźczych”, uważający się za współgospodarzy Francji.

Jerzy JANKOWSKI

* Przy tej okazji trzeba stwierdzić, że nad Domem Kombatanta w Paryżu czuwa właściwie tylko Duch Święty. Kierownik domu mieszka kilkanaście kilometrów od Paryża i trudno mu się dziwić, że czasem chce zobaczyć swoją rodzinę. Po godz. 18-ej Dom jest pod opieką dwu kobiet. Prezes i członkowie zarządu zaglądają rzadko do siedziby ich organizacji. A ambasada jest aktywna i ma lepszych specjalistów niż ten biedny „włamywacz”: różni „Stanisławowie” pilnują Domu Kombatanta!

Przedwojenne pożyczki zagraniczne

Dnia 16 maja 1975 roku Rząd PRL-u ogłosił zapowiedzianą uprzednio ofertę co do wysokości i sposobu spłaty obligacji dziewięciu przedwojennych pożyczek zagranicznych wyszczególnionych na końcu artykułu. Oferta posiada moc obowiązującą z dniem 16 lipca 1975 i traci ją dnia 16 lipca 1977 roku. Posiadacze obligacji mogą więc przyjąć ofertę w ciągu dwu lat, jeżeli przyjęli uprzednią ofertę z dnia 19 kwietnia 1973 roku. Druga ta z kolei oferta wiąże się bowiem ściśle z uprzednią wspomniana

ną ofertą, łącznie z którą stanowi całość propozycji Rządu PRL-u co do spłaty obligacji pożyczek zagranicznych. Analizę pierwszej oferty z dnia 19 kwietnia 1973 roku zawiera artykuł, drukowany w *Kulturze* (J. Gidyński. „Spłacanie przedwojennych polskich pożyczek zagr.”. Nr 1/316-2/317, 1974, str. 192-201). Obie oferty są wynikiem rokowań w czasie których w interesie posiadaczy pożyczek działała amerykańska instytucja „Foreign Bondholders Protective Council, Inc.”, nie reprezentując ich formalnie na mocy pełnomocnictwa. Nic nie wiadomo o tym, by istniał jakikolwiek komitet specjalny dla ochrony interesów posiadaczy obligacji z ramienia polsko-amerykańskich organizacji. Osiągnięte porozumienie nie jest też umową, która by automatycznie wiązała wszystkich posiadaczy obligacji przedwojennych pożyczek. Dlatego też wynik porozumienia został ogłoszony w postaci oferty, złożonej przez PRL dla określonych w niej szczegółowo posiadaczy obligacji przedwojennych pożyczek. Ofertę tę każdy posiadacz obligacji, objęty nią, może przyjąć lub nie według swego uznania, ale musi ją przyjąć aby została zawarta umowa co do likwidacji posiadanych przezeń obligacji.

Oferty Rządu PRL, wyrażone w techniczno-prawnym języku, wymagają wnikliwej analizy dla ustalenia zawartych w nich implikacji i określenia zasięgu strat i ofiar jakie posiadacze obligacji ponoszą, próbując proponowane im załatwienie sprawy obligacji polskich przedwojennych pożyczek.

Ile otrzymają posiadacze obligacji?

Posiadacze obligacji pożyczek objętych ofertami otrzymają w dolarach tytułem zaspokojenia wszystkich roszczeń, zarówno z tytułu kapitału, jak i zaległych od przeszło 35-ciu lat odsetek:

- kwoty wynoszące 3½ % nominalnej sumy, na którą ich obligacje opiewają, oraz
- kwoty wynoszące 36½ % nominalnej sumy posiadanych obligacji.

Łącznie, 40 % nominalnej sumy obligacji. Nasuwa się pytanie, skąd wziął się ten dziwny podział co do obliczania kwot, które mają otrzymać posiadacze obligacji. Należy przypomnieć, że propozycja załatwienia sprawy obligacji przedwojennych pożyczek polskich została zawarta nie w jednej ofercie, lecz łącznie w dwóch kolejnych ofertach, pierwsza z dnia 19 kwietnia 1973, druga z dnia 16 maja 1975 roku. Przyrzeczenie zapłaty 3½ % nominalnej sumy obligacji zawarte zostało w pierwszej ofercie jako wznowienie płacenia odsetek za dwa lata, od 1 lipca 1973 roku począwszy, w wysokości 1½ % za pierwszy rok i 2 % za następny. Druga oferta dodała do tego kwotę wynoszącą 36½ % nominalnej sumy obligacji na całkowite zaspokojenie wszystkich roszczeń z tytułu kapitału i zaległych odsetek.

Kiedy posiadacze obligacji otrzymają swą należność?

Termin płatności jest inny dla każdej z dwu części zaofiarowanej kwoty.

Kwota wynosząca $3\frac{1}{2}$ % nominalnej sumy obligacji płatna jest gdy pierwsza oferta PRL-u z dnia 19 kwietnia 1973 roku zostaje przyjęta i to w sposób tą ofertą przepisany. Wyjaśnić zaraz należy, że termin przyjęcia oferty pierwotnie upływał z dniem 30 czerwca 1975 roku, jednakże został przedłużony drugą ofertą z dnia 16 maja 1975 do dnia 16 lipca 1975 roku włącznie. Uprawnieni do przyjęcia oferty mogą to uczynić przez złożenie lub przesłanie pocztą posiadanych obligacji do biura właściwej instytucji finansowej, wymienionej w ogłoszeniu prasowym. Przyjęcie następuje, gdy właściwa instytucja finansowa otrzyma obligację. Niezwłocznie też przykłada na niej pieczęć następującej treści:

„Ofertę tymczasowego porozumienia z 1973 roku została przyjęta dla tej obligacji. Pierwszą ratę odsetek zapłacono przy przyjęciu oferty, a jeden kupon ostemplowano datą 1 lipca 1975 roku jako dniem płatności następnej raty odsetek. Posiadacz tej obligacji zgadza się na wszystkie postanowienia wspomnianej oferty”.

W ten sposób przewidziane przyjmowanie pierwszej oferty prowadzi automatycznie do ustalenia wysokości kapitału nominalnego obligacji, podlegających załatwieniu.

Terminy płatności kwot, wynoszących $36\frac{1}{2}$ % nominalnej sumy obligacji, zostały określone drugą ofertą PRL-u z dnia 16 maja 1975 roku. Są one płatne w dniu 16 lipca 1976 roku w całości lub w części w zależności od łącznej wysokości sumy nominalnej zgłoszonych obligacji, których posiadacze przyjęli obie oferty PRL-u. Przewidziane są cztery możliwości:

- Jeżeli wspomniana suma wynosi $8\frac{1}{2}$ miliona dolarów lub mniej, cała kwota w wysokości $36\frac{1}{2}$ % sum nominalnych zgłoszonych obligacji jest płatna w dniu 16 lipca 1976 roku.
- Jeżeli suma ta wynosi więcej niż $8\frac{1}{2}$ miliona dolarów, lecz mniej niż 12 milionów dolarów, tylko 70 % kwoty stanowiącej $36\frac{1}{2}$ % procent sum nominalnych zgłoszonych obligacji płatne jest w dniu 16 lipca 1976 roku, a pozostałe 30 % płatne jest w dniu 16 lipca 1977 roku.
- Jeżeli suma ta wynosi 12 milionów dolarów lub więcej, jednak mniej niż 14 milionów dol. tylko 60 % kwot w wysokości $36\frac{1}{2}$ % sum nominalnych zgłoszonych obligacji płatne jest w dniu 16 lipca 1976 roku, a pozostałe 40 % płatne jest w dniu 16 lipca 1977 roku.
- Jeżeli suma ta wynosi 14 milionów dolarów lub więcej, tylko 50 % kwot w wysokości $36\frac{1}{2}$ % sum nominalnych zgłoszonych obligacji płatne jest w dniu 16 lipca 1976 roku, a pozostałe 50 % płatne jest w dniu 16 lipca 1977 roku.

Cena jaką płacą posiadacze za otrzymanie spłaty części nominalnej sumy posiadanych przez nich obligacji

Ważne jest pytanie, jaki procent swych wierzytelności tracą posiadacze obligacji przedwojennych pożyczek polskich z okazji załatwienia sprawy ich spłaty?

Treść drugiej oferty PRL-u z dnia 16 maja 1975 roku wykazuje, że spłata obligacji przedwojennych polskich pożyczek została załatwiona przez zaofiarowanie 40 % nominalnej sumy, na które zgłoszone obligacje opiewają, bez zaległych odsetek. Oznacza to, że posiadacze tych obligacji ponoszą straty w wysokości wszystkich odsetek, zaległych za ubiegły okres ponad 35-ciu lat. Zaległe te odsetki wynoszą ponad 150 % nominalnego kapitału każdej obligacji, nawet według stopy procentowej zniżonej z okazji konwersji z 1938 roku. Całkowita utrata odsetek zaległych za ponad 35 lat obniża procent realnej zapłaty z 40 % nominalnej sumy obligacji do 16 %. Realna strata wierzycieli wynosi więc nie 60 % lecz 84 % nominalnej sumy obligacji. Duży ten odsetek utraconej pretensji nie wyczerpuje wszystkich ofiar, których wymagał Rząd PRL-u od swych amerykańskich wierzycieli. Utrata 84 % nominalnej sumy obligacji stanowi ofiarę, która wynika z przyjęcia drugiej oferty PRL-u z dnia 16 maja 1975 roku. Jednakże możliwość przyjęcia tej oferty została uwarunkowana od przyjęcia uprzedniej, pierwszej oferty PRL-u, tak zwanej oferty tymczasowego porozumienia z dnia 19 kwietnia 1973 roku. Oferta ta była nie tylko jednostronnym gestem Rządu PRL-u podjęcia płacenia odsetek w maleńkiej wysokości od przedwojennych pożyczek zagranicznych po blisko 35-cioletniej przerwie. Była to równocześnie oferta zawarcia umowy dwustronnej, wyraźnie stanowiącej, że przyjmujący tę ofertę posiadacze obligacji zrzekają się klauzuli złota, a posiadacze obligacji pożyczki stabilizacyjnej także klauzuli walut obcych. Według klauzuli złota, zawartej w treści obligacji, jeden dolar z lat tysiąc dziewięćset dwudziestych, a więc z lat udzielania Polsce pożyczek, wynosi około czy nawet ponad osiem dolarów obecnych. Przed 1933 rokiem jedna uncja złota kosztowała bowiem \$ 20,67, obecnie zaś kosztuje ponad \$ 160. Klauzula złota miała zastosowanie zarówno do kapitału jak i odsetek obligacji. Według treści pierwszej oferty PRL-u posiadacze obligacji przez jej przyjęcie zrzekali się klauzuli złota, przy czym przyjęcie pierwszej oferty stanowiło warunek konieczny do tego, aby móc przyjąć ofertę z dnia 16 maja 1975 roku. Uchylenie klauzuli złota stwierdza wyraźnie także druga oferta PRL-u z dnia 16 maja 1975 roku w punkcie IV, który brzmi (tłumaczenie moje):

„Wszystkie zapłaty z mocy niniejszej oferty będą dokonywane w dolarach Stanów Zjednoczonych. Wszelkie klauzule złota, zawarte

w treści obligacji pożyczek lub ich kuponów procentowych, są bez znaczenia dla określenia wysokości należnej zapłaty, bez względu na to, czy chodzi o kapitał, odsetki, środki zapłaty, czy jakiegokolwiek inne względy”.

Oczywiście, uchylenie klauzuli złota przy załatwianiu sprawy obligacji polskich przedwojennych pożyczek zagranicznych zwiększyło ogromnie cenę, którą musieli zapłacić posiadacze obligacji, aby otrzymać przynajmniej część swojej należności. Odmowa zapłacenia zaległych odsetek za ubiegły okres ponad 35-ciu lat obniża realny procent spłaty należności wierzycieli z 40 % do 16 %. Nierespektowanie klauzuli złota zmniejsza ten procent zapłaty ośmiokrotnie, jeżeli bierze się pod uwagę obecną zwyżkę wartości złotego dolara od czasu zaciągnięcia pożyczek przez Polskę w Stanach Zjednoczonych w latach dwudziestych. Oznacza to, że wierzyciele realnie otrzymują tylko około 2 % swej pełnej należności, obliczonej według treści pierwotnej umowy pożyczkowej.

Wyszczególnienie angielskich nazw obligacji objętych ofertami PRL-u

1. Republic of Poland Twenty Year 6 % U.S. Dollar Gold Bond Loan of 1920 and 4½ Per Cent Assented Sinking Fund External Bonds due 1958,
2. Republic of Poland 8 % External Sinking Fund Gold Dollar Bond Loan of 1925 and 4½ Per Cent Assented External Sinking Fund Bonds due 1963,
3. Republic of Poland 7 % Stabilization Loan of 1927 and 4½ Per Cent Assented External Sinking Fund Bonds due 1968,
4. Republic of Poland 3 % Dollar Funding Bonds, dated October 1, 1936 and due October 1, 1956,
5. Republic of Poland 3 % Dollar Funding Bonds Stabilization Loan Series due 1956,
6. 7 % City of Warsaw Gold Bond Loan of 1928 and 4½ Assented Sinking Fund External Bonds, due 1958,
7. 7 % Province of Silesia External Gold Bond Loan of 1928 and 4½ % Assented Sinking Fund External Bonds, due 1958,
8. National Economic Bank 7 %

Mortgage Gold Bond Loan (II Issue P.Z. (I) of 1928 dated 1930). (Interest rate 4½ %), and
9. Land Mortgage Bank of Warsaw Guaranteed First Mortgage 8 % Loan of 1924. (Interest rate 4½ %).

Banki uprawnione do działania co do poszczególnych rodzajów obligacji

- a) First National Bank of Chicago, One First National Plaza, Chicago, Illinois 60670, co do wszystkich dziewięciu rodzajów obligacji, wyszczególnionych obok.
- b) The First National City Bank, 111 Wall Street, New York, New York 10015, tylko co do obligacji wyszczególnionych obok pod liczbą 1 i 4.
- c) Irving Trust Company, One Wall Street, New York, New York 10015, tylko co do obligacji wyszczególnionych obok pod liczbą 3, 5, 6, 7, 8 i 9.
- d) Dillon, Read & Co., 148 Wall Street, New York, New York 10005, tylko co do obligacji wyszczególnionych obok pod liczbą 2.

Józef GIDYŃSKI

Kraj

Demokratyzacja

O tym, że w PRL nie ma demokracji przekonani są wszyscy. Niektórzy wierzą w demokratyzację. Trudno jednak powiedzieć co oznacza to pojęcie.

Cechą konstytucyjną wszystkich państw o demokratycznym ustroju jest niezawisłość sądów. W państwach totalitarnych odwrotnie. Był czas kiedy w krajach obozu socjalistycznego sędzia mógł za niewłaściwy wyrok zapłacić własną wolnością. Demokratyzacja złagodziła te obyczaje. Obecnie za niewłaściwe wyroki przenosi się „w imię dobra wymiaru sprawiedliwości”, z wydziałów karnych do wydziałów cywilnych. W ten sposób, drogą eliminacji, uzyskuje się w wydziałach karnych kadrę sędziów ferujących wyroki właściwe. Technika ta jest jednak ciągle niedoskonała i niektórzy sędziowie stale sprawiają władzy kłopoty.

Zgodnie z ustawą o ustroju sądów powszechnych w PRL niezawisłość sędziego gwarantowana jest między innymi tym, że sędziowie mianowani są dożywotnio i trwale związani z danym okręgiem. Dotychczas można było delegować sędziego na okres nie dłuższy niż trzy miesiące. Niedawno, w związku ze zmianami administracyjnymi i wynikającą stąd reorganizacją struktury sądownictwa, pojawiła się w Dzienniku Ustaw ustawa, stwarzająca zupełnie nowe możliwości. Zgodnie z tekstem tego dokumentu w okresie od 1 czerwca 1975 do 1 czerwca 1976 roku można każdego sędziego delegować czasowo lub na stałe z jednego do drugiego okręgu. Jeśli ograniczenia czasowe nie zostaną w międzyczasie zmienione, pozwala to na jednorazowe generalne porządki i wysłanie do Ciechocinka. Nałęczowa, względnie mniej letniskowych miejscowości, wszystkich tych sędziów, którzy przejmują się jeszcze anachronicznymi koncepcjami niezawisłości sądu. W ten sposób dokonany został kolejny krok na drodze do demokratyzacji, co w tym przypadku oznacza pozbawienie sądów resztek burżuazyjnego piętna sądów niezawisłych i umocnienie ich socjalistycznego charakteru — placówek realizujących politykę karną PZPR.

Polityka karna PZPR to nie tylko określona koncepcja sądenia ludzi w sprawach politycznych ale również odpowiednia polityka penitencjarna w odniesieniu do osób, które popełniły przestępstwa kryminalne. Sądy warszawskie nieustannie są upominane, że zbyt mało orzeka się wyroków powyżej dwóch lat. Statystyka jest fatalna, Warszawa pozostaje pod tym względem daleko w tyle za resztą kraju.

Niedawno zresztą przedstawiciel KC PZPR na zebraniu sędziów i pracowników Sądu Najwyższego wyraził swoje niezadowolenie, że sąd ten właściwie nie orzeka wyroków śmierci. Wówczas to, po chwili wymownego milczenia poprosił o głos sędzia Józef Wiczorek. Ten stary towarzysz partyjny, nie cieszący się dotychczas zbyt dużym zaufaniem swoich bezpartyjnych kolegów, popatrzył po zebranych i zacinając się ze wzburzenia powiedział: „Siedzą tu sędziowie, którzy pamiętają sądy przedwojenne i nie reagują. Ja się, towarzysze, do Sądu Najwyższego nie pchałem, ale z toporkiem po Sądzie Najwyższym latać, towarzysze, nie będę”. Po tej wypowiedzi niektórzy sędziowie zdobyli się na brawa. Inni z szacunkiem kłaniają mu się dziś na korytarzach. Wszyscy jednak wierzą chyba w demokratyzację, bo innych głosów protestu przeciw temu wyrazowi polityki karnej PZPR nie było.

TRAKTORY

W dziedzinie maszyn rolniczych firmy amerykańskie przodują bezkonkurencyjnie. Połowa traktorów sprzedawanych w Zachodniej Europie pochodzi z trzech firm północno amerykańskich. Jedną z nich, kanadyjską Massey-Ferguson, zawarła ostatnio umowę z Polską w sprawie modernizacji fabryki traktorów Ursus pod Warszawą. Kontrakt opiewa na ok. 350 milionów dolarów, z czego ponad połowę stanowią urządzenia fabryczne dostarczane z Anglii. Dlatego rząd angielski (Export Credit Guarantees Dept.) pokrywa różnicę pomiędzy kosztem procentu handlowego (ok. 9 %) a procentem płaconym przez Polskę (6 %). Dlatego też w Anglii słychać głosy protestu, że podatnik angielski subsydiuje polskich konkurentów dla... angielskich traktorów (duża część produkcji traktorów Massey-Ferguson pochodzi z Anglii).

Ursus produkuje ok. 50.000 traktorów rocznie. Zarówno traktory jak i produkujące je urządzenia fabryczne są przestarzałe. Kontrakt z Massey-Ferguson pozwoli na zmodernizowanie polskiej produkcji traktorów i silników dieslowych (Polacy otrzymają licencję na silnik Perkinsa). Po modernizacji Ursus ma produkować rocznie 75.000 traktorów i 90.000 silników, z czego część puszczona będzie na rynki zagraniczne dla spłaty kredytów zaciągniętych przez Polskę.

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

7970 SUMMERDALE AVE., PHILADELPHIA, Pa. 19111, USA.
Tel.: (215) RA 5-9723.

Posiada na składzie książki w języku polskim, m.in. wydawnictwa Instytutu Literackiego w Paryżu. Przyjmuje prenumeraty *Kultury* i *Zeszytów Historycznych*. Prowadzi antykwariat. Kupuje stare polskie książki, obrazy, monety i wszelkie *polonica*. Katalogi, informacje, — bezpłatnie

Kronika kulturalna**Juliusz Epstein**

(26. XII. 1901 - 3. VII. 1975)

Zmuszony, jako znany dziennikarz i publicysta, do opuszczenia rodzinnego Wiednia, od 1939 osiadł w Ameryce, gdzie jeden z pierwszych zajął się sprawą Katynia, spopularyzował ją w licznych artykułach i wybitnie się przyczynił do powołania Komisji Śledczej Kongresu, za co otrzymał *Polonia Restituta*, i bardzo to sobie cenil^{*}.

Pracując z ramienia tej Komisji w wojskowych archiwach pod Waszyngtonem, w lutym 1954 natrafił tam na ślad innej, większej niż Katyń, zbrodni wojennej. Chodziło o tzw. *Operation Keelhaul*, co dosłownie oznaczało stosowaną niegdyś w marynarce straszliwą karę, a właściwie tortury, polegające na przeciągnięciu na sznurach związanej ofiary pod płynącym statkiem, co w przeszło 90 % wypadków powodowało śmierć. Tym kryptonimem, z szubie-nicznym humorem Anglosasi oznaczyli wykonywanie zawartej podczas wojny tajnej umowy o wydawaniu w ręce Moskwy wszystkich tzw. „ludzi sowieckich”, którzy by się znaleźli w ich zasięgu. W sumie, na różnych konty-nentach ofiarą tej „operacji” padło 4-5 milionów.

Odtąd, ostatnie 20 lat życia Epstein poświęcił wyswietlaniu i ujawnianiu tej straszliwej zbrodni. Stwierdził, że w archiwach amerykańskich znajdują się co najmniej trzy teczki aktów, oznaczone tym hasłem, są jednak najści-siej tajne, i pomimo różnorodnego poparcia, m.in. interpelacji Kongresmana R. Pucińskiego w Izbie Reprezentantów 23. IX. 1970, nie zdołał do nich dotrzeć. Nie pomogło nawet powództwo, wytoczone przeciwko Amerykańskie-mu Sekretarzowi Armii w oparciu o formalnie obowiązujący od 4. VII. 1967 *Akt o Wolności Informacji*; dwukrotnie sprawa dochodziła do Sądu Najwyż-szego, który jednak podzielał zdanie Administracji, iż akta są tej natury, że nie mogą być ujawnione.

Pomimo tego, na podstawie innych zgromadzonych materiałów oraz kilku dokumentów otrzymanych w anonimowej przesyłce, a rzekomo pocho-dzących z archiwów brytyjskich, Epstein zdążył odsłonić światu przynajmniej rąbek tajemnicy, zanim w czerwcu 1973 nie powalił go wylew krwi do

* W 1950 w numerach 6/32 i 9/35 *Kultury* ukazały się dwie noty-recenzje J. Epsteina „Posiew zdrady” i „Dlaczego przegrano pokój”.

mózgu. Ukazanie się książki *Operation Keelhaul. The Story of Forced Repatriation*** oraz wyrazy uznania jakich się doczekał za swoje wysiłki w *Gulu-gu* Sołżenicyna, osłodziły mu ostatnie miesiące życia.

W. SUKIENICKI

** (1974, Devin Adair, str. 243, \$ 8,95).

Jan Wolski

Dnia 12 lipca 1975 zmarł w Warszawie, przeżywszy lat 87, Jan Wolski, patriota, uczony, społecznik, pedagog. Razem z Nim schodzi do grobu jeden z najwybitniejszych, a zarazem zapewne ostatnich, przedstawicieli niezliczonych walk, zmagani i dążeń pokolenia aktywnych uczestników działań niepodległościowych. Więzień polityczny w zaborze rosyjskim w okresie 1915-1917, bojownik o oświatę mas w uniwersytetach ludowych, spółdzielca i syndykalista, przyjaciel i współpracownik Edwarda Abramowskiego i Tadeusza Rechniewskiego, był Jan Wolski istnym apostołem, pionierem, ideologiem i twórcą spółdzielczości pracy. Mimo dużych trudności i przeszkód był autorem kilkuset prac naukowych, poświęconych socjologii pracy i wybitnym badaczem doświadczeń polskich i zagranicznych. Żle widziany przez reżym z powodu krytycznego stanowiska do władzy biurokratycznej i nieugiętego stanowiska jakie zajmował w sprawach zasadniczych, miał coraz mniej możliwości głoszenia swych poglądów drukiem i skazany został na oddziaływanie bezpośrednie, słowem i czynem. Wpływ jego postaci, jego idei, jego poglądów był stale wielki: ważność jego roli będzie mogła być należycie oceniona dopiero z dalszej perspektywy.

Jan Wolski łączył w sobie cechy myśliciela i ideologa z żywą aktywnością twórczą: był zarówno wykładowcą spółdzielczości na Uniwersytecie Jagiellońskim po wojnie i w krakowskiej Wyższej Szkole Nauk Społecznych, jak równocześnie organizatorem szeregu kolejnych zrzeszeń i instytucji w zakresie kooperacji, polityki społecznej, szkolenia spółdzielców, oświaty powszechnej, usprawnienia pracy poprzez samorząd i demokratyzację instytucji spółdzielczych. Położył wielkie zasługi jako redaktor pism „Społem” i „Spółdzielczość pracy”, jako działacz Związku robotników spółdzielni spożywców, jako czołowy działacz Towarzystwa popierania kooperacji pracy i Polskiego Towarzystwa Polityki społecznej. Autor dobrze znanego w świecie wzorcowego statutu spółdzielni pracy, był wizjonerem przyszłego układu społeczeństwa, wywodzącego się z jego koncepcji wielostopniowych a jednorodnych ośrodków sfederowanych i zmierzających ku uspołdzielczeniu pracy. W okresie okupacji przewodniczył komisji do spraw pracy w konspiracyjnym międzyzwiązkowym Komitecie spółdzielczym i opracował w roku 1943 program „upowszechnienia spółdzielczości i uspołdzielczenia ustroju publicznego”. Wychował szereg wybitnych społeczników i intelektualistów w Polsce a jego ideologia — zawsze daleka od jednostronnych inspiracji marksistowskich — szła w kierunku uspołecznionej gospodarki planowej, z dobitnym podkreśleniem roli wolności jednostek i grup oraz usamorzadowienia pracy w duchu demokracji. Kreślił uparcie zarys przyszłej sieci twórczych powiązań zespołowych, przeciwstawiających się wszelkim formom biurokracji.

Jan Wolski był uosobieniem bezinteresowności osobistej, bezustannej i nieograniczonej ofiarności dla ogółu, niezmordowanych poszukiwań lepszego jutra dla wszystkich. Nie liczył się nigdy z koniunkturą chwili. Był zawsze wierny hasłu, które Mu teraz wypisano na grobie: „braterstwo i obowiązek”. Był z powołania działaczem, ideologiem, teoretykiem, co słusznie przyjaciele napisali w jego nekrologu, po jego nazwisku. Jego ideologia, określana czasem ironicznie przez reżym w Polsce jako „Wolszczyzna” została pięknie przedstawiona przez jego ucznia, profesora Aleksandra Matejkę w artykule „Wolszczyzna”, zamieszczonym w roku 1971 w Nrze 280/281 paryskiej *Kultury*.

Był laureatem Nagrody Fundacji Jurzykowskiego i był odznaczony Krzyżem Niepodległości oraz orderem Odrodzenia Polski. Pochowano Go na powązkowskim cmentarzu komunalnym; zegnali go nad grobem przedstawiciele ruchu spółdzielczego, seniorów spółdzielczości. Towarzystwa kultury moralnej oraz przyjaciół.

Jerzy St. LANGROD

DOKTORAT 3-go STOPNIA Z EKONOMII KRAJÓW EUROPY WSCHODNIEJ

Uniwersytet Aix Marseille, obejmujący Wydziały Prawa, Ekonomii i Nauk jest jedyną francuską wyższą uczelnią uprawnioną przez Sekretariat Stanu do spraw uniwersyteckich do wydawania dyplomu Doktora Nauk Ekonomicznych Krajów Europy Wschodniej. To przygotowanie do doktoratu, realizowane przy współpracy najlepszych specjalistów europejskich, jest rozłożone na dwa (maksimum trzy) lata studiów. Rok pierwszy dający prawo do dyplomu z Ekonomii Krajów Europy Wschodniej (D.E.A. — Diplôme d'Etudes Approfondies) składa się z nauczania teoretycznego i seminariów będących wprowadzeniem do badań. Poza zagadnieniami dotyczącymi systemu funkcjonowania ekonomii socjalistycznych, metodami i techniką planowania, studiowaniem dokumentacji i źródeł statystycznych, program obejmuje w szerokim zakresie problemy handlu Wschód-Zachód. Przedmiotami nauczania są mianowicie: funkcjonowanie Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (C.A.E.M. — Conseil d'Aide Economique Mutuelle) i współpraca ekonomiczna pomiędzy krajami C.E.E. (Communauté Economique Européenne — Wspólny Rynek) i C.A.E.M. W pierwszym roku zasadniczy przedmiot formacji polega na przygotowaniu projektu badań, który może służyć jako baza do pracy doktorskiej. Drugi rok studiów jest całkowicie poświęcony przygotowaniu pracy doktorskiej, pod kierunkiem Kierownika badań.

Odpowiadając na coraz bardziej rosnące zapotrzebowanie, Uniwersytet kształci w ten sposób nową kategorię specjalistów, mogących zająć odpowiedzialne stanowiska w wielu sektorach narodowego i międzynarodowego handlu Wschód-Zachód.

Kandydaci, interesujący się tymi studiami mogą prosić o nadesłanie broszury informacyjnej i formularzy zapisania się na Wydział Ekonomii Stosowanej (Faculté d'Economie Appliquée) na adres: 3, Avenue Robert Schuman, 13621 AIX-EN-PROVENCE załączając kwotę F.6,00 na koszty przesyłki.

Program I-go roku studiów obejmuje część teoretyczną (50 godzin) i część wprowadzenia do badań (75 godzin). Nazwiska kierowników studiów teoretycznych: prof.prof. Henryk Dunajewski, Pierre Kende, Eugeniusz Zaleski.

Kierownikami badań są wyżej wymienieni profesorowie oraz prof. Henryk Wroński. Asystentem jest Aleksander Smolar.

KONKURS

Fundacja Reinholda Schneidera z Hamburga w porozumieniu z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim — w ramach dorocznej nagrody im. O. Maksymiliana Kolbego i Reinholda Schneidera — ogłasza konkurs na pracę, na temat:

„ETHOS CHRZEŚCIJAŃSKI I PRAWDZIWE CZŁOWIECZENSTWO
U PODSTAW POKOJU ŚWIATOWEGO WEDŁUG
REINHOLDA SCHNEIDERA”

Warunkiem udziału w konkursie jest napisanie rozprawy naukowej lub eseju w oparciu o książkę R. Schneidera pt. „Oskarżenie” (Warszawa 1953) z równoczesnym uwzględnieniem dwóch przemówień Schneidera pt. „Pokój na świecie”. Podstawowy dla tematu konkursu III rozdział książki „Oskarżenie” oraz teksty przemówień Schneidera wysyła bezpłatnie sekretariat konkursowy przy KUL. Objętość pracy konkursowej nie powinna przekraczać 30 stron maszynopisu z jedną interlinią. Prace należy przysyłać w trzech egzemplarzach (opatrzonech godłem z dołączoną kopertą zawierającą nazwisko, imię i adres autora) pod adresem: Katolicki Uniwersytet Lubelski, Aleje Racławickie 14, 20-950 LUBLIN.

Za najlepsze prace przyznane zostaną nagrody. O przyznaniu nagród zadecyduje jury złożone z pracowników nauki KUL.

Termin nadsyłania prac został przedłużony i upływa z dniem 31 grudnia 1975 roku (data stempla pocztowego).

Fundacja R. Schneidera zastrzega sobie prawo pierwotnego nagrodzonych prac.

Nowość

MARIA CZAPSKA

GWIAZDA DAWIDA

Dzieje warszawskiej rodziny żydowskiej, napisane na podstawie relacji jedynej kobiety, która przeżyła getto, obozy w Oświęcimiu, Ravensbrück i Neustadt.

Str. 134. — Kolorowa obwoluta. — 4 ilustracje.

Cena: £2.00 lub \$US.5.00. Koszty przesyłki 10 %.

Skład Główny: Polska Księgarnia ORBIS

ORBIS BOOKS (LONDON) LTD.,

66, Kenway Road, London, S.W.5. ORD,

Wielka Brytania

Książki

Anatomia przewrotów
komunistycznych

Niedawno Wydawnictwo Uniwersytetu Yale wydało książkę, która z pewnością zaciekawi czytelników *Kultury*. Książka nosi tytuł „Anatomia przewrotów komunistycznych” (*The Anatomy of Communist Takeovers*), a redaktorami jej są Thomas T. Hammond — profesor historii ZSSR na Uniwersytecie stanu Wirginia, oraz profesor Robert Farrell z Uniwersytetu stanu Oklahoma. Jest to ambitna próba zrekonstruowania modeli komunistycznego przewrotu w oparciu o doświadczenia kilkudziesięciu narodów i państw. To monumentalne dzieło (664 strony) jest wynikiem kolektywnego wysiłku znanych specjalistów (m.in. Williama Griffith'a, Malcolma Mackintosh'a, Stephena Fischer'a, Galati, Johna Keep'a, Alexandre Bennigsen'a, Warrena Lerner'a, Andrew Georgy'a, Jürgena Domes'a, Ronalda Schneider'a) oraz grupy byłych studentów specjalnego seminarium zorganizowanego przez filię Uniwersytetu stanu Oklahoma w Monachium.

Po raz pierwszy ukazała się książka, która zapoznaje czytelnika ze wszystkimi udanymi przewrotami komunistycznymi pochwyciwszy od 1917 roku aż do chwili obecnej. Po raz pierwszy również w tym samym tomie wiele miejsca poświęca się nieudanym przewrotom. Więcej niż jedna trzecia z trzydziestu dwóch rozdziałów omawia niepowodzenia prób komunistycznych: w Niemczech (1918-23), Finlandii (1918 i 1944-48), na Węgrzech (1919), w Polsce (1920), Chinach (1924-27), Grecji (1944-49), Austrii (1945), północnym Iranie (1945-46), Gwatemali (1951-54), Indonezji (1965) i południowym Wietnamie (po drugiej wojnie światowej).

„Anatomia przewrotów komunistycznych” ukazała się w momencie kiedy coraz więcej osób zaczyna się zastanawiać nad praktycznym znaczeniem *détente* z jednej strony, a słusznością teorii „domina” z drugiej. Jeśli dotychczas w umysłach niektórych czytelników pokutuje pogląd, że często władza komu-

nistów jest jedyną słuszną alternatywą dla niektórych narodów i nic dziwnego, że wybierają one system komunistyczny, lektura „Anatomii przewrotów komunistycznych” dostarczy im wiele przekonywujących kontrargumentów. Profesor Cyril Black z Uniwersytetu Princeton już w przedmowie zwraca uwagę czytelnika na szalenie ważną anomalię: „Istotnym jest fakt, że spośród 90-100 krajów, w których dokonały się rewolucyjne przemiany od roku 1917... w nie więcej niż siedmiu sukces związany był ze spontanicznymi komunistycznymi rewolucjami... Przewroty komunistyczne należy studiować jako przykłady urzeczywistnienia nie teorii przemian historycznych, ale raczej techniki zdobywania władzy, która to technika odnosiła sukcesy kiedy pewne czynniki w różnych sytuacjach rewolucyjnych były obecne a inne nie”.

Też „Anatomii przewrotów komunistycznych” jest, że rewolucja bolszewicka z 1917 roku była prototypem przewrotów komunistycznych w innych krajach oraz, że przywódcy komunistyczni w różnych częściach świata w sytuacjach rewolucyjnych działali zgodnie z uprzednio opracowanym w Moskwie planem taktycznym. Profesor Hammond zwraca uwagę na występowanie następujących charakterystycznych elementów w przewrotach komunistycznych tego okresu: (1) *użycie regularnego wojska* (przewrót pod auspicjami Armii Czerwonej); (2) *kamufaż* (rząd koalicyjny oraz propaganda oczyszczona z terminologii komunistycznej); (3) *stopniowość* (stopniowa eliminacja opozycji i stopniowa nacjonalizacja gospodarki) i (4) *planowość* (opracowanie szczegółowych planów przewrotu uwzględniających specyfikę danego kraju). Nie oznacza to, oczywiście, że redaktorzy książki nie zdają sobie sprawy z przypadków nietypowych. Kraje takie jak Jugosławia, Albania, Chiny, Północny Wietnam, Czechosłowacja, Kuba, a nawet San Marino i Kerala są również dokładnie analizowane w książce i czytelnik znajdzie wyjaśnienie przyczyn, dla których rewolucje komunistyczne w tych krajach przebiegały inaczej.

Profesor Hammond wyróżnia osiem typów przewrotów komunistycznych: (1) *bezpośrednia aneksja terytorium przez państwo komunistyczne* (Ukraina, Kaukaz, Azja Centralna, Ukraina Zachodnia, Białoruś Zachodnia, państwa Bałtyckie, Besarabia, Bukowina Północna, część Finlandii, Tannu Tuwa, Ukraina Zakarpacka, okolice Królewca, wyspy Kurylskie, południowy Sachalin, Tybet, ziemie na wschód od linii Odra-Nysa włączone do Polski); (2) *osadzenie rządu komunistycznego przez Armię Czerwoną* (Mongolia, Tannu Tuwa w 1921 r., Polska, Niemcy Wschodnie, Węgry, Bułgaria, Rumunia i Północna Korea); (3) *kontrrewolucja w heretyckich państwach komunistycznych* (Niemcy Wschodnie w 1953 r., Węgry w 1956 r. i Czechosłowacja w 1968 r.); (4) *rewolucja proletariacka w miastach i następujące po niej opanowanie wsi* (jak dotąd jedynym przykładem jest Rosja); (5) *rewolucja na wsi i następujące po niej opanowanie miast* (Chiny, Jugosławia, Albania, i Północny Wietnam); (6) *Legalny przewrót w wyborów wolnych wyborów* (San Marino, Kerala i Zachodni Ben-

gal); (7) *Pół-legalny przewrót popierany przez znaczny procent społeczeństwa i wsparty groźbą użycia wojska* (Czechosłowacja) i (8) *zdobycie władzy przez nie-komunistę, który decyduje się na wprowadzenie komunistycznego systemu władzy* (Kuba, również w dużym stopniu Indonezja, Gwatemala i Chile).

Jeden autorstwa Warren Lerner'a, profesora historii na Uniwersytecie Duke, który znany jest między innymi z doskonale napisanej jedynej w USA biografii Karola Radka („Karl Radek: The Last Internationalist”, 1970), a drugi autorstwa Dr Susanne S. Lotarski, specjalizującej się w zakresie kultury politycznej i polityki terenowej w PRL.

Warren Lerner zajmuje się nieudaną próbą wzniesienia rewolucji w Polsce przez bolszewików w 1920 roku. Tezą autora jest, że Lenin tak bardzo obawiał się Polski, że zdecydował się na próbę eksportu rewolucji do niej ryzykując przyszłym sukcesem rewolucji bolszewickiej w Rosji i poza nią. Był to okres niepowodzenia bolszewików w wojnie domowej i Lenin obawiał się, że Polska mogłaby wspomóc Białych i w ten sposób przechylić szalę zwycięstwa na ich stronę. Profesor Lerner omawia poczynania bolszewików na dwóch frontach: dyplomatycznym i militarnym. Jednym z bardziej interesujących momentów w pracy profesora Lerner'a jest zwrócenie uwagi na poważne rozbieżności między Leninem i polskimi komunistami w Moskwie (jak również w łonie komunistów polskich) odnośnie krucjaty rewolucyjnej Armii Czerwonej w Polsce. Szczególnie krytycznie ustosunkowanym do tej idei był Radek. Lenin był tak oburzony jego postawą, że zabronił mu dalszego publikowania na tematy polskie w prasie rosyjskiej (dotąd niemal codziennie ukazywały się artykuły Radka o Polsce). Profesor Lerner podaje również trochę szczegółów dotyczących sposobu sprawowania władzy przez Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski w Białymstoku.

Dr Susanne Lotarski zajmuje się komunistycznym przewrotem w Polsce po drugiej wojnie światowej. Wprawdzie praca jej nie zawiera raczej informacji nieznanymi specjalistom, tym nie mniej pomaga ona w usystematyzowaniu wiadomości posiadanych przez zorientowanego czytelnika. Razi trochę w jej pracy brak omówienia roli organów bezpieczeństwa w przewrocie, zwłaszcza w okresie referendum (1946) i wyborów (1947), którym poświęcony jest oddzielny rozdział jej artykułu.

Włodzimierz ROZENBAUM
Indiana University, Kokomo

Krajowe nowości wydawnicze

„PRZEWODNIK POLONISTY”

(Jadwiga CZACHOWSKA i Roman LOTH: *Przewodnik polonisty*. Bibliografie - biblioteki - muzea literackie. Wrocław, 1974, Zakł. Narodowy im. Ossolińskich, 8°, str. 620. (Vademecum Polonisty. Red. nauk. serii: Janusz Sławiński).

Punktem wyjścia przy podejmowaniu opracowań z zakresu historii literatury polskiej jest ustalenie, co dotąd w interesującej badacza dziedzinie zrobiono a następnie dotarcie do wskazanych przez bibliografie materiałów. Przed rokiem 1939 i długo potem niezbędne informacje zdobywało się od nielicznych wtajemniczonych a usługowych profesorów czy kolegów, najczęściej metodą „rzucania na głęboką wodę”. Na wołowej skórze nie spisać ile czasu stracono na błądzenie w dżungli ułamkowych wiadomości! Ile błędów wywodzi się z niemożności uzyskania właściwych danych rzeczowych. Na niektórych odcinkach wałną pomocą był tzw. „stary Korbut” i „Estreicher”, korzystanie z którego wymagało nie byle jakiej orientacji w seriach, suplementach i wykazach „druków nie znanych Estreicherowi”. Sytuacja pogarszała się z każdym rokiem, bo Estreicher urywał się na początku obecnego stulecia a Korbut nie grzeszył 100 % dokładnością. Co dzień odkrywano publikacje nie objęte ani „Literaturą polską” Korbuta ani „Bibliografią” Karola Estreichera.

Ten stan rzeczy uległ zasadniczej poprawie po ukazaniu się tzw. „Nowego Korbuta” umiejętnie łączącego informacje biograficzne z bibliograficznymi. Wałną pomocą jest „Polski Słownik Biograficzny”, posuwający się naprzód w niepokojąco wolnym tempie, bo doprowadzony dopiero do litery M. Najnowszą literaturę objął 4-tomowy „Słownik współczesnych pisarzy polskich”, zasadniczo nowy a już przestarzały i domagający się uzupełnień w drugim wydaniu. Roczники „Polskiej Bibliografii Literackiej” są znakomitą źródłem bieżących informacji, podobnie jak wznowiony po wojnie „Rocznik Literacki”. Niejedno przynosi także „Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku”, będący niejako kontynuacją „Stu lat myśli polskiej”, urwanych w latach 1920-ych.

Po uzyskaniu podstawowych wiadomości, w drugiej fazie pracy, konieczne jest zapoznanie się z bibliografiami specjalnymi (np. Mickiewiczowską), informatorami, katalogami starych druków, map czy rękopisów, i, co naderżęło i naderżęca specyficzną trudnością, z rozrzutem materiałów po zbiorach bibliotecznych, archiwalnych i muzealnych. Tu właśnie dawało się odczuć najdotkliwiej ubóstwo publikacji informacyjnych. Dlatego z radością i ulgą powitać należy opracowany w warszawskim Instytucie Badań Literackich „Przewodnik polonisty”, który łącznie z oddanym w 1974 roku do druku tomem zbiorowych pt. „Warsztat badawczy polonisty” zmienia sytuację, przychodząc z rzeczową i sprawną pomocą. (A my musieliśmy się tak męczyć, zdobywając takie właśnie informacje!).

„Przewodnik” dzieli się na trzy części. Pierwsza, opracowana przez Jadwigę Czachowską, wyczerpuje bibliografie, słowniki oraz inne opracowania dokumentacyjne — druga, w opracowaniu Romana Lotha, opisuje biblioteki i muzea literackie — trzecia, najkrótsza w ujęciu tegoż, sygnalizuje litteraria w Muzeum Narodowym w Krakowie, Muzeum Literatury

im. A. Mickiewicza w Warszawie, Muzeum Teatralnym w Warszawie i 27 literackich muzeach biograficznych. Te ostatnie, z wyjątkiem Harendy i zaczątków Muzeum Żeromskiego w Nałęczowie, powstały po wojnie i rozsiane są po całej Polsce. Dla przykładu wymienić warto: Muzeum K. I. Gałczyńskiego w Leśniczówce Pranie w województwie olsztyńskim, Ignacego Krasickiego w Dubiecku w woj. rzeszowskim, Muzeum Romantyzmu w Opinogórze — pod znakiem Krasieńskiego, Sienkiewicza w Obłęgorku, Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym itd.

Zakończenie tomu stanowią obszerne indeksy: autorów i przedmiotowy w opracowaniu Ewy Głębieckiej.

Część pierwsza uwzględnia, poza „czystą” historią literatury, dziedziny pokrewne, a więc np. etnografię, prasoznawstwo, słowianoznawstwo itp., najbardziej rozbudowany jest jednak dział zasadniczy (75 %). Całość opracowania uwzględnia wydawnictwa emigracyjne, np. bibliografię słowników w opracowaniu Ryszarda K. Lewańskiego (New York, 1959), bibliografię zawartości *Kultury* w opracowaniu Jana Kowalika i liczne bibliografie, dotyczące wydawnictw emigracyjnych (Zabielskiej, Bielatowicza, Kościatkowski, Turka itd.). Na odcinku krajowym imponuje zestaw bibliografii regionalnych i lokalnych, zahaczający może zbyt sztywno o krajoznawstwo. Dział ten obejmuje dane dotyczące Lwowa, Wilna i Wołnia (do roku 1939).

W „Teorii literatury” uderza wzrost i rozszerzenie zasięgu badań z tej dziedziny. Jest to rezultat wieloletniej systematycznej pracy kilku ośrodków z warszawskim IBL'em i Katedrą Teorii Literatury Uniwersytetu Łódzkiego na czele. Trudno powstrzymać się od wymienienia pozycji tak wartościowych jak materiały do „Słownika rodzajów literackich” pod red. prof. Stefani Skwarczyńskiej czy wspaniały zarys encyklopedyczny „Poetyki” pod redakcją prof. Marii Renaty Mayenowej (ostatnio jakby w letargu) czy wreszcie cenne „Studia z zakresu wersyfikacji” prof. Marii Dłuskiej.

Poza wydawnictwami zwartymi i czasopismami, Czachowska wyczerpuje liczne cenne a szerokiemu ogółowi nieznane źródła informacji w formie kartotek udostępnianych przez gromadzące je instytucje. Tak np. Zakład Informacji Naukowej Biblioteki Narodowej prowadzi bieżącą kartotekę życiorysów i bibliografii osobowych, która w roku 1972 obejmowała ponad 80.000 pozycji. (Nota-bene w Londynie prowadzi coś podobnego red. *Times'a*). Instytut Badań Literackich rejestruje systematycznie średniowieczne rękopisy literackie od początków do końca XVIII wieku. Niejasno przedstawia się natomiast sprawa rejestracji polonistów zagranicznych w Bibliotece Narodowej. Czyżby kartoteka urywała się rzeczywiście na roku 1955 a rocznik „Polonica zagraniczne”, wydawany „do użytku służbowego” na rok 1966? Istnieje ponoć w tejże Bibliotece specjalna komórka rozpracowywania bibliografii emigracyjnej rozpisująca na kartki np. dane z „Books in Polish” Biblioteki Polskiej w Londynie, kroniki bibliograficznej *The Polish Review* (New York) itp.

Przy wyciszeniu zbiorów materiałów biograficznych brak wzmianki o ogromnym przedsięwzięciu z tego zakresu Bohdana Jeżewskiego w Londynie, kronikarza naszej Emigracji. Wymienione są drukowane prace Jana Kowalika, brak wiadomości o zgromadzonych przez niego cennych materiałach do historii prasy emigracyjnej (w formie kartotek). W wydawnictwach genealogicznych brak cennych prac Szymona Konarskiego i materiałów publikowanych w kolejnych tomach „Materiałów do biografii, genealogii i heraldyki” (pod red. tegoż Szymona Konarskiego).

Opis wydanych dotychczas tomów „Kroniki życia i twórczości Adama Mickiewicza” nasuwa pytania, czemu nie ukazały się dotąd zaległe tomy dotyczące okresu rosyjskiego i lat 1829, zapowiedziane od dawna? To oczywiście dygresja, bo tajemnicza zwłoka nie jest na pewno winą ani Czachowskiej ani Lotha.

Część druga, w opracowaniu Romana Lotha, nastroja analogie z dawną rejestracją bibliotek ogłoszoną w *Nauce Polskiej* wydawanej przez Kasę im. Mianowskiego w tymże co IBL Pałacu Staszica. Jest to zarazem historia strat i odrodzenia kilkunastu ważnych bibliotek, informacje o powstaniu i rozwoju nowych. Ciekawa i pouczająca jest w tym względzie historia wrocławskiego Ossolineum, przynosząca w podtekście obraz tragicznego rozbitcia zbiorów lwowskich, których część — pozostała na miejscu — jest, jak wiadomo, z najwyższym tylko trudem dostępna dla uczonych polskich. O tym zresztą nie znajdziemy u Lotha informacji.

Z przyjemnością wypada odnotować ogromny dorobek bibliotek w zakresie opracowywania katalogów rękopisów, starych druków itp. Powojennym *novum* są katalogi mikrofilmów, obejmujące poza materiałami bibliotecznymi także i archiwalia.

Zagadkowo brzmi informacja, iż Muzeum Literatury posiada m.in. depozyt Biblioteki Polskiej w Paryżu obejmujący — cytuję dosłownie ze str. 499 — „rękopisy i księgozbiór paryskiego Muzeum A. Mickiewicza”.

Przewodnik polonisty daje w sumie potężną dawkę informacji i dotrzeć powinien do placówek polonistycznych na całym świecie. Nakład — tylko 6.000 egzemplarzy, cena — 120 zł. — chyba ponad możliwości studentów, dla których opracowanie jest w pierwszym rzędzie przeznaczone.

HISTORIA SZTUKI

WOŹNIAKOWSKI, Jacek: *Góry niewzruszone*. Warszawa, 1974, Czytelnik, str. 396, ilustr.

Głównym tematem książki Woźniakowskiego jest próba odpowiedzi na pytanie „Czy można dobrze malować góry?”, oparta na badaniu ewolucji poglądów na malarstwo pejzażowe na przestrzeni dziejów nowożytnych do końca XVIII wieku. Autor jest historykiem sztuki a tekst książki przyjęty został przez Instytut Sztuki PAN jako praca habilitacyjna. Na pożywe imponującej lektury wielojęzycznej Woźniakowski charakteryzuje trzy postawy stosunku do gór: klasyczną, entuzjastyczną i sentymentalną, sygnalizując tylko czwartą, romantyczną. W literaturze przedmiotu górują opracowania angielskie a punktem wyjścia rozważań jest Szwajcaria, wielkie laboratorium „góroznawstwa”. Francja potraktowana jest drugoplanowo z krzywdą dla Delille’a i Rousseau, którzy narzucili światu temat wielkiej kontrowersji: natura czytrze porządkowana przez człowieka *versus* natura „swobodna” z „Nowej Heloizy”.

Dziś trudno uwierzyć, iż góry uważane były przez długie stulecia jako niewłaściwy temat pejzażu. Traktowano je jako tło, jak malowane ekrany stawiane za delikwentami przez dawnych fotografów. Na planie pierwszym wypadało dać czy to grocie św. Hieronima czy scenę pasterską czy, jak w słynnych „Popiołach Fokiona” Poussina, białą świątynię. Woźniakowski przypuszcza, że jedną z przyczyn takiego traktowania była po prostu nieznanność gór, odtwarzanie ich z wyobraźni czy pamięci. Albo przy pomocy makiety. Jeszcze Gainsborough konstruował wymyślne makiety gór z tłuczonych kamieni, suchych traw i kawałków lustra. Dla zmylenia podejrzliwości widzów umieszczano „wśród rzeczy malowanych z pamięci kilka malowanych z natury”. Tym tłumaczy się pejzaże ze skałami dzikszymi od najdzikszych, których intencją było ukazanie potęgi Stwórcy i wywołanie uczucia grozy. „Piękno” gór budziło „wzruszenia i czułość”, sprzyjało medytacji. Dlatego szukali schronienia w górach święci i pustelnicy, od Marii Magdaleny poczynając, a w okresie mody na pseudonaturalne

ogrody pseudopustelnik zamieszkiwał pseudopustelnię w zbudowanej na ten cel sztucznej grocie.

Wrogiem gór jest w pojęciu malarzy współczesnych ich malowniczość. Czy jednak istotnie jest ona wyborem fragmentów upiększonych lub udramatyzowanych wyłuskanych z krajobrazu? O taki właśnie sentymentalny stosunek do pejzażu posadzany jest J. J. Rousseau, którego ongiś wypadło mi gruntownie przestudiować pod tym kątem. Później, w czasie wojny, wypadło mi mieszać przez dwa lata w okolicy Chambéry, w krajobrazie Rousseau’a. Ze zdumieniem stwierdziłam, że był to realista nad realistami, oddający po prostu fotograficznie otaczający go pejzaż jako taki a nie wybrane fragmenty. Falszermi natury byli jego naśladowcy, przenoszący np. elementy krajobrazu alpejskiego w podolskie Miodobory, jak zdarzyło się to Tymonowi Zaborowskiemu, preromantycznemu pocięciu w pierwszej ćwierci XIX wieku.

Wybiegając wprzód ukazał Woźniakowski walkę Cézanne’a z Sainte Victoire, pagórem panującym nad domowym krajobrazem artysty. Miał powiedzieć: „Aby dobrze malować pejzaż, muszę odkryć naprzód jego fundament geologiczny... muszę wiedzieć jak zakorzenia się góra Sainte Victoire”. Renesansowi rzeźbiarze i malarze podchodzili podobnie do anatomii człowieka...

Wartość książki Woźniakowskiego potęgują świetnie dobrane ilustracje-reprodukcje całych obrazów albo ich znamienitych fragmentów. Wręcz rewelacyjny jest szkic rysunkowy pejzażu górskiego Wolfa Hubera z XVI wieku, mistrza „szkoły dunajskiej”. Autor książki, jak osiemnastowieczni sawanci, czuje się jak u siebie w domu w muzeach świata i wzorem Malraux potrafił stworzyć z wyselekcjonowanych przez siebie przykładów imaginacyjne muzeum pejzażu górskiego. Książkę wydano wyjątkowo starannie w doskonałej okładce projektu Andrzeja Heidricha wyzyskującej fragment obrazu Hansa Leu jr. „Orfeusz i zwierzęta” (1519).

KSIĄŻKA NAJGORSZA

KSIEGA IMION. Opracowali: Bogdan Kupis, Bogna Wernichowska, Jan Kamyczek. Wiersze Ludwika Jerzego Kerna. Warszawa, 1975, Książka i Wiedza, 8°, str. 368, ilustr.

Z definicji literatury tandetnej wynika, że wydawcy przy podejmowaniu publikacji kierują się a) intencją zaspokojenia najniższych instynktów czytelników, b) szybkimi wysokimi zyskami. „Księga imion”, wydana przez „Książkę i Wiedzę” z inicyjatywy Redakcji Informatorów i Kalendarzy odpowiada obu tym warunkom. Z posłowiecia pióra Kupisa wynika, iż opracowanie powołał rzekomo do istnienia głos ludu. Raczej, jak w ustrojach kapitalistycznych: „Klient — nasz pan” i chłodna kalkulacja, że się opłaci.

„Księga” ma przychodzić z pomocą tłumom oczekującym zaleceń jakie imiona nadawać noworodkom i wyjaśnień, co znaczą imiona już nadane. Sprawy tej dotyczy główny zrab książkę, opracowany przez Kupisa, wylaczający 440 imion, ułożonych alfabetycznie i opatrzonego objaśnieniami na temat źródłosłowu, zdrobnień i przekształceń, formy żeńskiej od imion męskich, nazwisk pochodzących od danego imienia, związanych z nim przysłów i prognoz meteorologicznych, wreszcie wylczeniem „wzorów osobowych” w wykazach znanych osobistości noszących dane imię oraz fikcyjnych bohaterów ze znanych utworów literackich. Na końcu: data imiennin. I tu znamienne przeoczenie: brak informacji o świętych patronach, z których dniem związana jest data imiennin. Tu właśnie wychodzi sztydło z worka. Intencją

„Księgi imion” jest narzucenie czytelnikom świeckich kryteriów doboru imion. Sprawa o tyle niebagatelna, że „Księgę imion” wydano w nakładzie 130.000 egzemplarzy i że istotnie ma ona pewne szanse stania się poradnikiem dla „mas” potraktowanych we wszystkich działach „Księgi” jak stado ciemnych naiwniaków.

Kupis uważa, że podstawą wyboru imion jest tradycja np. imię ojca, dziada, opiekuna itp., wzory osobowe i moda. Pomija zupełnie fakt, że klasycznym źródłem wyboru było, jakie imię przyniosło sobie dziecko. To, w pierwszym rzędzie decydowało o rozmaitości imion i częściej ich osobliwości, bo dzieci rodzą się przez okrągły rok a każdy dzień ma kilku patronów. Proboszcz, występujący w roli doradcy, podsuwał często imię patrona kościoła parafialnego lub głośnych w danym okresie świętych. Stąd np. popularność imienia Teresa. Żywoty świętych należały od wieków do repertuaru lektury popularnej — i to także było źródło imion, o tyle godne uwagi, że łączyło się z pragnieniem przekazania niemowlęciu cech charakteru patrona np. św. Franciszka z Asyżu. Wydana obecnie polska „Księga imion” nie znalazła ani jednego słowa dla św. Andrzeja Boboli, św. Kazimierza, obu świętych Stanisławów — o Maksymilian Kolbe był po prostu „znanym Polakiem” i właściwie miał na imię Rajmund. Święci zjawiają się natomiast w przytaczanych obficie przysłowiaach, skąd nie dało się ich usunąć.

Najwięcej niespodzianek czeka przy studiowaniu wykazów znanych Polaków danego imienia. Autor poddaje złote myśli, iż warto nazwać potomka imieniem Aleksander na cześć przewodniczącego Rady Państwa Zawadzkiego — albo Konstantyn na cześć Rokossowskiego, albo Paweł na cześć Findera, który po śmierci Nowotki był sekretarzem generalnym KC PPR. Bolesław ma nam przypominać Bieruta, a Wiesław? nie! Wiesław nie powinien nam przypominać nikogo tego imienia. Trafiają się jednak „wzory osobowe” nie PRL'owskie i raczej nieoczekiwane np. Adam Boniecki, autor Herbarza”. Brak Andersa, choć jest wśród Władysławów Sikorski. Brak Ksawerego Pruszyńskiego, Zygmunta Nowakowskiego, Marii Pawlikowskiej itd. choć jest Remigiusz Kwiatkowski i zazwyczaj przemilczana Herminia Naglerowa. Wśród postaci znanych z literatury figuruje... Baska z „Ile jest życia” Romana Bratnego i Piotr Krzysztofowicz z „Leśnika” Kuncewiczowej.

Paragrafy, dotyczące poszczególnych imion przedzielane są od czasu do czasu utworami-potworami określonymi na karcie tytułowej jako „wiersze”, do których autorstwa ma odwagę przyznawać się i otrzymywać za nie honoraria Ludwik Jerzy Kern. Są to arcyprzykłady nowoczesnych wierszy częstochowskich. Oto fragment towarzyszący mętnym wywodom na temat pochodzenia i znaczenia imienia Mieczysław (liczba mnoga: Mieczysławici):

Mieczysławici
Bywają przeważnie sporawi.
Prawdopodobnie dlatego że jedzenie ich bawi.
Cenią zarówno potrawy jak płyny
I pierwsi każdego roku
Urządzają imieniny.

.....
Więc cieszymy się, cieszymy jak dzieci,
Że wszyscy bez wyjątku znamy po paru Miecici”.

I nasuwa się automatycznie rym: „Do śmieci!”.

Proces ogłupiania publiczności nie kończy się w części I antyhaziograficznej. Przychodzi po niej astrologia w wykonaniu Bogny Wernichowskiej, w którą wstąpił duch Szyllera-Szkolnika, ozdoby przedwojennych straganów.

Zwano go powszechnie: Szyller-Szkodnik. Cemu umieszczono ten elaborat? Odpowiem słowami „poety” Kerna:

*Niby pozornie głupie pytanie
A kto mi z miejsca odpowie na nie?*

Przy części trzeciej warto zatrzymać się dłużej. Wypełnił ją Jan Kamycek opisem ceremoniału imienin, traktując — jak to on — sprawę żartobliwie ale „z głębszym znaczeniem”, że to, bawiąc i kpiąc, podniesie jednak poziom jedzenia szparagów na wytwornych przyjęciach w PRL'u. Wiemy dobrze jaką rolę odgrywają w życiu i budzenie „statystycznego Polaka” szumne i huczne obchody imieninowe i związane z nimi haracz prezentów. Kamycek cierpliwie poucza, jak uczestniczyć we wzorowych imieninach od wejścia do domu solenizanta do nie zawsze samodzielnego wyjścia. Warto zapamiętać główne punkty ceremoniału: zgłosić się należy na dyskretne zaproszenie, uświadamiając sobie, że jest to dzień patrona czy patronki danej osoby, co w wypadku „partyjnych” nie przychodzi chyba na myśl automatycznie. Przynosimy prezent: „praktyczny” a więc np. „ołówek z kompletem kolorowych wkładów”, „kółko na klucze do samochodu z gustownym wisior-kim”, „świeże czekoladki albo nieparzystą ilość kwiatów ciętych (doniezkowe są „mniej eleganckie”)”. A więc — cięte. Wręcza się je ustawione na baczność, łepkami do góry, w plastikowym opakowaniu, wykwinie jak „celofanowa” seria PIW'u. „Dewocjonalia” wręczane jako prezent „nie przynoszą szczęścia” — ot, i dyskretna dawka trucizny ateistycznej. „Tomik wierszy”, prezent zakwalifikowany jako staromodny, nadaje się dla starszych pań, lubiących „pogodne kolory”. Jeśli one właśnie są bohaterkami dnia protokołu wymaga, by wstawały, jeśli składa im życzenia jeszcze starsza pani po błyskawicznej ocenie „Która z nas starzej wygląda?”. Zaczyna się przyjęcie, obiad. „Najważniejsze jest, żeby z łyzki nie siorbać”, „repe, gdy chwilowo nie zajęte jedzeniem, trzyma się oparte przedramieniem o stół. Jedząc nie należy pochylać głowy nad sam talerz”. I tu panuje moda: „jest teraz tendencja, by nie garniować mięsa na widelcu” i jeść oddzielnie buraczki a oddzielnie schaboszczaka. Rybę je się widelcem z wyjątkiem śledzi „o gumiastej konsystencji”. Pić należy powoli: kieliszek na dwa tempa. Wreszcie: sery-owoce. Pestki z czereśni należy „wypluć w kułak”, porzeczkę „obłupywać zębami bezpośrednio do jamy ustnej”, jabłko „obierać jak kartofle”: tylko patrzeć i filmować! Wreszcie herbata i to ultra-elegancka — z indywidualnej torebki, stać nas na to! Należy zręcznie wyciągnąć torebkę unikając starannie *faux-pas* w postaci owijania jej własną nitką. Dmuchiwanie na herbatę „nie jest szkodliwe”...

„Księga imion” rozcłodzi się jak robactwo po całym PRL'u. W *Polityce* z 5. VII figuruje na pierwszym miejscu wśród 10 najpoczytniejszych książek niebeletrystycznych sprzedanych przez Księgarnię „Domu Książki” w Ostrowi Mazowieckiej... 40 złotych za egzemplarz, nakład 130.000 egzemplarzy, w postawie zapowiedź dalszych „ulepszonych” wydań. Złoty interes. A że tam jakiś językoznawca wybrzydzi się na dowolne etymologie? Nie szkodzi.

MARGINESY LITERATURY

DUNIN, Janusz: *Papierowy bandyta*. Książka kramarska i brukowa w Polsce. Łódź, 1974, Wydawnictwo Łódzkie, str. 307, ilustr.

Autor, bibliotekarz z zawodu, po wielu latach prac przygotowawczych, podjął próbę naukowego opracowania „najniższego piętra literatury”, „litera-

tury tandetnej" określanej przez księgarzy jako towar „drugiego rynku”. Szanując się firmy towaru tego „nie trzymały”.

Literatura prymitywna, zwana także „niską”, rzadko nastrocza analogie z twórczością plastyczną tzw. „malarzy niedzielnych” czy Nikiforów, gdyż do najistotniejszych jej cech należy brak oryginalności podejścia, wtórność, brak ambicji artystycznych, niechlujny język i także szata graficzna. Historycy literatury zainteresowali się niedawno „romansem brukowym i innymi formami wzgardzonymi” jako ważnym rozdziałem literatury popularnej. Projektowane są badania społecznego odbioru i uchwycenia linii demarkacyjnej między literaturami: artystyczną, ludową i „niską”. Zajmowali się nią dotąd głównie tzw. „hobbyści”, a pionierem badań w tej dziedzinie był Julian Tuwim. W ślady jego wstąpili liczni kolekcjonerzy osobliwości, „prześmiewcy” poszukujący „ciekawostek i pięknośtek” pod kątem wartości rozrywkowych. Dunin odżegnuje się od tego punktu widzenia i stara się oceniać owe marginesy literatury w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, w czym leży tajemnica popytu na książki najgorsze i kim są producenci tandety.

W produkcji przeznaczonej dla analfabetów lub ledwie umiejących czytać obok nurtu „społecznikowskiego” występuje i dominuje nurt handlowy, i to cynicznie handlowy, dostosowujący produkcję do najprymitywniejszych gustów „przy ograniczeniu do minimum kosztów własnych”.

„Społecznikowska” produkcja tzw. książek dla ludu i robotników w ujęciu Miecz. Brzezińskiego, Anczyca, Chociszewskiego czy Dygasińskiego oraz towarzystw oświaty ludowej o różnych nazwach i orientacjach politycznych traktowana jest przez Dunina marginesowo, gdyż — zgodnie z podtytułem książki — interesuje go książka kramarska i brukowa. Omawia więc po kolei: pieśni podwórzowe i jarmarczne, „rymy kramarskie” i dziadowskie, produkowane masowo jeszcze w 20-leciu Niepodległości a nawet pod okupacją (np. o Gorgonowej, akrobacie „człowieku Musze”, królu angielskim Edwardzie VIII i „Simpsonce”, Rudolffie Valentino). Najciekawsze obiekty literatury tandetnej, niemal jej symbol, to powieści zeszytowe będące zazwyczaj przedrukami lub przeróbkami tekstów znanych dobrze historykom literatury, a więc np. historii o Meluzynie, pięknej Magiellonie — o świętej Genowefie — czy (tu już wkraczamy w czasy nowsze) Barbarze Ubryk lub tajemnicach klasztoru Mariawitów w Płocku. Inną kategorię stanowią wydawnictwa „użytkowe” a więc podręczniki do pisania listów miłosnych, czy handlowych (tzw. „sekreтары”), senniki, podręczniki wróżenia z kart czy stawiania pasjansów, deklamatory, zbiory przepowiedni. Formą najnowocześniejszą są, poprzedzające komiksy, tasiecowe powieści brukowe w dwu odmianach: detektywistyczne, kowbojskie, „Tarzany” — dla chłopców i romansowe — dla dziewcząt. Kontynuacją wydawnictw zeszytowych były pisma przedwojenne typu „Karuzeli” czy „Świata przygód”.

Analiza rynku wydawnictw tandetnych doprowadza autora do wniosku, że ukazywały się one w wyniku zimnej kalkulacji podrzędnych wydawców żerujących na naiwności i nieporadności nabywców. Czy szukali oni istotnie aż takiej tandety? — oto pytanie, na które autor nie odpowiada. Część winy spada, moim zdaniem, na wydawców z prawdziwego zdarzenia, którzy nie ogarniali swymi programami początkujących czytelników. Książka najgorsza, jak słusznie dowodzi Zagajewski w „Świecie nie przedstawionym”, zastępuje czytelnikowi masowemu *dobrą* powieść popularną, prawie nieobecną w programach wydawniczych.

W końcowym rozdziale „Papierowego bandyty” Dunin wyróżnia w obrębie książki tandetnej nurt „wsteczny” i rozrywkowy, który do dziś, mimo łatwego dostępu do bibliotek i niskich cen książek, wabi czytelników niewyrobionych, nieśmiały, zostawionych samym sobie, idących po linii najmniejszego oporu. Lub po prostu ludzi zmęczonych czy skłopotanych, szukających

łatwej i zajmującej lektury. Z problemu tego zdawał sobie sprawę Witold Gombrowicz, który dwukrotnie rozpoczynał pisanie „dobrej złej książki, starając się dociec przyczyn atrakcyjności np. „Trędowatej”.

W sumiennym opracowaniu Dunina zabrakło miejsca na tzw. „bryki” ze streszczeniami z literatury pięknej, przeznaczone dla młodzieży szkolnej. Tą drogą w budzących przerażenie uproszczeniach docierały do leniwych uczniów arcydzieła literatury polskiej i światowej. Opracowanie nie dotyczy czasów powojennych i rozszerzenia się tandety literackiej na film, telewizję a nawet płyty gramofonowe z nagraniami utworów nie lepszych od cytowanych przez Dunina.

Wymyślna szata graficzna książki jest zdecydowanie niewypałem. Ilustracje składają się na swoistą antologię ujętą jednak, wbrew deklaracjom autora, pod kątem upodobań „prześmiewców”.

LITERATURA OKRESU WOJENNEGO

Lesław M. BARTELSKI: *Z głową na karabinie*. Warszawa, 1974, Książka i Wiedza, str. 206. (Biblioteka Pamięci Pokoleń. Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa).

Zasadniczą trudnością przy omawianiu książki jest brak podtytułu określającego wyraźnie zakres zainteresowań autora i granice terytorium objętego jego rozważaniami. Wątpliwości te usuwa tylko częściowo lektura książki. Jest ona, jak się zdaje, pojęta jako kronika strat osobowych literatury polskiej z okresu okupacji z akcentem na Warszawę. Koncepcja ta przystaje najlepiej do serii, w której książkę wydano. Autor zajmuje się zarówno losami starszej generacji pisarzy z Berentem, Irzykowskim, Lorentowiczem, Kaden-Bandrowskim i Grzymałą-Siedlickim na czele, jak i tragicznym pokoleniem wojennym, do którego sam należy i którego losy opisał we wcześniejszych swych pracach. Jeśli takie było założenie książki to wyłomem są rozszniewane po książce informacje o losach pisarzy, których adresami wojennymi były poczty polowe i zmienne miejsca postoju w wielu krajach świata. Informacje te są jednak ułamkowe i niepełne. Brak np. wzmianek o zgonie w okresie wojny Marii Pawlikowskiej, Bolesława Micińskiego, Adolfa Bocheńskiego, Stefana Borsukiewicza — a pewno i innych. Autor pisze na str. 34, że w pierwszym roku wojny „Paryż zdawał się być ośrodkiem literatury polskiej na obczyźnie”, ale nie powraca później do tego tematu i zdaje się nie dostrzegać przesunięcia adresu paryskiego do Londynu i Szkocji a następnie na szlaki 2-go Korpusu. Pisząc o debiutantach krajowych wylicza nie tylko zmarłych w czasie wojny ale i tych, którzy przeżyli okupację a także powojennych debiutantów. Wylicza młodych pisarzy, którzy do Kraju nie wrócili np. Bronisława Przyłuskiego, Jerzego Paczkowskiego, Tadeusza Sułkowskiego. Pomija jednak Jana Bielatowicza, Gustawa Herling-Grudzińskiego, Bolesława Kобрzyńskiego czy Tadeusza Nowakowskiego, choć formalnie należą do objętych książką kategorii. Skoro wymieniona jest Józefa Radzyńska, czemu brak Zofii Romanowiczowej?

Rozmiary książki (206 str.) tłumaczą jej zwięzłość, nie tłumaczą natomiast ukłonów pod adresem Partii. Nie do przyjęcia jest np. charakterystyka środowiska lwowskiego z pierwszej zimy wojennej albo uchylenie się od wyraźnego określenia miejsca zgonu Władysława Sebyły. Zarzut współpracy z okupantami rzucany jest lekkim piórem bez należytego sprawdzania tego ciężkiego oskarżenia.

Mimo licznych zastrzeżeń książka przynosi wiele, a wyłaniający się z niej obraz wznawia bolesne wspomnienia. Śmierć czasu wojny miała w sobie

oprawę dodatkowego tragizmu nawet jeśli, jak w wypadku Berenta, Lorentowicza czy Tetmajera była tzw. „śmiercią naturalną”. Wszyscy wymienieni nie uniknęli przecież udręczeń chłodu, złego odżywiania i braku należytej opieki lekarskiej. Ale nie to w porównaniu z tragicznym zgonem Kadena czy Irzykowskiego.

Długą listę strat otwierają samobójcy. Pierwszym z nich był poeta Józef Aleksander Gałuszka zmarły 6. IX. 1939 na dwa tygodnie przed Witkacym. Ten zaś odebrał sobie życie nie tak sobie, jak relacjonuje Bartelski, ale konkretnie na wieść o wkroczeniu wojsk sowieckich, gdy uświadomił sobie że wpadł w pułapkę a zbyt dobrze pamiętał Rewolucję Październikową, której rocznie na pewno by nie świętował. Bartelski cytuje opinię Bolesława Micińskiego, który w eseju o Witkacym odważnie zaryzykował twierdzenie, że taką właśnie śmierć uważał za „jedyne wyjście” dla pisarza, który „nie miał już przed sobą nowych możliwości twórczych” (?). Bartelski nie kwestionuje takiego postawienia sprawy, wysuwa jednak dwie alternatywy: samobójstwo w przystępie załamania albo w pełni świadomości.

Straty wojenne w ścisłym znaczeniu tego terminu otwiera nazwisko Józefa Czechowicza, który zginął w Lublinie od bomby samolotowej 9. IX. 1939. Pierwszą ofiarą okupacji był Rafał Blüth, historyk literatury, zamordowany 17 listopada 1939. Dalej, z wariantami okoliczności egzekucji a tą samą potwornością, snuje się łańcuch nazwisk, z których każde ma tragiczną wymowę. Czas nie pomniejszył rozmiarów strat, ale dodał im znaczenia, jak wskazują przykłady Brunona Schulza i Witkacego.

Środkową część książki wypełnia obraz działalności młodego pokolenia pisarzy, które — gdyby doczekało końca wojny — mogło ukształtować odmiennie obraz wczesnej literatury powojennej. Dwaj zwłaszcza: Krzysztof Baczyński i Andrzej Trzebiński mieli wszelkie szanse odegrania zasadniczej roli. Trzeci, Tadeusz Borowski, poszedł śladami Witkacego, przenosząc śmierć nad zmórę teraźniejszości.

Gdy idzie o Kraj Bartelski, nie ogranicza się do omawiania losów okupacyjnych czołówki pisarskiej, przypominając np. Marię Jehanne Wielopolską, poetkę Jana Miernowskiego czy związaną z Kasą im. Mianowskiego Felicję Kruszewską, autorkę utworów scenicznych i poetkę.

Na plus należy zapisać, iż Bartelski stawia jasno sprawę pomocy Rządu Polskiego w Londynie dla pisarzy w Kraju, pamiętając o przemilczeniach Nałkowskiej i błędnych komentarzach wydawców jej „Dziennika z lat okupacji”. Dziennik ten, podobnie jak zapiski Irzykowskiego, Klukowskiego a nawet Goetla, dostarczył zresztą Bartelskiemu wymownych cytat, podkreślających tragizm sytuacji.

Zwiężłość opracowania nie pomniejsza rozmiarów hekatombi, może je nawet podkreśla i wzmacnia. Miejmy nadzieję, że jest to pierwsza wersja, niepełna i pośpieszna, wymagająca retuszu i uzupełnień w atmosferze wolnej od nacisków redakcji wydawnictwa i ingerencji cenzury, wyraźnie dających się wyczuć w obecnym wydaniu.

POEZJA

Marek SKWARNICKI: *Wiersze wybrane*. Kraków, 1974, Wydawnictwo Literackie, 80, str. 133, portret autora.

„Spodek” z *Tygodnika Powszechnego* jest nadto autorem dobrej powieści „Marcin” (1967), ex-bibliotekarzem — i poetą. Urodzony w roku 1930, osiągnął wiek, w którym niemal wypada dać czytelnikom podsumowanie dotychczasowej twórczości. Tym właśnie są „Wiersze wybrane”, przynoszące przedruk z tomików: „Papierowy dzwon” (1961), „Rdza” (1967), „Cierń”

(1971) i garść nowych wierszy, z których najciekawsze jest „Drzewo”, bliskimi węzłami pokrewieństwa związane z „Traktatem poetyckim” Miłosza. Takie poetyckie syntezy historii literatury mieszcza się wygodnie w tradycji pseudoklasycyzmu. Tymon Zaborowski spłodził np. w roku 1816 „Parnas we śnie”, pisany pod dyktando Boileau’a, ale operujący materiałami polskimi. Takie drzewa genealogiczne — w tym wypadku poezji — mają swoisty wdzięk. Oto strofa dotycząca Miłosza:

„Ba, nawet Miłosz nad swym oceanem,
który co chwila barwy świata zmienia
gdy lampę gasi zmęczoną nad ranem
uraca do miasta swego bez imienia.
A gdy snu fala spokojnie się łuszczy
lasy podwodne widzi, głębie puszczy.

..... I wiersz się potoczy
jedynym sensem, który zachowuje
język rodzinny, wspólna nasza mowa.
Ocean głazy twarde poleruje,
nieboskłon chmury, a poeta — słowa.
Tak mimo swego uniwersalizmu
pozostał Miłosz związany z ojczyzną”.

„Złote drzewo” poezji korzeniami sięga do prasłowiańskiej mitologii, wyciągnęło się wzwyż i rozrosło na podglebiu Antyku. W zgrabny jedenasto- zgłoskowiec, wydobyty na tę okazję z lamusa, odczyszczony i odnowiony, zamknięte są pochwały starych poetów (hierarchia: Norwid, Słowacki, Mickiewicz) — potem Wyspiański i jeden tylko Skamandryta-Lechoń, skaczący z okna „przeciw światu, w którym brak serca, przyjaźni i kwiatów”. Przegląd poezji współczesnej otwiera Różewicz. Po nim: Herbert, Szymborska, bardzo ładnie pokazany Harasymowicz i „sąd poezji” Tadeusza Nowaka. Poemat zamyka piękną klamrą konkluzja:

„Drzewo poezji. Ono od początku,
od rytmu morza i przemian pór roku
jest miarą ładu, harmonią porządku,
światłem nadziei w ludzkich sprawach półmroku.
Co nie oznacza, że jest bardzo łatwo
naprzód zobaczyć, potem wierzyć w światło”.

Gdzie na tym drzewie odszukać gałązkę Skwarnickiego? Nie żeby go powiesić, broń Boże, nie zasłużył — ale posadzić. Niech dalej ćwierka.

Poeeci wielcy i uznani, z Różewiczem i Herbertem na czele, obudzili zainteresowanie poezją współczesną na niebywałą skalę, ale sami głodu tego nie mogą zaspokoić. Walnie przyczynili się do masowej produkcji wierszy, tak obfitej, że nie podobna nadążyć z lekturą. Skwarnicki wyszedł z tego masowego biegu na przelaj z dobrą lokatą. Nie jest, to prawda, odkrywcą nowych technik, ale już zastane stosuje inteligentnie. Pomaga mu w tym otrząskanie ze światem, bo gdzie go nie posieli? A już najbardziej zażyła znajomość wielkiej poezji amerykańskiej. Dlatego stawiam wyżej od innych jego wierszy amerykański cykl z „Rdzy”.

Myślę także, że ma rację, gdy w jednym z najnowszych swych utworów wyzywa — niemal słowami Słonimskiego:

„Wróćmy do prostoty z naszego uwikłania.
Porzućmy wszystkie style
jak stare ubrania.
Włożmy do ust kamienie,
od nowa ćwicmy wymowę”.

Ta demostenesowska recepta może pomóc niejednemu, włącznie z autorem tomu.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Visitez l'U.R.S.S.

Trudności napisania przewodnika po Związku Sowieckim są znaczne i nie dadzą się ukryć. Wiedział o tym zespół, opracowujący grubą księgę z cyklu „Les Guides Fodor”*, i postanowił nie ukrywać niczego, jedynie co nieco zmiekczać. Czytelnik dowiaduje się zatem, że podróż na Wschód może być prawdziwą przygodą, co w dobie szukania niebanalnych wrażeń wakacyjnych jest zachęcające; że gościnność sowiecka jest zniewalająca, krajobrazy rozmaite i barwne, a kuchnia — której, jak przystało na księgę dla Francuzów, poświęca się odpowiednio wiele uwagi — egzotyczna i zaskakująca dla podniebienia, bo nie tylko w niej „chtchi da kacha” (zachowujemy pisownię oryginału), ale i „borchtch” a także „chachlik”, nie mówiąc o innych cudach. Żeby jednak temuż czytelnikowi nie zakreślić się w głowie od nadmiernych nadziei nowy „Fodor” uprzedza lojalnie, że podróżując po Związku będzie „praktycznie odcięty od świata” (str. 43), iż „zdarza się, że turyści odwiedzający swych rosyjskich przyjaciół są indagowani przez miejscowe władze albo nadgorliwych członków partii” (str. 58), że wyznaczona trasa trzeba się trzymać ściśle, dyskusji niepotrzebnie nie wszczynać, niczego bez pozwolenia nie fotografować, „unikać prowokatorów, przygodnych anich w kostiumie kąpielowym, a w ogóle najlepiej założyć „że wszystko co nie jest wyraźnie dozwolone jest formalnie zakazane” (str. 12). Co zaś dotyczy rozkoszy podniebienia to i tu prawdomówny „Fodor” radzi udawać się do restauracji z „Wojną i pokojem” dla skrócenia czasu oczekiwania na kelnerów i nie upajać się przedsmakiem nocnych lokali, ponieważ „nocny Leningrad jest tak samo martwy jak Moskwa” (str. 250).

Pochwalmy tę metodę; czytelnik „Fodora” istotnie wie z grubsza co go czeka, i skoro się już na swoją przygodę *à la soviétique* zdecyduje, to nie ma prawa się skarżyć, gdy zostanie potraktowany jako przypuszczalny agent lub deprawator, albo przynajmniej obsołaczone, przy byle okazji, na czym świat stoi. O ile tylko przybysz ów będzie w stanie naprawdę zrozumieć, co to za dziwo ten Związek! „Fodor” robi co może, żeby w opisach i komentarzach

* U.R.S.S., Les Guides Fodor, éditions VILO, Paris, 1975, str. 518, 28 fotografii czarnych, 10 kolorowych, 10 planów miast, 8 map regionalnych, plan ogólny, rysunki.

zrach wstępnych parszywość systemu określić eufemistycznie — przewodnik powinien przecież być cenzuralny! — to i owo kładąc na karb a to przysłówiowej „chirokoy douchi”, a to „kolektywizmu”, do którego jakoby narody sowieckie mają szczególne predyspozycje. Szereg kwestii — np. narodowościowych — zostało zakłajstrowanych; antysemityzm pominięto milczeniem, lub zweeksławiano na tory osobistych uprzedzeń Stalina; emigracja żydowska okazuje się sprawą właściwie rozwiązana. Za to w innych miejscach „Fodor” prawdę gada: i o tym, że szczególna towarzyszość Rosjan i innych wynika także z ograniczeń życia publicznego, rekompensowanych na forum domowym; i o ciężkiej doli kobiety, rzekomo całkowicie wyemancypowanej po to, żeby pracować ponad siły; i wreszcie że „system sowiecki okazał się niezdolny do zmienienia ludzkiej natury; wieśniacy dają prym działkom przyzagrodowym, a praca dla kołchozu znajduje się na drugim miejscu” (str. 36).

O szczegółach już ściśle turystycznych sądzić trudno, bo trzeba byłoby wszędzie być i sprawdzić. Na pewno wiele tu pożytecznych informacji; już samą — kusą — listę miejscowości, do których cudzoziemców się wpuszcza, warto przestudiować i pokiwać nad nią głową. Nieprawda tylko że Druskieniki i Pałanga to Azja Środkowa (str. 50); tak daleko przecież przed wojną nie sięgaliśmy. Nie zupełnie wiadomo, dlaczego np. miasta Sewastopol i Kercz są turystycznie opisane, choć nie można do nich jeździć; brak tu konsekwencji. Nijak nie może „Fodor” wykrztusić, że matka-Wolga jest, wraz z wieloma leżącymi nad nią miastami, w licznych swych partiach po prostu zakazana dla cudzoziemców, i wykrętnie tłumaczy, że w Rybinsku lepiej nie wsiadać i że w Saratowie statki się nie zatrzymują; zaś niemałe przecież grody jak Gorki (dawny Niżny Nowogród) i Kujbyszew (dawna Samara), po prostu pomija milczeniem. Czego tu się wstydić za władzę sowiecką, której, bądźmy spokojni, żadne „trzęcie koszyki” z Helsinek nie przeszkodzią pewnie i w przyszłości zamykać całe ogromne połacie kraju na wielką więzienną kłódkę?

Nie poprzestając na turystyce „Fodor” chce również dawać zwięzłe wprowadzenia w różne sfery życia. Zapewne jest to zasada generalnie w takich przewodnikach przyjęta, ale jej wykonanie gdzieś tam szwankuje. Dotyczy to szczególnie sztuki; pracował nad nią ktoś nie całkiem widać kompetentny, skoro uśmiercił bardzo żywotnego po dziś dzień pisarza Simonowa (w roku 1960!), a nie wiedział, że zmarli już Burluk i Kruczonech; skoro chcąc nazwać Ilfą i Pietrową wymienił dwa razy tylko tego ostatniego (z nazwiska i pseudonimu — str. 162), a o Bułgacowie napisał rewelacyjnie że ów „zdobył sobie reputację ortodoksyjnego dramaturga” (a to ci ortodoks, który przez całe życie oczekiwał się zezwolenia na wystawienie jednej właściwie sztuki!). Przy okazji „Iwan Groźny” Eisensteina został zaliczony do kina niemego, natomiast neorealizmu w ostatnich latach sowieckiej kinematografii w ogóle nie zauważono.

Nikt jednak nie zechce zdobywać rzetelnej wiedzy o sztuce przy pomocy przewodnika, więc braki tego typu nie są aż tak istotne. Księga Fodora może spełnić swoje zadanie, zwłaszcza że w samym Związku Sowieckim ogólnego przewodnika chyba w ogóle do tej pory nie wydano, a — jak twierdzą znawcy — dostanie w jakimkolwiek mieście planu tegoż czy przewodnika po nim jest prawie nie do pomyślenia — widać czujność ciągle działa! Co mówić o planach miast, skoro według L. Władimirowa, autora „Sowieckiego kosmicznego bluffu” wszystkie miasta ZSSR są na wszystkich mapach poprzesuwane w stosunku do siatki współrzędnych. Tak utrudnia się pracę kohortom imperialistycznych dywersantów, nasyłanych po to żeby wyspiegiować do cna wszystkie tajemnice wielkiej ojczyzny tiurem i łągrows.

Jeśli ci, którzy z „Fodorem” pod pachą wjadą do tego orwellowskiego kraju, sami coś z tego zrozumieją, i swoją obecnością izolację choć trochę naruszą, to już dobrze. *Bon voyage!*

Nadesłane nowości wydawnicze

- ILIŃSKI (Paweł S., Ks. Dr). *Błogosławiony Maksymilian Kolbe na tle epoki*. Str. 286 i 2 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn, 1975).
- NOWAKOWSKI (Tadeusz). *Byłe do wiosny*. Powieść. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1975; cena £2.70).
- MACKIEWICZ (Józef). *Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy*. Str. 314. (Wyd. Kontra, Londyn, 1975).
- CZUKOWSKA (Lidia). *Opustoszały dom*. Tłumaczenie z rosyjskiego: Jerzy Szperak. Przedmowa Michała Hellera. Str. 134 i 2 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund Ltd., Londyn, 1975).
- ZAHORSKI (Witold). *Polak we Włoszech*. Wydanie czwarte. Okładkę projektowała i wykonała rysunki Elżbieta Kufirska-Zahorska. Str. 266. Liczne fotografie oraz XXIV strony rysunków schematycznych Samuela Tyszkiewicza, typografa florenckiego. Cena — Lit. 2500.
- BRUS (Włodzimierz). *Uspołecznienie a ustrój polityczny*. Na tle doświadczeń socjalizmu wschodnioeuropejskiego. Str. 295 i 9 nlb. (Wyd. „Aneks”, Uppsala, 1975).
- RAINA (Peter). *Stosunki polsko-niemieckie 1937-1939*. Prawdziwy charakter polityki zagranicznej Józefa Becka. Str. 171 i 5 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1975).
- PODGÓRECKI (Adam). *Opowieści Si-Tiena*. Str. 77 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1975).
- BIELIKOWICZ (Stanisław). *Wincuk gada*. Str. 214 i 2 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1975; cena zł. 20).
- Olecko. *Z dziejów miasta i powiatu*. Str. 405 i 3 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1974; cena zł. 55).
- CZAYKOWSKI (Bogdan). *Zagadnienie oryginalności w romantyzmie polskim*. Str. 47-67. (Nadbitka z *Canadian Contributions to the Seventh International Congress of Slavists*, Warsaw, August 21-27, 1973; wyd. Mouton, The Hague, 1973).
- LICHTEN (Józef). *Abraham Heschel — życie i dzieło*. Str. 61-69. (Nadbitka z *Biuletynu Towarzystwa Przyjaciół Teologii i Filozofii Chrześcijańskiej*, Rok V, VII-XII, nr 2, 1975).
- La Guerre polono-soviétique 1919-1920*. Str. 150 i 2 nlb. (Wyd. L'Age d'Homme, seria: Histoire et Temoignages, Lausanne, 1975).
- Les causes cachées de la Deuxième Guerre mondiale*. Praca zbiorowa pod redakcją Henry Coston'a. Str. 222 i 2 nlb. (Wyd. Lectures Françaises, Numéro spécial, Mai 1975; cena F. 5,00).
- PAWLAK (Ada). *Je refuse la nuit*. Str. 163 i 3 nlb. (Wyd. Gilles Tautin, Paryż, 1974; cena F. 22).
- Bibliographie des œuvres de Léon Chestov*. Opracowała Nathalie Baranoff. Str. 96. (Wyd. Institut d'Etudes Slaves, Paryż, Seria: Ecrivains russes en France, Tome XXXVI Bibliothèque Russe de l'Institut d'Etudes Slaves, 1975).

- WYRWA (Tadeusz, Dr). *Le historique de droit français et étranger*, No 1, Janvier-Mars 1975, publiée avec le concours du Centre National de la Recherche Scientifique, Paryż).
- Pour la libération de Kuznetsov et de ses amis*. Broszura okolicznościowa, wydana przez Bibliothèque juive contemporaine à Paris, mai 1975 — seria: Les Juifs en Union Soviétique. Str. 28.
- MATEJKO (Aleksander). *Négociation de groupe et participation en Pologne*. Str. 143-162. (Nadbitka z *Revue de l'Est*, Mars 1975, Volume 6, No 1).
- HŁASKO (Marek). *The Graveyard*. Przekład z polskiego Norberta Gutermana. Tytuł oryginału *Cmentarze*. Str. 126 i 4 nlb. (Wyd. Greenwood Press, Publishers, Westport, Conn., 1975 — przedruk z wydania E. P. Dutton and Co., Inc. z 1959).
- SEDURO (Vladimir). *Dostoevski's Image in Russia Today*. Str. 508 i 6 nlb. (Wyd. Nordland Publishing Company, Belmont, Mass., 1975; cena \$ 18,50).
- Poland Between Germany and Russia 1926-1939 — The Theory of Two Enemies*. Praca zbiorowa. Str. 72 i 6 nlb. (Wyd. Alexander Koczyński i Tadeusz Świętochowski, — J. Piłsudski Institute of America, Inc., New York, N.Y., 1975).
- Ukraine in the Seventies*. Papers and Proceedings of the McMaster Conference on Contemporary Ukraine, October 1974. Redakcja — Peter J. Potichnyj. Str. 355 i 1 nlb. (Wyd. Mosaic Press, Oakville, Ontario, 1975, Volume 1, number 1).
- Current Soviet Leaders — Les Leaders soviétique contemporains*. A Cumulative Guide to Officials and Notables in the USSR. Str. 52 i 6 nlb. (Wyd. Mosaic Press, Oakville, Ontario, 1975, Volume 1, number 2).
- From Prairies to Cities*. Papers on the Poles in Canada — pod redakcją Benedykta Heydenkorna. *Studies* 9. Str. 79 i 1 nlb. (Wyd. Canadian-Polish Research Institute, Toronto, Ontario, 1975).
- WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *The Ecology of Knowledge*. Str. 258-302. (Nadbitka z *Science and Society — Past, Present and Future*, The University of Michigan Press, Ann Arbor, 1975).
- SKOLIMOWSKI (Henryk). *The Scientific World View and the Illusions of Progress*. Str. 52-82. (Nadbitka z *Social Research*, Spring, 1974).
- SKOLIMOWSKI (Henryk). *Polish Aesthetics in the 20th Century*. Str. 7. (Odbitka z *The Polish Review*, wyd. Polish Institute of Arts and Sciences in America, Inc., Volume XIX, Nos. 3-4, pp. 99-105, New York, N.Y.).
- MATEJKO (Alexander). *The Sociological Nature of Complex Organizations*. Str. 50. (Odbitka z *International Behavioural Scientist*, December 1974, Volume VI, number 4, wyd. Sadhna Prakasham, Meerut — India).
- TERLECKI (Tymon). *The Dionysian and Apollinian Antinomy in Kazimierz Wierzyński's Early Poetry*. Str. 515-538. (Nadbitka z *Polish Historical Antecedents of Surrealism in Drama*, 1975).
- SKOLIMOWSKI (Henryk). *The Structure of Thinking in Technology*. Str. 72-85. (Nadbitka z *Contributions to a Philosophy of Technology*, 1974, wyd. D. Reidel, Dordrecht — Holandia).
- PRYTSAK (Omelan). *Czemu katedry ukrainoznawstwa w Harvardzie?* A Selection of Articles concerning Ukrainian Cultural Policy (w języku ukraińskim). Str. 188. (Wyd. Ukrainian Studies Chair Fund, Inc., Cambridge, Mass., 1973).

BERDNYK (Oteś). *Zołoti worota*. Opowieści naukowo-fantastyczne w języku ukraińskim. Str. 163 i 5 nlb. (Wyd. Smołoskyp, Baltimore-Toronto-Paryż, 1975).

KALYNEC (Ihor). *Wohoń Kupala*. Poezje. Str. 46 i 2 nlb. (Wyd. Smołoskyp, Baltimore-Toronto-Paryż, 1975).

Ukraińskij Wisnyk. Wypusk 4-8. Wiosna 1974. Str. 152 i 8 nlb. (Wyd. Smołoskyp, Baltimore-Toronto-Paryż, 1975).

RADZYKEWICZ (Julian). *Lupoto-wi Skarby*. Opowiadania historyczne w języku ukraińskim. Str. 288 i 4 nlb. (Wyd. „Dniprowa Chwyla”, Monachium, 1975).

Bibliografija wydań ukraińskoj emigracyjnoji literatury 1945-1970. Opracowanie Bohdana Romanenczuka. Str. 96. (Wyd. „Kyiv” Publishing, Philadelphia, Pa., 1974).
The Universal Declaration of Human Rights. Tekst w języku białoruskim. Str. 16 (wyd. fotograficzne).

(Wyd. John i Alice Piotrowski, Byelorussian Charitable Educational Fund, Gainesville, Florida, 1975; cena Dol. 1,50).

Platon — Protagoras, Greater Hipias. W języku białoruskim. Str. 171 (wyd. fotograficzne). (Wyd. John i Alice Piotrowski, Byelorussian Charitable Educational Fund, Bainesville, Florida, 1975; cena Dol. 5,00).

WIRPSZA (Witold). *Die Generation 70 oder Die äsopische Sprache der jungen polnischen Lyrik*. Str. 193-214. (Nadbitka z *Akzente — Zeitschrift für Literatur*, Wyd. przez Hans Bender, Heft 3, Juni 1975, Carl Hanser Verlag, Monachium).

KORZEC (Paweł). *Polen und der Minderheitenschutzvertrag (1919-1934)*. Str. 516-555. (Nadbitka z *Jahrbücher für Geschichte Osteuropas*, N.F. Band 22, Heft 4, 1975, Franz Steiner Verlag, Wiesbaden).

POLSKA KSIĘGARNIA ORBIS

Przedstawicielstwo KULTURY i INSTYTUTU LITERACKIEGO
na Wielką Brytanię.

Wykonujemy zamówienia pocztowe na wszystkie książki polskie,
angielskie i rosyjskie.

Zawsze na składzie duży wybór książek.

Prosimy o odwiedzenie naszego sklepu podczas pobytu w Londynie.

Katalogi książek i polskich płyt gramofonowych wysyłamy na żądanie.

W dziale antykwarycznym posiadamy szereg wyczerpanych tytułów
Instytutu Literackiego.

ORBIS BOOKS (LONDON) LIMITED,
66, KENWAY ROAD, LONDON, S.W.5. ORD. — ENGLAND.
Tel.: 370-2210.

Humor krajowy

W związku z przemówieniem, wygłoszonym przez Gierka w czasie wizyty Giscard d'Estaing w Warszawie, w którym oświadczył, że w Polsce zarobki stale rosną a ceny od szeregu lat są zablokowane, jeden z Francuzów zapytał warszawiaka:

— Czy to prawda, że u was ceny od lat nie rosną?

— Prawda. Weźmy na przykład jajko: sześć lat temu kosztowało 50 groszy, obecnie kosztuje to samo — jedynie żądają 3 złote zastawu za skorupkę...

— Co to jest rejonizacja?

— To jest tak jak w Toto-lotku*: na 49 — 6 trafionych — tam będzie mięso, a jeśli i siódmy — to także szyneczka...

— Czy można zmienić Gierka na Fiata?

— Chyba nie, ale dlaczego o to pytasz?

— Amerykanie zmienili Nixona na Forda, dlaczego my mamy być gorsi?

Amerykanin zwiedzający fabrykę samochodów w Polsce, zatrzymuje jednego z robotników i pyta:

— Ile osób u was pracuje?

— A bo ja wiem — odpowiada robotnik — chyba z połowa...

Cudzoziemiec pyta krajowca, jakby określił zmiany zaszłe w Polsce po drugiej wojnie światowej.

— Hm — odpowiedział zapytany — przed wojną jak było, tak było — ale było. A obecnie — jak jest, tak jest — ale nie ma!

Młody motocyklista zaparkował motor przy wejściu do siedziby KC w Warszawie. Zatrzymuje go milicjant i krzyczy:

— Zabieraj się stąd w tej chwili! Nie wiesz, że tu nie wolno parkować?

— Panie władza — prosi chłopiec — ja tylko na chwileczkę, tam na przeciwko sprzedają ryby...

* Toto-lotek — popularna gra liczbowa w PRL o 49 numerach, trafienie 6-ciu — wygrana milion złotych.

— A ja ci mówię, że nie wolno, zaraz mi się zabierać!

Słyszając podniesione głosy Gierek wychyla się z okna pierwszego piętra i pyta: „Co się tam dzieje?”

— Towarzyszu, pierwszy sekretarzu — melduje służbiście milicjant — ten smarkacz postawił tu swój motor, więc mu mówię, że nie wolno, bo przecież tu zaraz przyjedzie delegacja radziecka.

— Z młodymi trzeba po ludzku — odpowiada Gierek — niech już tam zostawi, tylko powiedzcie mu, żeby zamknął na kłódkę...

Rozmowa dwóch przyjaciół:

— Coś taki zdenerwowany?

— Otwieram telewizję — pierwszy sekretarz... otwieram gazetę — pierwszy sekretarz... otwieram radio — pierwszy sekretarz... Strach otworzyć konserwę!...

Znany serial amerykański Columbo cieszy się powodzeniem nie tylko w Europie Zachodniej, ale i w Polsce. Zaproszono zatem porucznika Columbo do Warszawy. Przyjechał i od razu rzucił mu się w oczy brak mięsa.

— Dlaczego u was nie ma mięsa? — zapytał.

— No, nie ma — odpowiedziano mu.

— Ale musi być jakaś przyczyna. Zastanówmy się. Kto u was rządzi?

— Polska Zjednoczona Partia Robotnicza.

— No dobrze, ale jak Zjednoczona, to z czego?

— PPS i PPR — brzmiała odpowiedź.

Columbo, jak zwykle, podrapał się w głowę, wyjął kartkę i zapisał: P Z (PPS + PPR) P R.

— Dlaczego tak dużo tych P? Co by to było gdybyśmy je skreślili? — i skreślił. — Oto jest przyczyna — powiedział, pisząc na nowo pozostałe litery: Z S R R...

CIEKAWOSTKA

Szwedzki dziennik *Expressen* podaje, że wizyta Edwarda Gierka w Szwecji w czerwcu bież. roku była najdroższą z wizyt mężów stanu gdyż kosztowała podatników szwedzkich 155.000 kor. szw. Na sumę tę, według wylczenia wspomnianego dziennika, złożyły się m.in. następujące wydatki: maitre d'hôtel — kor. 1.100; 13 czarnych limuzyn dla świty E. Gierka — kor. 27.032; specjalny samolot do Göteborga — kor. 33.500; kwiaty dla pp. Gierka — kor. 2.534; prezent dla E. Gierka (skrzynka na cygara z gołdem szwedzkim) — kor. 3.570; futro dla p. Gierka; utrzymanie świty w hotelu „Amaranten” — kor. 21.084, oraz fryzjer dla p. Gierka, który przyjechał taksówką do pałacu w Hadze pod Stockholmem i policzył sobie za to kilka tysięcy koron. (Dziennik dodaje, że jak dotąd najtaniej kosztowała Szwecję wizyta premiera Nowej Zelandii — kor. 11.000 a najdrożej wizyta premiera Finlandii — kor. 61.000.

Zebrala Zofia HERTZ

KRAJ — BLOK WSCHODNI

1-6-75

Artysta plastyk, Julian Żebrowski, który przez dwa lata przebywał w ośrodkach polonijnych w USA i Kanadzie, zorganizował w Warszawie wystawę swych 1.170 rysunków, ilustrujących życie polonijne. ■ Naczelnym redaktorem *Życia Partii* został mianowany Włodzimierz Wiszniewski, dotychczasowy zastępca kierownika Wydziału Organizacyjnego KC PZPR. Redaktorem naczelnym *Expressu Wieczornego* i *Kulis* został Michał Wojewódzki. Dotychczasowy naczelnny redaktor, Zbigniew Sołuba, został przeniesiony do służby dyplomatycznej.

2-6-75

Kapituła generalna Zakonu Paulinów, obradująca na Jasnej Górze, wybrała nowego generała Zakonu, O. Grzegorza Kotnisa.

11-6-75

Stanisław Kiermaszek został mianowany wojewodą katowickim. Poprzedni długoletni wojewoda, Jerzy Ziętek, „prosi o zwolnienie go z tej funkcji i umożliwienie mu w ten sposób skoncentrowania się na innych ważnych pracach partyjnych i państwowych”.

18-6-75

W rejonie Lubaczowa w Polsce odkryto nowe złoża siarki. Pierwsza tona zostanie wydobyta jeszcze w bież. roku.

20-6-75

Doroczne nagrody Ośrodka Dokumentacji i Studiów Społecznych w Warszawie zostały przyznane następująco: zbiorowa nagroda naukowa — Komitetowi Redakcyjnemu Encyklopedii Katolickiej KUL; nagroda specjalna — Ks. Infułatowi dr. Karolowi Milikowi w 60-lecie kapłaństwa w uznaniu wielkich zasług w organizowaniu administracji kościelnej na Ziemiach Zachodnich; wreszcie nagroda specjalna — dr. Wandzie Bieńskiej — lekarzowi leprosorium w Ugandzie, w związku z 25-leciem nieprzerwanej pracy wśród trędowatych.

21-6-75

W PRL ma być wprowadzony telex w każdej gminie. Program ten ma być zrealizowany przy końcu 1977 roku we wszystkich 2.362 gminach. W bież. roku łączność telexowa obejmuje na razie 742 gminy. Polska posiada obecnie 12 tysięcy telexów.

22-6-75

Czechosłowacja dysponuje flotą morską — 11-tu statkami o łącznym tonażu 200 tysięcy DWT. Korzysta ona z tranzytu przez porty PRL. Do chwili obecnej przeładowano w polskich portach ponad 65 milionów ton towaru z Czech.

23-6-75

W Krakowie ukazał się pierwszy numer *Przeglądu polonijnego*, który ma być kontynuacją *Problemów Polonii zagranicznej*. Na czele komitetu redakcyjnego jest doc. Hieronim Kubiak, socjolog, szef ośrodka polonijnego naukowo dydaktycznego UJ. W pierwszym numerze, na czołowym miejscu, została zamieszczona praca E. Kusielewicza, prezesa Fundacji Kulturalnej w USA, poświęcona stanowi kultury polskiej w USA.

26-6-75

Inż. Jerzy Brazert i mgr Zdzisław Grela zostali mianowani podsekretarzami stanu w Ministerstwie Budownictwa i Materiałów Budowlanych PRL.

29-6-75

W Szczecinie otworzono Konsulat Generalny NRD. ■ Dyrektor przedsiębiorstwa Domów Towarowych „Centrum”, Albin Kostrzewski, został mianowany wiceministrem Handlu Wewnętrznego i Usług.

30-6-75

W Warszawie obchodzono uroczystości 25-lecie Państwowego Teatru Żydowskiego im. Ester Rachel Kamińskiej. M.in. członkowie i pracownicy teatru otrzymali odznaczenia państwowe. Paradoxs polega na tym, że Kamińska została zmuszona do wyemigrowania z Polski i przebywa obecnie w Izraelu.

2-7-75

Papież Paweł VI mianował biskupa Bolesława Pylaka biskupem diecezji lubelskiej. ■ Prasa krajowa z najdrobniejszymi szczegółami opisywała wizytę przewodniczącego Rady Państwa PRL, Henryka Jabłońskiego, w ZSSR. M.in. p. Jabłoński wizytował Irkuck, gdzie złożył wieniec na monumentalnym pomniku żołnierzy sowieckich, sybiraków i zwiedzał ważniejsze obiekty Irkucka i okolic. Ciekawe, że w czasie tej wizyty p. Jabłoński zapomniał o odwiedzeniu Muzeum poświęconego Polakom na Syberii, mieszczącego się w dawnym kościele, wybudowanym przez polskich zesłańców po powstaniach w XIX wieku. O powstaniu tego Muzeum donosiła prasa sowiecka przed paru laty.

5-7-75

Zmarł w Warszawie Antoni Wasilewski, znany artysta grafik i dziennikarz. ■ 4.500 szkół w PRL ma być remontowanych w czasie wakacji. Są jednak kłopoty ze zdobyciem wykonawców. Tylko 40 % remontów przeprowadzą przedsiębiorstwa państwowe i spółdzielcze. Dla reszty trzeba znaleźć prywatnych rzemieślników. ■ Od 1 lipca bież. roku wprowadzono zmiany w dotychczasowym zasięgu rozprowadzania dzienników terenowych. Niektóre z nich zmieniły w związku z tym nazwy: *Gazeta Białostocka* na *Gazetę Współczesną*, *Gazeta Krakowska* na *Gazetę Południową*, *Gazeta Poznańska* na *Gazetę Zachodnią*, *Gazeta Zielonogórska* na *Gazetę Lubuską*, *Głos Koszaliński* na *Głos Pomorza*, *Dziennik Łódzki* na *Dziennik Popularny*, *Nowiny Rzeszowskie* na *Nowiny*, *Trybuna Mazowiecka* na *Naszą Trybunę*, *Trybuna Opolska* na *Trybunę Odrzańską*.

7-7-75

W Warszawie odbyło się posiedzenie komisji zjazdowej pod przewodnictwem Gierka. Przedyskutowano wstępny projekt wytycznych Komitetu Centralnego na VII Zjazd PZPR, który ma się odbyć w grudniu bież. roku. ■ W Warszawie w tej chwili jest 100 tysięcy samochodów osobowych, 20 tysięcy ciężarówek, 3.500 autobusów, 850 tramwajów i 25 tysięcy motocykli.

8-7-75

W Polsce odbyło się doroczne seminarium dla księży i sióstr zakonnych, którzy zdecydowali się pracować wśród Polonii oraz na misjach. W seminarium wzięło udział 83 osoby. Mniej więcej połowa będzie pracować w ośrodkach polonijnych. Misjonarze udadzą się do Afryki, Indonezji, Japonii i Australii. Seminarium zostało zorganizowane przez Urząd do Spraw Wyznań i jego celem było zaznajomienie księży z podstawowymi problemami społecznymi, ekonomicznymi i kulturalnymi PRL. Jak dotąd nie pomyślano na

Zachodzie o uzupełnieniu wykształcenia misjonarzy w problematyce i specyfice emigracyjnej.

10-7-75

W Związku Sowieckim ukazał się przekład wspomnień osławionego kapitana Czechowicza „7 trudnych lat”. ■ W PRL rozpoczęły się egzaminy wstępne na wyższe uczelnie, które w tym roku przyjmą 69 tysięcy studentów. Do egzaminu zgłosiło się 120 tysięcy kandydatów. Prasa pisze o fatalnych rezultatach egzaminów w dziedzinie literatury, filologii i historii. Prasa podaje również, że w dziedzinie znajomości czterech języków nowożytnych największą popularnością cieszył się język rosyjski, najmniej osób decydowało się na język francuski. ■ Inż. Romuald Kozakiewicz został mianowany wice-ministrem w Ministerstwie Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych.

12-7-75

Zmarł w Krakowie, w wieku 80 lat, prof. Stanisław Kulczyński, biolog-botanik, jeden z pierwszych, który dołączył do Komitetu Lubelskiego, występując pod firmą Stronnictwa Demokratycznego; w latach 1952-56 był wice-marszałkiem Sejmu, b. zastępcą Przewodniczącego Rady Państwa. Głównym osiągnięciem życiowym prof. Kulczyńskiego było zorganizowanie słynnego Kongresu Intelktualistów we Wrocławiu w roku 1948. ■ W Warszawie zmarł, w wieku 87 lat, prof. Jan Wolski, wybitny teoretyk spółdzielczości.

14-7-75

We Wrocławiu ma miejsce konferencja popularno-naukowa pt. „Spotkania polonijne 1975”. Głównym tematem jest udział Polski w zwycięstwie nad faszyzmem oraz zagospodarowanie Ziemi Zachodnich. Wśród uczestników wybiła się p. Józefa Radzyńska oraz „pisarz”, Antoni Gronowicz z Nowego Jorku. ■ W Budapeszcie zmarł, w wieku 79 lat, wybitny pisarz węgierski József Lengyel. ■ Kazimierz Dejmek w łódzkim Teatrze Nowym przygotowuje spektakl oparty w całości na staropolskich tekstach anonimowych z XV, XVI i XVII wieku. Przedstawienie zostało zatytułowane „Dialogus de passione albo żałosna tragedia o męce Jezusa”.

16-7-75

W Krakowie został otwarty IV Światowy Sejmik Działaczy Polonijnych, w którym bierze udział 115 uczestników z 16-tu krajów. Jednocześnie rozpoczynają pracę letnie szkoły kultury i języka polskiego przy Uniwersytecie Jagiellońskim, Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu oraz Uniwersytecie im. B. Bieruta we Wrocławiu. Do letniej szkoły w Krakowie zgłosiło udział 500 kandydatów. Ponadto będzie zorganizowane we Wrocławiu spotkanie, poświęcone dyskusji nad udziałem Polaków w II-ej wojnie światowej. Mają przyjechać na ten zjazd kombataneci z 16-tu krajów.

20-7-75

Wybitny pisarz czeskosłowacki, Milan Kundera, wyjechał z Czechosłowacji do Francji, gdzie w przyszłym roku akademickim ma wyklądać literaturę czeskosłowacką na uniwersytecie w Rennes. Przed wyjazdem Kundera oświadczył, że nie ma zamiaru opuścić Czechosłowacji na stałe. ■ Na IX Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Moskwie Andrzej Wajda otrzymał jedną z trzech równorzędnych pierwszych nagród za film „Ziemia obiecana”.

21-7-75

Dyrektor departamentu międzynarodowych organizacji MSZ, Henryk Jaro-

szek, został mianowany stałym przedstawicielem PRL przy ONZ w Nowym Jorku. ■ Oślawiony Pałac Kultury i Nauki w Warszawie liczy 20 lat, został bowiem otwarty 21 lipca 1955 roku. W Pałacu mieści się 30 różnych instytucji i pracuje 10 tysięcy osób.

22-7-75

Deszcz nagród w PRL: nagrody Ministra Kultury i Sztuki z okazji święta 22-go lipca otrzymali — Aleksander Bocheński za książkę „Wędrowki po dziejach przemysłu polskiego”, Tadeusz Hołuj, Kornel Filipowicz, Artur Sandauer, Jerzy Harasymowicz, Zbigniew Lisowski, Wiesław Kielar, Edward Redliński, Bogdan Wojdowski; w dziedzinie „upowszechnienia” Dominik Horodyński i Barbara Kostrzewska; liczne nagrody z dziedziny plastyki, teatru, muzyki i filmu. Nagrody Polityki 1975 — zespół historyków, który przygotował wydawnictwo pt. „Ludność cywilna w Powstaniu Warszawskim” — za redakcję całości Czesław Madejczyk, oraz M. M. Drozdowski, Maria Maniakówna, Tomasz Strzembosz, Marek Getter, Andrzej Janowski, Władysław Bartoszewski, Lucjan Dobroszycki. Za książkę „Polska Ludowa 1944-1950 — przemiany społeczne” nagrody otrzymali: Hanna Jędruszcak, Krystyna Kersten, Franciszek Ryszyta, Henryk Słabek, Tomasz Szarota. Anna Żarnowska otrzymała nagrodę za książkę „Klasa robotnicza Królestwa Polskiego 1870-1914”, a Stefan Żółkiewski za książkę „Kultura literacka 1918-1932”, ponadto Józefa Kuropieska za „Obozowe refleksje” oraz Zbigniew Paszkowski (pośmiertnie) za „Historię z tej ziemi”. Nagrody prasowe CRZZ otrzymali: B. Bojar (*Metalowiec*), M. Górski (*Głos budowlanych*), H. Małyszewska (*Perspektywy*), J. Maziarz (*Polityka*), i Wł. Słezak (*Magazyn Hutniczy*). Doroczne nagrody Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych za najlepsze prace naukowe i popularnonaukowe z zakresu współczesnych stosunków międzynarodowych zostały przyznane m.in.: R. Bierzankowi za „Załatwienie sporów międzynarodowych 1945-1973”, J. W. Golebiowskiemu za „Ideologia i polityka współczesnej socjal-demokracji”, J. Kokotowi za „Od Poczdamu do Helsinek”, J. Makarczykowi za „Finansowanie rozwoju gospodarczego w systemie Narodów Zjednoczonych”, J. Rajskiemu za „Odpowiedzialność międzynarodowa za szkody wyrządzone przez obiekty kosmiczne”, J. Woźniowskiemu za „Polska w GATT”, Specjalne wyróżnienie otrzymała „Encyklopedia — Świat w przekroju 1974”. Tegoroczną nagrodę redakcji pisma *Fakty* 75, ukazującego się w Bydgoszczy, otrzymał dr Włodzimierz Jastrzębski za książkę pt. „Terror i zbrodnia”. Książka dotyczy dokumentacji zbrodni w okresie okupacji hitlerowskiej w Polsce. Nagroda wynosi 10.000 zł. ■ Nagrodę redakcji *Literatura na świecie* za najlepszy przekład otrzymał Jerzy Litwiniuk, tłumacz literatury sowieckiej. Nagrodę Klubu Dramatopisarzy ZLP przyznano Kazimierzowi Wiśniakowi za scenografię do sztuki Sławomira Mrożka „Rzeźnia”, wystawionej w warszawskim Teatrze Dramatycznym. ■ Klub Zagadnień Polonijnych Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich przyznał nagrody za najlepszą publicystykę o tematyce polonijnej w prasie, radiu i telewizji w 1974 roku. Pierwszą nagrodę za programy telewizyjne pt. „Przegląd polonijny” otrzymał Bohdan Rączkowski. Dwie drugie nagrody otrzymali: Aleksandra Gradowska-Pollackowa z Polskiego Radia oraz Henryk Gałat z Polskiej Agencji Prasowej. Trzecie nagrody przyznano: Jerzemu Wojciechowskiemu z *Dziennika Ludowego*, Januszowi Wolniewiczowi z redakcji *Morze*, Władysławowi Olszedzie z *Głosu Ziemi Cieszyńskiej*.

23-7-75

Z inicjatywy Towarzystwa „Polonia” i Polskiego Komitetu Olimpijskiego odbyło się w Krakowie i w Zakopanem V-te spotkanie polonijnych działaczy sportowych (116 osób). M.in. na tym spotkaniu występował inż. Maria Jurek

z Austrii, Mieczysław Kosowski z Kanady, dr Bolesław Wysocki z USA, Gladys i Henryk Żuralscy z Anglii. Ponadto Jan Łuczak i Czesław Kaczmarek z Belgii przekazali Polskiemu Komitetowi Olimpijskiemu sztandar klubu sportowego „Polonia” z Retinne, ufundowany w 1933 roku. ■ W Warszawie zmarł, w wieku 67 lat, Zygmunt Moskwa, zastępca Przewodniczącego Rady Państwa i honorowy prezes Stronnictwa Demokratycznego. ■ „Stomil” w Dębicy przystąpił do produkcji kolorowych opon rowerowych, które wzbogacone substancjami luminescencyjnymi powodują ich świecenie w nocy. ■ Monopolistyczny eksporter książek polskich, *Ars Polona*, utrzymuje kontakty handlowe z przeszło 50-ciu krajami. Najwięcej polskich książek zakupuje ZSSR, NRD, Czechosłowacja, USA, NRF, Anglia i Francja. Największym powodzeniem cieszą się publikacje naukowe i popularno-naukowe, oraz wydawnictwa albumowe.

28-7-75

Prezydent Stanów Zjednoczonych, E. Ford, odwiedził Warszawę po wizycie w Bonn, w drodze na konferencję w Helsinkach. Po konferencji w Helsinkach odwiedzi Bukareszt oraz Jugosławie.

31-7-75

Wydawnictwo *Sowieckij Pisatel* w Moskwie wydało zbiór studiów Maksyma Rylskiego „O poezji”. W tym zbiorze duże miejsce zajmują rozważania o dziełach polskich poetów. Maksym Rylski w swoim czasie przełożył „Pana Tadeusza” na język ukraiński w sposób kongenialny.

1-8-75

W PRL wydano podręczniki szkolne na rok 1975/76. Przygotowano 29 milionów książek do nauki przedmiotów ogólnokształcących i 2.250 tysięcy do przedmiotów z zakresu szkół zawodowych. Nakład podręczników dla szkół ogólnokształcących pokrywa zaledwie 50 % zapotrzebowania. ■ Doroczne nagrody PEN Clubu Polskiego za wybitne osiągnięcia w dziedzinie przekładów przyznano: Joannie Guze za całokształt przekładów z literatury francuskiej, Maciejowi Słomczyńskiemu za przekład poetycki „Raju utraconego” Milтона, oraz Erichowi Sojce i Jarosławowi Simonidesowi (Czechy) za przekłady literatury polskiej.

ZACHÓD — EMIGRACJA

25-5-75

Pod przewodnictwem Stanisława Wąsika, prezesa Polskiej Partii Socjalistycznej odbyło się w Londynie w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym publiczne zebranie poświęcone 80-letniemu jubileuszowi *Robotnika*, centralnego organu P.P.S. *Robotnik* jest najstarszym polskim pismem politycznym. Leszek Talko, obecny redaktor *Robotnika* mówił o roli pisma w polskim życiu politycznym, a Tadeusz Prokopowicz podał zarys historii *Robotnika*. Uczestnicy zebrania uchwalili jednomyślnie rezolucję uznającą potrzebę wydawania *Robotnika* i wsparli ją darowizną w kwocie £.60. ■ W Londynie odbyło się plenarne posiedzenie Centralnej Rady P.P.S. pod przewodnictwem A. Słowińskiego. W konferencji wzięli udział przedstawiciele P.P.S. z Wielkiej Brytanii, Francji, Belgii i Szwecji. Po sprawozdaniach zostały wygłoszone dwa referaty — Wiktora Moszczyńskiego pt. „Sytuacja polityczna międzynarodowa, krajowa i emigracyjna” i Stanisława Wąsika, przewodniczącego P.P.S., pt. „Tezy Programowe”. Ustalono odbyć VIII Zjazd P.P.S. na Obczyźnie w przyszłym roku.

1-6-75

Stowarzyszenie Polaków w Rodezji obchodziło 25-lecie swej działalności. ■ Zmarł w Londynie Tadeusz Olsza, wybitny aktor rewiowy w okresie międzywojennym.

2-6-75

Prof. Paweł Łysek, wykładowca literatury polską w Queens College w Nowym Jorku, otrzymał nagrodę Fundacji im. Kościelskich przeznaczył na dwa stypendia dla studentów słuchających jego wykładów z literatury emigracyjnej.

7-6-75

Pod przewodnictwem Juliusza Sakowskiego obradowało w Londynie Walne Zebranie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Zapoznano się z planem Zarządu dotyczącym nowego wydawnictwa pod roboczym tytułem „Pamiętnik Związku Pisarzy”. Będzie on, przynajmniej w zarysach, reprezentował działalność pisarzy i instytucji kulturalnych na obczyźnie, dzieląc się na dwa działy: merytoryczny i informacyjny. W sierpniu bież. roku maszynopisy zostaną oddane do druku, wydawnictwo ukaże się pod koniec roku. Nowym prezesem Związku został Józef Garliński, do zarządu weszli: Ignacy Wieniewski — wiceprezes, Krzysztof Rowiński — sekretarz, Franciszek Wysłouch — skarbnik oraz Barbara Mękarska-Kozłowska, Bronisław Przyłuski i Marta Ryszczyńska-Stypińska. W czasie Walnego Zebrania ogłoszono wyniki obrad jury nagród pisarskich za rok 1974. Nagrodę Związku Pisarzy za całokształt twórczości literackiej i publicystycznej otrzymał Jan Fryling z Nowego Jorku; nagrodę im. Herminii Naglerowej, ufundowaną przez M. Chmielewskiego, za najlepszą książkę roku przyznano Józefowi Garlińskiemu za „Oświęcim Walczący”. Wręczenie nagród nastąpi w październiku.

14-6-75

W Londynie zmarła, w wieku 66 lat, Barbara Reńska, aktorka, mgr filozofii, zaliczona do „Grona Sprawiedliwych Świata — Yad Waszem”. ■ Zmarł w Rzymie Witold Bronowski, b. radca ambasady RP przy Stolicy Apostolskiej. W ostatnich latach współpracował z prasą szwajcarską i belgijską.

15-6-75

Dr Edwin Tempuski, który przed paru laty napisał 500-stronicową książkę pt. „Kim jest Polak” („Quem é o Polones”), wydaną przez parański Instytut Historyczno-Geograficzny, przygotowuje nową pracę w języku portugalskim „Co pozostało po emigracji polskiej po upływie 100 lat”. ■ Prof. Henryk Skolimowski spędził dwa semestry 1974/75 roku akademickiego w Oxfordzie jako Senior Associate Fellow of St. Anthony's College i miał wykłady na uniwersytecie w Sheffield, w London School of Economics, w Architectural Association School of Architecture w Londynie, etc.

21-6-75

W Domu Polskim ZPA w Wiedniu została otwarta wystawa pod nazwą „Z Sybiru do Monte Cassino”, na którą złożyło się ponad 200 oryginalnych, częściowo nie publikowanych zdjęć fotograficznych. ■ W Rappersvillu nastąpiło uroczyste otwarcie Muzeum Polskiego. Z tej okazji zorganizowano wieczór szopenowski, w którym wzięli udział młodzi pianiści szwajcarscy.

23-6-75

W Lozannie zmarł Adam Tarn, dramaturg, tłumacz, b. długoletni redaktor miesięcznika *Dialog*. ■ W Londynie zmarł, w wieku 96 lat gen. Stanisław

Lubodziecki, b. sędzia Najwyższego Sądu Wojskowego, b. Minister Sprawiedliwości w Rządzie RP w Londynie w latach 1954-1971.

26-6-75

W Instytucie Polskim w Londynie doc. dr Jerzy Łojek wygłosił odczyt „Epoka rozbiorów w badaniach historycznych w Polsce 1945-1975”.

27-6-75

Zmarł w Londynie, w wieku lat 80, płk Mieczysław Sulisławski, b. zastępca Szefa Sztabu Głównego. ■ W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór autorski Czesława Miłosza.

28-6-75

Sekcja Polska BBC zorganizowała w gmachu POSK-u w Londynie uroczyste pożegnanie Witolda Leittegera z okazji jego przejścia na emeryturę.

5-7-75

W Honfleur (Francja) została otwarta wystawa obrazów Ernesta Kosmowskiego „Poésie et lumière”. Wystawa będzie trwała trzy miesiące.

9-7-75

Zmarł w Londynie, w wieku lat 83, gen. dr Roman Odzierzyński. W czasie wojny był dowódcą artylerii w 2-gim Korpusie, po wojnie odgrywał dużą rolę w życiu emigracji londyńskiej. Był Premierem Rządu, przewodniczącym egzekutywy Zjednoczenia Narodowego i członkiem Rady Trzech.

10-7-75

W Kolonii (NRF) została zamknięta wystawa Chińskiej Republiki Ludowej — pierwsza tego rodzaju w Europie Zachodniej. Trwała dwa tygodnie. Zwiedziło ją 200 tysięcy osób, a około 2-ch tysięcy przedstawicieli kół przemysłowych i handlowych przeprowadziło rozmowy z przedstawicielami życia gospodarczego Chin.

13-7-75

Zmarł w Londynie, w wieku 71 lat, Paweł Jankowski, wieloletni szef Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP.

14-7-75

Do Domu Kombatantów w Paryżu ponownie się włamano. Włamanie dotyczyło lokalu polsko-amerykańskiego Komitetu Emigracyjnego. Tygodnik *Valeurs Actuelles* w numerze z 21. 7. br. podaje, że została skradziona kartoteka nowych emigrantów.

16-7-75

Zmarł w Paryżu, w wieku 67 lat Janusz Laskowski. Przed wojną był jednym z organizatorów „Legionu Młodych” i pracował w agencji „Iskra” oraz w *Kurierze Porannym*; podczas wojny pracował w Anglii w radiostacji „Swit”, a następnie był korespondentem wojennym oraz korespondentem polskim na procesie norymberskim. Po wojnie pracował w polskiej sekcji Radia francuskiego.

18-7-75

Jerzy Wojciechowski, profesor uniwersytetu w Ottawie, wiceprezes Kongresu Polonii Kanadyjskiej, wygłosił na Ukraińskim Wolnym Uniwersytecie w Monachium odczyt pt. „Polskie i ukraińskie grupy etniczne w Kanadzie. Stan obecny i perspektywy na przyszłość”.

nich Dzielnice Melbourne planuje budowę nowego ośrodka, który ma się składać z budynku klubowego z salą na 800 osób, restauracją i kawiarnią oraz z olimpijskiego basenu pływackiego i boisk sportowych. Przewidywany koszt wybudowania tego ośrodka wynosi milion 300 tysięcy dolarów australijskich. ■ Polskie Koło Kulturalno-Artystyczne w Melbourne ufundowało w czerwcu bież. roku nagrodę w wysokości 100 dolarów australijskich dla studenta, który uzyska na tegorocznych egzaminach *Higher School Certificate* (matura) najlepszy wynik z języka polskiego. ■ Australian Council of the Arts przyznało polskiej grupie tanecznej „Polonez” z Melbourne, dotację w wysokości 3.000 dolarów australijskich. „Polonez” obchodzi w tym roku swoje dziesięciolecie. Kierownikiem i głównym choreografem jest współzałożycielka zespołu, p. Janina Czech. ■ Od 1. 6. br. rozpoczął działalność *Medibank*. Jest to państwowa instytucja, która pokrywa wydatki obywateli na leczenie. Świadczenia *Medibank* pokrywają 85 % opłat lekarskich i całkowity koszt leczenia szpitalnego na salach ogólnych. ■ W Nowej Zelandii ukazała się książka pióra Krystyny Skwarko pt. „The Invited”. Jest to historia 733 polskich sierot, które po ewakuacji z ZSSR w 1942 roku przyjęte zostały przez rząd Nowej Zelandii. Bogato ilustrowana książka Krystyny Skwarko wydana została na prawach rękopisu. ■ W Melbourne inż. Kazimierz Nowicki ukończył badania dotyczące ilości i kategorii polskich wydawnictw, dostępnych czytelnikom w australijskich bibliotekach. Z dochodzeń tych wynika m.in., że w bibliotekach australijskich można znaleźć 512 bieżących polskich czasopism naukowych, technicznych i fachowych. Ponadto w bibliotekach tych znajduje się 14 bieżących czasopism polskich wydawanych przez polskie placówki naukowe poza granicami Kraju. ■ Australian National University w Canberze otrzymał niedawno dotację wysokości \$A 2.500 na założenie funduszu „Polish Studies” na tym Uniwersytecie. Dotację tę złożyła p. Krystyna Teresa Singler. ■ Polskie organizacje w Nowej Południowej Walii posiadają 10 własnych gmachów, w tym 7 w obrębie wielkiego Sydney. Składają się na to: 7 Domów Polskich, 1 Dom Dziecka i dwa kluby. Jedenastym obiektem są zamieszkane tereny Ośrodka Młodzieżowego. ■ W „Towarzystwie wiedzy o Polsce” w Sydney odbywają się raz na kwartał odczyty historyczne. W bież. roku płk A. Raciński omawiał „Rolę gen. Sosnkowskiego w wybuchu Powstania Warszawskiego” oraz „Projekt reform wojskowych marszałka Rydza-Śmigłego”. A. Polowiec mówił o „Rozwoju kolejnictwa na ziemiach polskich”, a E. Jakubowski o „O Polakach, ale nie o Polsce”. ■ Powstałe przy „Towarzystwie” koło Akademików Polskich, które usamodzielniało się przed trzema laty, urządza obecnie odczyty i pogadanki prawie co miesiąc na tematy społeczne, polityczne, gospodarcze i narodowościowe z udziałem gości litewskich i ukraińskich.

KRONIKA KANADYJSKA

Siedzenie na płocie, nawet z kolecami, to tradycja kanadyjskiej liberalnej polityki zagranicznej. Mistrzem tej metody był wieloletni Kierownik polityki zagranicznej, później premier, Lester B. Pearson. Jego następca na fotelu premierowskim, Pierre Elliot Trudeau, i uczniowie jego na stanowisku ministra spraw zagranicznych kroczą w jego ślady. Zachowują więzy z USA, ale nie zrywają żadnych kontaktów z rywalami czy nawet wrogami Stanów Zjednoczonych. Wykonywano liczne zamówienia wojskowe dla amerykańskich sił zbrojnych walczących w Wietnamie, ale równocześnie udzielano azylu dezertantom oraz tym, którzy uciekli przed pobytem. Nawiązano stosunki z Pekinem jeszcze przed manewrami Kissinger-Nixon. Ottawa handluje na

całego z Hawaną, udziela kredytów oraz dostarcza Castro chyba najwięcej dewiz turystycznych. Zorganizowano bowiem stały lotniczy ruch pasażerski: tygodniowe wycieczki w cenie od około 350 dolarów wwyż. Przelot, mieszkanie, utrzymanie i ewentualne wycieczki według ściśle określonego programu pod kierownictwem przewodników. Żadnych odchyśleń, żadnych zwiedzań na własną rękę. ■ W Toronto, we wrześniu miała się odbyć międzynarodowa konferencja poświęcona zagadnieniom kryminalistyki. Jedną z licznych konferencji organizowanych przez ONZ. Poprzednia odbyła się w 1970 roku w Japonii i wówczas to Kanada zgłosiła gotowość goszczenia następnej u siebie. W międzyczasie zaszyły jednak zmiany w ONZ: przyznano PLO (Organizacji Wyzwolenia Palestyny) status obserwatora a więc można było oczekiwać iż przedstawiciele tej organizacji przybędą do Toronto. Gdyby Ontario nie znajdowało się w okresie przedwyborczym wówczas sprawa ta nie nabierałaby znaczenia, ale prowincjonalny rząd konserwatywny prem. Williama Davisa przygotowuje się do wyborów. Trudnych już chociażby dlatego, że partia ta jest u steru od 1943 roku. W składzie rządu są dwaj Żydzi a głosy wyborców żydowskich mają duże znaczenie. Premier Davis pośpieszył z oświadczeniem iż nie zamierza być gospodarzem dla PLO, nie życzy sobie tej konferencji w Toronto; Izba Adwokacka oraz Stowarzyszenie komentatorów policji prowincji Ontario zaapelowały do rządu federalnego, by cofnął zgodę na tę konferencję. Wszystkie trzy stronnictwa polityczne reprezentowane w ontaryjskiej Izbie Ustawodawczej, a więc konserwatyści, liberałowie i socjaliści, zajęły zgodne stanowisko. Ponadto ruszyły do natarcia poszczególne organizacje żydowskie, wysyłając petycje depesze itp. Wreszcie delegacja została przyjęta przez ministra spraw zagranicznych MacEachena. Grupa arabska nie pozostała oczywiście bezczynna. Wysłała również depesze, ogłaszała deklaracje, w których m.in. przestrzegała rząd przed konsekwencjami nie dopuszczenia delegacji PLO. Oskarżając Izrael o terror zapowiedziano, iż państwa arabskie zastosują wobec Kanady represje gospodarcze. W Izbie Gmin bombardowano premiera Trudeau pytaniami, domagając się jasnej odpowiedzi w sprawie konferencji ONZ w Toronto z udziałem PLO. Chyłkiem odleciał do Nowego Jorku min. MacEachen i grzecznie poprosił dr. Waldheima, by odroczył tę ambarasującą konferencję na bliżej nieokreślony okres. No i nikt nie wygrał, ani też nie przegrał. Naturalnie mówi się iż rząd postąpił po tchórzowsku, a oczywiście można użyć i innego terminu. ■ Nie tylko z Kubą Kanada utrzymuje doskonałe stosunki, ale również z Chile. Tu i tam dyktatura, ale odmiennej maści. Te przyjazne stosunki z Chile dają ciekawe rezultaty. I tak np. Chile zwalnia więźniów politycznych, a Kanada przyjmuje ich jako imigrantów. Ustawa imigracyjna nie przewiduje wprawdzie takiej praktyki, ale humanitaryzm kanadyjskich liberałów jest silniejszy od ustaw, potrafi przełamać wyjątki. Można zapewne zapytać dlaczego przyjazne stosunki z ZSSR nie dają podobnych rezultatów? Czyżby junta chilijska była bardziej humanitarna aniżeli władcy „najbardziej postępowego państwa na świecie”? A może kanadyjscy liberałowie reagują tylko na krzywdy i cierpienia pewnej grupy politycznej? ■ Przedstawiciele 7 grup etnicznych, w tym polskiej, udali się do Ottawy przed odlotem delegacji kanadyjskiej do Helsinek, by przedłożyć min. MacEachen petycję i przedstawić mu postulaty tych grup. Petycję złożono, ale delegacja nie mogła zobaczyć się z ministrem, który usprawiedliwił się nawałem zajęć i brakiem czasu. Komitet porozumiewawczy tych grup urządził milczące demonstracje protestacyjne w 8 miastach. W Toronto trwała 72 godziny na placu przed ratuszem, to znaczy przez cały czas trwania konferencji. W godzinach nocnych manifestanci okracali plac z płonącymi świecami. ■ Parafia pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej, Królowej Korony Polskiej, w Wilno, Ontario, obchodziła uroczystości stulecia istnienia. Wilno znajduje się na obszarze ontaryjskich Kaszub. Jest to teren

pierwszego osadnictwa polskiego w tym kraju. Pierwsze grupy przybyły bowiem tutaj jeszcze w 1858 roku. Potomkowie tych pionierów — czwarte i piąte pokolenie Kaszubów stanowi nadal większość ludności, zachowało obyczaje i tradycje ludowe, nazwiska (w zniekształconej pisowni) i pewną znajomość języka. „Stolicą” tego rejonu jest miasteczko Barry's Bay. Na uroczystości stulecia i koronacji obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej przybyli: ks. biskup dr Władysław Rubin z Rzymu, ordynariusz diecezji biskup J. R. Windle, poprzedni ordynariusz biskup W. J. Smith oraz księża polscy z licznych parafii ontaryjskich i z Montrealu. ■ Pod naciskiem rybaków oraz przemysłu rybnego sowiecka flota rybacka pozbawiona została przez rząd kanadyjski prawa zawijania do portów na wybrzeżu atlantyckim. Jest to akt represyjny spowodowany lekceważeniem przez flotę sowiecką postanowień o dopuszczalnych normach połowu. Flota sowiecka nie będzie mogła dokonywać zakupów, przeprowadzać reperacji, uzupełniać zapasów, nabywać paliwa w kanadyjskich portach atlantyckich, itp. Rząd kanadyjski zwrócił się do USA i Francji z prośbą, by również wydały podobne zakazy. ■ ZSSR zawarł z Kanadą dwie umowy zbożowe. Rokowania prowadzono w Winnipegu, gdzie mieści się centrala państwowej Rady Zbożowej. Pierwsza umowa opiewała na 2.000.000 ton metrycznych pszenicy a druga na 1.000.000. Dostawy mają rozpocząć się we wrześniu z portów północnych a od października z portów szlaku wodnego St. Lawrence. Za dostawy te ZSSR ma zapłacić około \$ 500.000.000. Nie ogłoszono jednak ani warunków umowy ani ceny sprzedaży. Prasa utrzymuje jednak iż Rosjanie zapłacą ceny rynkowe a warunki dostaw są takie same jak dotychczas, to znaczy krótkoterminowy kredyt. ■ Na dorocznej Krajowej Wystawie w Toronto (Canadian National Exhibition) Polska posiadać będzie, podobnie jak w latach ubiegłych, tylko stoisko Ars Polona z książkami i płytami, które można na miejscu nabywać. ■ Faculty of Arts Concordia University w Montrealu uczcił 5. 7. br. przejście prof. Bogdana Zaborskiego w stan spoczynku (ukończył 75 lat) przez ustanowienie medalu jego imienia. Medal ten będzie corocznie przyznawany za najlepsze wyniki w nauce studentowi tego wydziału. Prof. Zaborski opublikował 170 prac. ■ W dniu 27 lipca br. zmarł w Ottawie, w wieku 79 lat, Wiktor Tomir Drymmer. Legionista I-szej Brygady, zastępca attaché wojskowego RP w Tallinie, od 1929 roku pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych jako dyrektor Departamentu Personalnego i Departamentu Konsularnego. W czasie wojny działał w Rumunii, na Węgrzech, aż wreszcie w Palestynie, gdzie po śmierci gen. Sikorskiego został przyjęty do Wojska Polskiego. Po wojnie osiadł w Kanadzie. Był odznaczony orderem Virtuti Militari V-jej klasy i krzyżem Niepodległości. Zeszyty Historyczne drukowały jego bardzo ciekawe wspomnienia.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Listy do Redakcji

11 lipca 1975.

Szanowna Redakcjo!

Dzięki uprzejmości p. Paula Gliksona z Uniwersytetu Jerozolimskiego miałem okazję zapoznać się z uwagami krytycznymi na temat mego artykułu w czasopiśmie *Więstnik RChD* Nr 112-113, zamieszczonymi w Waszym piśmie Nr 6/333. Zdziwiło mnie niezmiernie to, że autor recenzji przypisał mi sympatię dla sowieckiego kolonializmu. Pozostaje to w całkowitej sprzeczności z treścią mego artykułu. Podkreślałem cały czas, że likwidacja sowieckiego kolonializmu stanowi nieuchronną konieczność przede wszystkim dla samej Rosji (mój artykuł został napisany jeszcze w czasie mego pobytu w ZSSR).

Twierdziłem jedynie, i twierdzę nadal, że dla uniknięcia katastrofy, która w sposób nieunikniony dotknie sąsiadujące z Rosją kraje i może spowodować nową wojnę światową winno się to dokonać odgórnie, tak jak zrobił to De Gaulle z francuskim imperium kolonialnym. Nie odnosi się to jednak zupełnie do państw wschodnioeuropejskich, znajdujących się pod kontrolą ZSSR. Ponieważ kraje te nie są zintegrowane z Rosją w tym stopniu, co kraje wchodzące w skład ZSSR, opuszczenie przez nie imperium sowieckiego nie stworzyłoby żadnych specjalnych problemów.

Obawiam się, iż wiele moich uwag zostało niewłaściwie zinterpretowanych tylko z powodu słabej znajomości rosyjskiego przez recenzenta. Tak, na przykład, rzeczywiście pisałem o tym, że wejście Czerwonej Armii na Zakaukazie zakończyło wojnę w tym rejonie, ale nigdzie nie nazwałem tej wojny „bratobójczą”, jak to przetłumaczył recenzent. Nazwałem ją wewnętrzną (miedzudobnoją), a to ma całkiem inny sens.

Wkroczenie Czerwonej Armii było autentyczną okupacją i nawet Armenia, którą Armia Czerwona istotnie uratowała w pierwszym momencie od katastrofy, została zaraz potem na wpół sprzedana Turcji, z którą ZSSR wówczas stale flirtował.

Trudno mi sądzić czy niesumienność recenzenta była zamierzona czy też padł on tylko ofiarą słabej znajomości języka rosyjskiego, ale przypisując mi rolę obrońcy sowieckiego kolonializmu nie tylko siebie ośmieszył, ale także wyśmiał niedźwiedzia przysługę polskiemu ruchowi wyzwolenicznemu, którego wyrazicielką jest *Kultura* i z którym ja i ludzie podobnie do mnie myślący całkowicie sympatyzujemy.

Z poważaniem,

Michał AGURSKI

List Michała Agurskiego zasługuje na odpowiedź, chociażby tylko z tego względu, że dialog między Rosjanami a Polakami — dialog „ponad barierami” jest niezmiernie ważny. Zasługuje on na odpowiedź również i dlatego,

że jest przykładem jak trudny jest ten dialog, nawet jeśli obie strony chcą go prowadzić. Autor „Wypisów i przypisów o Rosjanach” mieszka w Warszawie i niestety nie może od razu odpowiedzieć. Niewątpliwie, jeśli tylko warunki pozwolą, napisze swoje uwagi na marginesie listu M. Agurskiego.

N.N. w swoich „Wypisach” nigdzie nie nazywa M. Agurskiego „obrońcą sowieckiego kolonializmu”. N.N. przytacza jedynie cały szereg cytat, z których wynika, że M. Agurski poważnie się obawia tego, co nazywa „żywiolowym rozpadnięciem się ZSSR”, dając apokaliptyczną wizję tego, co nastąpiłoby, jeśli takie rozpadnięcie przebiegać będzie w warunkach „nagłego wprowadzenia nieograniczonych swobód politycznych”. W swoim liście M. Agurski potwierdza tę interpretację swoich poglądów. Co prawda dodaje coś, czego w jego artykule nie było. Dodaje, że jego punkt widzenia „w żadnej mierze nie dotyczy krajów Europy Wschodniej, znajdujących się pod kontrolą ZSSR. Ponieważ te kraje nie są w tym stopniu zintegrowane, jak kraje wchodzące w skład Związku Sowieckiego; ich wyjście z sowieckiego imperium nie spowodowałoby żadnych specjalnych problemów”. M. Agurski daje tu ważne uzupełnienie, wydzielając kraje wschodnio-europejskie do specjalnej kategorii ze składu sowieckiego imperium, ale i tu o ich wyjściu mówi, że nie spowodowałoby ono specjalnych problemów — a więc jednak jakieś problemy by zaistniały.

M. Agurski zakłada, że N.N. nie uchwycił sensu jego artykułu na skutek złej znajomości... języka rosyjskiego”. Spory o stopień znajomości języka są zawsze trudne. Trzeba jednak zauważyć, że przykład „złej znajomości języka rosyjskiego, przytoczony przez M. Agurskiego nie jest przekonywujący. N.N. przetłumaczył słowo „Miedzduosobnyj” tak jak jest ono zwykle przekładane na język polski — „Bratobójczy”. M. Agurski twierdzi, że „to ma zupełnie inne znaczenie”. A oto W. Dal w swoim „Tolkowym słowniku” wyjaśnia: „Usobnij, miedzduosobnyj — związane są z rodzinną zwadą, wzajemną wrogością, awanturą, konfliktem społeczności, w rodzinie”. A więc czy pobratymcza zwada, konflikt w rodzinie to nie jest „walka bratobójcza”?

Sprawa nie polega jednak na stopniu znajomości języka rosyjskiego przez N.N. (o to M. Agurski może być spokojny), ale na tym że w artykule M. Agurskiego zawarte są myśli, mogące wzbudzić trwogę tych wszystkich, którzy wchodzą w skład sowieckiego kolonialnego imperium i dążą do uzyskania wolności. W swoim liście M. Agurski niektóre z tych myśli uściśla, dodając: „Zawsze podkreślałem, że likwidacja sowieckiego kolonializmu jest najbardziej niezbędna dla samej Rosji...”. Jeśli tak jasnego i precyzyjnego stwierdzenia nie było w artykule M. Agurskiego, to obecnie znajduje się ono w liście do Redakcji Kultury i z tego możemy się tylko cieszyć.

REDAKTOR

Vancouver, 17. VII. 1975.

Drogi Panie Redaktorze!

W notatce informacyjnej o polskim numerze *Modern Poetry in Translation*, zamieszczonej w czerwcowej *Kulturze*, nie wymieniono nazwisk Andrzeja Buszy i Adama Czerniawskiego jako moich współpracowników przy redagowaniu numeru. Prostujać to pominięcie, pragnę równocześnie podkreślić ich bardzo istotny wkład w pracę nad numerem; wątpię, czy bez ich pomocy zdołałbym doprowadzić całe przedsięwzięcie do skutku. Dla przykładu, przekłady pióra A. Czerniawskiego stanowią ponad 1/4 wszystkich przekładów w numerze; Andrzej Busza nie tylko napisał szereg not biograficzno-krytycznych, ale jest także współautorem wielu przekładów, a co było dla mnie nie mniej istotne, służył na miejscu radą, krytyką i swoją świetną znajo-

mością angielszczyzny. Wypada oczywiście dodać, że za usterki odpowiedzialność ponoszę ja sam.

Chciałbym przy okazji sprostować trzy przykre pomyłki, jakie zakradły się do numeru, a mianowicie, opuszczone zostało dwukrotnie nazwisko Adama Czerniawskiego, jako tłumacza wierszy Norwida (z wyjątkiem „Italiam! Italiam!”) i jako tłumacza dwu wierszy Jana Darowskiego, oraz przedstawione zostało nazwisko Johna Carpentera, którego przekłady wierszy Z. Herberta „Shore” i „Sequoia” zostały w ten sposób przypisane A. Buszy i niżej podpisanemu. Winę za te przykre pomyłki zwałam przynajmniej częściowo na rzeczywiste transatlantyckie warunki redagowania numeru.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego szacunku i najlepsze pozdrowienia.

Bogdan CZAYKOWSKI

Bermagui, 25 lipca 1975.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze!

W Los Angeles wyszła drukiem książka pt. *Warsaw Aflame, the 1939-1945 years* („Polamerica Press”, 1973). Na emigracji jest to bodaj jedyne w języku angielskim wydawnictwo albumowe o Warszawie Walczącej. W Australii piękna ta książka jest jeszcze nie znana, ale, jak słyszę, wśród Polonii amerykańskiej od dwu lat cieszy się dużym wzięciem (wyszła tam dzięki ofiarności przedpłacicieli).

Exemplarz jej dostałem dopiero teraz, z dwuletnim opóźnieniem. Wертując ją pobieżnie, na str. 170 znalazłem fantastyczną wiadomość o sobie: „During the occupation he was arrested by the Gestapo and tortured. His health was ruined but he did not betray his comrades.” („Podczas okupacji był aresztowany i torturowany przez Gestapo. Zdrowie miał zrujnowane, ale kolegów swych nie zdradził”).

Powyższą bujdę należy ostro wykreślić z tekstu książki. Stwierdzam, że nigdy nie byłem w rękach Gestapo, toteż nie mogłem być torturowany, ani więc oprzeć się torturom. Posypywanie mnie pozłotką fałszywego bohaterstwa jest przysługą niedźwiedzia.

Z całością tekstu książki jeszcze nie zdążyłem się zapoznać. Mam nadzieję, że powyższy cytat jest w niej przykrym wyjątkiem, nie pomniejszającym wartości wydawnictwa.

Bardzo dziękując Panu Redaktorowi za łaskawe umożliwienie mi przekreślenia fałszu poprzez gościnne łamy Kultury, łączę wyrazy poważania,

Zbigniew JASIŃSKI

Headley Down, 30 lipca 1975.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pan B. Wanke pisze (*Kultura*, Nr 6/333) o londyńskich awansach officerów w ciągu ostatnich 24 lat przez „czynniki państwowe” — datę awansu i stopień ogłaszano w Dzienniku Personalnym GİSZ.

Getynga, 2 czerwca 1975.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W majowym numerze *Kultury* ukazała się recenzja M. Brońskiego poświęcona książce George Gömöriego „Cyprian Norwid”. Głównym tematem recenzji jest walka z tezą, jakoby Norwid był filozofem. Ponieważ Gömöri tezy tej nigdzie nie wysuwa, więc recenzja kieruje się nie tyle przeciw Gömöriemu ile przeciw Norwidowi. Broński zarzuca Norwidowi, że był megalomanem, „parafilozofem” i psychopatą. Dwa pierwsze twierdzenia zależą logicznie od tego, za jakiego poetę uznajmy Norwida. Według Brońskiego był on megalomanem, gdyż „brał na serio swoją wielkość”. Megalomanem nie jest oczywiście człowiek wielki biorący na serio swoją wielkość, ani człowiek mały biorący na serio swą małość, a jedynie człowiek mały biorący na serio swoją (nieistniejącą) wielkość. Tak więc zarzut megalomanii zależy od tego, czy uznajmy Norwida za wielkiego poetę czy nie. Bezpośredniej odpowiedzi na to pytanie Broński unika zastępując ją jak twierdzi „faktem”, że dla przeciętnego polskiego czytelnika Norwid jest „nieczytelny i zgoda odpychający”. Ten „fakt” posiada tę samą właściwość, co tezy nieboszczyka Łysenki: nie można go ani udowodnić ani obalić. Bo kim jest ten przeciętny czytelnik? Tzn. czyje to opinie p. Broński zbadał? Podejrzewam, że tylko swoją własną a może jeszcze kilku znajomych. Jeśli byśmy chcieli mówić serio o przeciętnym czytelniku w sensie statystycznym (tj. o 80 do 90 procentach Polaków), to jasne jest, że po opuszczeniu szkoły nie czytają oni ani Norwida ani Mickiewicza ani Słowackiego. Tak więc cała teza oparta jest na powszechnym w polskiej krytyce literackiej tricku: krytyk musi tylko z dostateczną pewnością siebie coś twierdzić, aby stało się to prawdą.

Parafilozofem jest, według cytatu, na który powołuje się Broński, filozof używający własnej terminologii, niejasnego stylu, dziwnych nowoutworzonych wyrazów, fantastycznej etymologii, naruszenia konstrukcji składniowych itp. Broński — znowu w najlepszej tradycji kawiarni warszawskiej — chce tu czytelnikom zaimponować najnowszym autorytetem naukowym (książka wydana w 1973 roku, a w dodatku po holendersku). Jednakże gdyby p. Broński zamiast poświęcać swą recenzję porachunkom z Norwidem przeczytał uważnie książkę Gömöriego, to by zauważył, że Gömöri doskonale rozróżnia między filozofami (np. Hegel) a Norwidem i że nigdzie nie twierdzi, że Norwid jest filozofem. Gömöri pisze o *thinking* Norwida, podobnie jak o jego historiozofii i jego *social programme*. Z czego nie wynika bynajmniej by Norwid był filozofem, historiozofem lub działaczem społecznym. Cytowany przez p. Brońskiego autor holenderski ma jednak najwyraźniej na myśli filozofów nie poetów. Parafilozofem może być tylko ktoś uważający się za filozofa. Ktoś uważający się za poetę mógłby być najwyżej parapoetą.

Jeśli się już jednak zabiera do pisania o poezji, to należałoby wiedzieć, że „ciemność” jest jednym z atrybutów poezji europejskiej co najmniej od końca renesansu. Do poetów „ciemnych” należą tak znakomite nazwiska jak Góngora, Milton, G.M. Hopkins, Nerval lub Rimbaud, u nas Sęp-Szarzyński i Leśmian. „Niejasny styl”, „naruszenie konstrukcji składniowej”, „dziwaczne nowoutworzone wyrazy” są głównymi elementami poetyki takich twórców. Fantastycznych etymologii i „niegramatyczności” nie brak też u Słowackiego, którego Broński jakoś nie uwzględnia.

Zarzut, że Norwid był psychopatą, wprowadzony jest w sposób szczególnie demagogiczny. Naprzód twierdzi p. Broński, że nie chce „poety poniżyć”, potem (nowy unik), „nie twierdzi, że Norwid był klinicznym wariatem”, by zaraz potem sobie samemu zaprzeczyć twierdząc, że „był niewątpliwie psychopatą”, a kilka linijek dalej używając w stosunku do poety terminu „szalenstwo”. Pewien uczony amerykański wspomina, że wykład o muzyce

Mozarta przerwał mu młody człowiek zarzutem: „Przecież Mozart był nie-normalny”. Oczywiście jedyną odpowiedzią na tego rodzaju zarzuty jest: no to co z tego?

W wypadku Mozarta ważna jest tylko jego muzyka. Norwid jest poetą i ci co go czytają dla przyjemności, czytają go jako poetę a nie jako filozofa lub historiozofa (co nie oznacza, by nie było u Norwida słusznych czy głębokich myśli, jak np. nieraz cytowane ostrzeżenie, że w Polsce każdy czyn przychodzi za wcześnie a każda książka za późno). Naturalnie atak Brońskiego Norwidowi nie zaszkodzi, podobnie jak mu nie zaszkodziły negatywne sady profesorów literatury przed 1914 rokiem i potępienie przez teoretyków socrealizmu po roku 1948. Czas się zmieniły: poetów zamiast do łagru lub pod ziemię wysyła się dziś do domu wariatów. Pan Broński znajduje się znowu w najlepszym towarzystwie.

Toteż ta potężna kolubryna, którą w swoim mniemaniu wytoczył przeciw Norwidowi, okazuje się po bliższym przyjrzeniu starą socrealistyczną procą, tyle tylko że pomalowaną na ochronny kolor „socio-psychologiczny”. Jednakże już przed dwudziestu laty Jerzy Stempowski przypominał czytelnikom *Kultury*, że wszelkie socio- czy psychoanalizy autora nie przynoszą nic dla zrozumienia jego dzieła. Niezależnie od tego czy Norwid był psychopatą (czego udowodnienie jak na razie Broński pozostał nam winien) czy nie, artykuł Brońskiego nie przynosi nic dla zrozumienia poezji Norwida w ogóle, a jej dzisiejszej roli w szczególności. Brońskiego łączy z socrealizmem także pogarda dla faktów historycznych. Gdyby był uważnie przeczytał Gömöriego, dowiedziałby się przynajmniej faktów, które pozwalają zrozumieć poetę na tle epoki. Jeden przykład: porównanie pani Kalergis do pani Onassis jest chybione, bo Kalergis był wprawdzie również greckim milionerem, ale w epoce w której milioner znaczył w salonie niewiele, a romantyczny geniusz wszystko (że przypomnę Byrona). Norwid miał lat 24, gdy poznał Marię Kalergis i był wówczas u szczytu sławy. Jeśli już porównywać, to raczej należałoby przypomnieć Chopina i Delfinę Potocką.

Ważniejsze są jednak wnioski Gömöriego, których Broński pochłonięty swą *idée fixe* w ogóle nie dostrzegł. Gömöri udowodnił w swej książce — i tu leży jej waga — że Norwid nie był bynajmniej poetą romantycznym, ale świadomie po-romantycznym. Tu też leżała główna przyczyna niezrozumienia przez współczesnych. Poetyka Norwida, jego zainteresowania historiozoficzne, a zwłaszcza artystyczne łączy go z takimi współczesnymi jak Nerval, Baudelaire, Stendhal. Gömöri podkreśla niezmiennie żywy kontakt Norwida ze współczesnością (wcale nieże jak na psychopatę). Wszystko to sprawia, że jak pisze Gömöri powołując się na świadectwa poetów dzisiejszych — „Norwid jest dzisiaj bardziej żywy niż jakikolwiek inny poeta XIX wieku” (a więc także niż Mickiewicz i Słowacki) i że jest jedynym poetą dziewiętnastowiecznym, do którego nawiązują młodzi poeci polscy. Czy nie było pierwszym obowiązkiem recenzenta poinformować czytelników o tych odkrywczych sądach młodego uczonego z Cambridge?

Piszę te słowa nie bez żalu: Brońskiego czytałem dotychczas z zainteresowaniem, jest on jednym z ciekawszych nowych autorów *Kultury* ostatnich lat. Tym bardziej więc szkoda, że nie zastanowił się dwa razy, zanim napisał tę recenzję.

Z poważaniem,

Andrzej VINCENZ

Ś. † P.

KAZIMIERZ FELIKS VINCENZ

urodzony 24 stycznia 1901 w Kołomyi
uczestnik obrony Lwowa 1918
ochotnik w wojnie roku 1920
żołnierz 2 DSP we Francji
członek-założyciel i prezes
Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Szwajcarii
członek Rady Głównej SPK
współtwórca nagrody im. Anny Godlewskiej
twórca Kiermaszu Książki Polskiej SPK w Szwajcarii
zmarł nagle w Solurze dnia 28 maja 1975

o czym zawiadamiają pogrążeni w głębokim smutku
żona Haszka z Poniatowskich Vincenzowa
Córka z Mężem w Polsce
Rodzina w Polsce i za granicą.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Dépôt Légal : 3^e Trimestre 1975.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte : Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	R. 2,00	R. 10,00	R. 18,50
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 2,00	\$A. 11,00	\$A. 20,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tél. 52-40-762	Sch. A. 55,00	Sch. A 325,00	Sch. A. 575,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 218-69-23	F.B. 110,00	F.B. 650,00	F.B. 1200,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, Al Barao de Limeira 1022, apt 74 CElis., 01202 Sao Paulo (SP) tel. 221-1724	\$ US 2,50	\$ US 13,00	\$ US 24,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 11,00	F. 60,00	F. 110,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1 Tel 486-2839 ; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4 ; Very rev. Donald Malinowski, Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2 ; Tel. 339-5577 ; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115 ; Henryk Slowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4 ; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont. Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 2,50 DM. 7,00 F. 11,00	\$ Can. 13,00 DM. 40,00 F. 65,00	\$ Can. 24,00 DM. 75,00 F. 120,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 —	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss —	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	K.S. 11,00	K.S. 65,00	K.S. 120,00
SZWECJA : Norbet Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.			
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009 ; L. Dudarew-Ossetyński, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868 ; M.E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203 ; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172 ; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847 ; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271 ; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234 ; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave., Philadelphia, Pa, 19111 ; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Sas-Babczynski, 10472 Barnwall Street, Belflower Cal. 90706 Tél. 867-1857 ; Jan Wojcik 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 ; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 2,50 \$ 0,95 F. 11,00	\$ US 13,00 \$ 5,80 F. 65,00	\$ US 24,00 \$ 10,50 F. 120,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210.			
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241			

W krajach niewymienionych prenumerata roczna - F. 120, półroczna - F. 65.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 1,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le-Mesnil-le-Roi,
par 78600 - MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 256 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY TRZECI

Zawiera m.in. prace: B. Miedzińskiego: *Moje wspomnienia* (I); J. Lewandowskiego: *Miedzy historià a współczesnością*; K. Smogorzewskiego: *Eugeniusz Kwiatkowski*; T. Żenczykowskiego: *Uchwały Rady Jedności Narodowej w sprawie Jałty*; St. M. J. Komornickiego: *Fragmenty pamiętnika Stanisława Downarowicza*; Z. Borkowskiego: *Wspomnienia* (dok.); E. J. Czerniawskiego: *Z mojej służby w Belwederze*; W. Rostafińskiego: *Wspomnienie z niewoli w Niemczech*; M. Borwica: *Trzydzieści lat temu* oraz Działy: W OBCYCH OCZACH, RECENZJE, LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 25 (dol. 6,50)



BIBLIOGRAFIA

TOM 257 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

„KULTURA” (1958-1973)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1962-1973)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1959-1973)

Dawno zapowiadana *Bibliografia* zawartości treści „KULTURY” i „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH” oraz DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA DO ROKU 1973 włącznie.

Str. 432.

Cena F. 75.

Przypominamy Czytelnikom, że Bibliografia za okres 1947-1957 opracowana przez Jana KOWALIKA ukazała się w roku 1959. Posiadamy ją jeszcze na składzie. Cena egz. F. 15.